2869/02

Paweł Lindau.

PAŃSTWO BEWEROWIE.

POWIEŚĆ.

Z upoważnienia autora tłómaczyła

BRONISŁAWA NEUFELDÓWNA.

WARSZAWA.
NAKŁADEM KSIĘGARNI
Teodora Paprockiego i S-ki,
41. Nowy-Świat 41.

1894.

PAŃSTWO BEWEROWIE.

Paweł Lindau.

PANSTWO BEWEROWIE.

Z upoważnienia autora

tłómaczyła

BRONISŁAWA NEUFELDÓWNA.

WARSZAWA
W drukarni J. Sikorskiego, pod zarządem A. Saładyckiego. Warecka 14.

1893.

LPT 13921/6

Дозволено Цензурою.
Варшава 8 Октября 1893 г.

D-92/2869
24.9. 10.000,-

K. 36748
787053 I

Biblioteka Śląska

Gdy wszedł do tylnego pokoju w restauracyi Dressla, urwała się nagle rozmowa, prowadzona, o ile się zdawało, dotąd z wielkiem ożywieniem przez stałych gości przy okrągłym stole i wszyscy obrzucili niezwykłą postać obcego badawczem spojrzeniem. W małym pokoiku, który był odosobniony od innych, o wiele wykwintniej urządzonych, gabinetów, nie siadywali prawie nigdy zwyczajni goście, tacy co przychodzą, jedzą i odchodzą. Był to punkt zebrania, przybywających codziennie o oznaczonej godzinie znajomych, którzy przywłaszczyli sobie, mocą zwyczaju, prawo wyłącznej używalności tego pokoju. I zewnętrzne jego cechy odpowiadały temu szczególnemu przeznaczeniu. Nie miał zbytkownego pozoru pokojów gościnnych, wychodzących na ulicę. Był jakiś milszy, zaciszniejszy. Na ścianach wisiało nawet kilka fotografii mniej lub więcej znanych artystów i artystek z wypisanemi dedykacyami dla gospodarza, a na etażerce spoczywała bardzo pierwotna biblioteka, wytworzona widocznie skutkiem potrzeby szybkiego rozstrzygania zakładów między gośćmi. Było tam tylko kilka tomów: Poetycz-

ny Skarbiec Domowy Wolff'a, Podręczna Encyklopedya wiedzy powszechnej Meyer'a, Statystyka miasta Berlina, Aforyzmy Büchmann'a, lista rang i kwaterunków, trzy kalendarze Gotajskie i Almanach Teatralny.

Kelner witał każdego z gości wymieniając jego nazwisko lub tytuł, a ponieważ znał przyzwyczajenia każdego, przynosił potrawy bez osobnego zamówienia. Jego zaś nazywali goście tylnego pokoju poprostu po imieniu, a nawet pieszczotliwie „Edi.“ Ztąd też nieświadomego, który zabłąkał się do tego pokoju, ogarniało odrazu pewne zakłopotanie, jakgdyby chciał się narzucić nieswojemu towarzystwu, a to niemiłe wrażenie wzmacniane było jeszcze zazwyczaj przez zachowanie się grona siedzącego przy okrągłym stole. Intruz tedy najczęściej, złożywszy przelotny ukłon, niesiadając wcale, opuszczał pokój.

Wysoki, tęgi mężczyzna, który przed chwilą właśnie przerwał ogólną rozmowę, nie odczuwał bynajmniej, jak się zdawało, najmniejszego zakłopotania. Spoglądał obojętnie na panów, którzy mu się przypatrywali, powiesił lekki kapelusz letni na kołku, postawił gruby sękaty kij z ciężkiem żelaznem okuciem obok siebie, i, zasiadając flegmatycznie przy stoliku w pobliżu drzwi, obstalował butelkę wody selcerskiej i kieliszek koniaku. Edi z wyrazem sarkastycznego rozczarowania złożył spis win, który chciał podać gościowi, oddalił się, by spełnić jego zlecenie.

Nietylko w tem małem, zamkniętem niemal, towarzystwie powierzchowność obcego musiała zwrócić uwagę. Był on uderzająco wysokim i pięknym mężczyzną. Niewiele mu pewnie brakło do sześciu stóp. Istna

postać Hunna, — barczysty z wypukłą piersią, silny, z wielkiemi ale kształtnemi rękoma i nogami, stanowił prototyp Germanina z jasno-blond włosami, krótko ostrzyżonemi, i bardzo długą, a jeszcze jaśniejszą, spadającą na piersi brodą. Czoło miał w miarę wysokie, niebardzo wydatne, oczy wielkie i niebieskie, patrzące z dobrotliwym wyrazem. Dziwnym w tej twarzy, która wyglądała, jak model do stylowej głowy Kaulbachowskiej,—był kontrast między opaloną od słońca cerą a płowemi włosami i zarostem. Przekroczył już niezawodnie trzydziestkę, czterdziestki wszakże napewno jeszcze nie dobiegł.

Minęło kilka chwil, zanim rozmowa przy okrągłym stole, przerwana przez wejście obcego, nawiązała się nanowo. Przybrała wszakże teraz inny obrót i prowadzona była przyciszonym głosem. Zaszedł ten rzadki wypadek, że intruz nie został steroryzowany przez siedzącą uprawomocnioną przy okrągłym stole większość, lecz że raczej on, milcząc, zaimponował owym pięciu czy sześciu panom i nieświadomie zmusił ich, by mieli wzgląd na niego. Obcy jegomość zajmował towarzystwo wyłącznie. Robiono na jego rachunek najsprytniejsze kombinacye,—kto zacz, zkąd przybywa i jakie jego miano? Jeden z gości utrzymywał, że nieznajomy musi być tenorem bohaterskim do partyi Wagnerowskich i że będzie występował jako rycerz łabędzia na scenie nadwornej. Inny twierdził, że to magnat marchijski albo oficer kirasyerów po cywilnemu, a trzeci, obdarzony poglądem trzeźwiejszym, zapewniał, że to właściciel menażeryi i pogromca lwów.

Płowy blondyn, którego uwagi nie mogło ujść, że się nim zajmowano, był, o ile się zdawało, przyzwyczajony do tego wyróżnienia. Nie obchodziło go to wcale; wyjął z bocznej kieszeni lekkiego surduta letniego czarne prawie cygaro największego formatu, zapalił je z zadowoleniem i jednym haustem wypił do ostatniej kropli szklankę wody selcerskiej z koniakiem. Poczem otarł usta, podkręcił końce wąsów w górę i wziął do ręki pierwszą gazetę, jaka przed nim leżała. Byłoto przypadkiem pismo anonsowe, które nie zawierało nic więcej oprócz zawiadomień o rozrywkach i innych ogłoszeń. Ale to wystarczało mu widocznie. Odczytał sumiennie obie pierwsze strony, położył na stole cygaro, którego dotąd na chwilę z ust nie wyjął, spojrzał na zegarek, założył prawą nogę na lewe kolano, zastukał w szklankę i zamówił sobie jeszcze jedną butelkę wody selcerskiej z koniakiem. Następnie znów wziął gazetę do ręki i zaczął się obznajmiać z treścią trzeciej stronicy.

Zatopiony był przez kilka minut w tem zajęciu, gdy wszedł do pokoju mężczyzna, po którym zdaleka można było poznać aktora; ciągła wprawa i przesada w mimice poorała twarz wygoloną głębokiemi zmarszczkami, zwłaszcza dokoła oczu i kątów ust. Profil miał ostro zarysowany, oko niezwykle żywe, piękne czoło okolone bujnemi, przyprószonemi siwizną włosami. Byłto Leon Schneider, który od pewnego czasu przechodził stopniowo z ról salonowych hulaków do ról komicznych ojców. Czuł się tu jak u siebie, powitał towarzystwo przy okrągłym stole

przelotnym ale bardzo żywym ruchem ręki i zbliżył się niezwłocznie do nieznajomego.

— Długo już czekasz na mnie? — spytał, podając mu rękę i, niezaczekawszy na odpowiedź, ciągnął dalej:—Żeby licho wzięło! Berlin, jakby wymarły. Wszędzie zastałem drzwi zamknięte! Że też akurat w sierpniu musiałeś przyjechać! Nie pozostanie ci tedy nic innego, jak zadowolić się mojem towarzystwem. Psa nie zastałem w domu, mówię ci.

— Mniejsza o to,—odparł olbrzym,—nic pilnego. Siadaj.

— Może przysiądziemy się do tamtych? To moi znajomi... przyjemni ludzie.

— Jak chcesz.

Zbliżyli się do okrągłego stołu. Leon Schneider przedstawił swego przyjaciela jako pana Klaudyusza Bewera z Sumatry.

— Z Lubeki, — poprawił Klaudyusz. — Z Lubeki,—powtórzył.—Ani mi się śni uważać przeklętą Sumatrę za moją ojczyznę, ;i nie mam najmniejszej ochoty tam powrócić.

Schneider zaczął opowiadać ze zdumiewającą szybkością, jak dziś popołudniu został niespodzianie zaskoczony odwiedzinami swego dawnego przyjaciela, Klaudyusza Bewera. Sądził, że go już dawno rozszarpały dzikie zwierzęta, albo pożarli dzicy ludzie, albo zamordował klimat. Aż tu nagle ten stary Klaudyusz stanął przed nim we własnej osobie, — zupełnie taki sam, jakim był, gdy go opuścił przed laty dziesięciu, tylko jeszcze barczystszy i bardziej od słońca opalony; broda niewątpliwie urosła mu także o kilka cali; ale

zresztą całkiem ten sam co dawniej! Już po dziesięciu minutach zapytał go, gdzie możnaby tu ujrzeć ładne kobiety, - on zatem,—Schneider, — wierny przyjaciel, który nie zapomniał wesołych chwil spędzonych przed laty dziesięciu z Klaudyuszem w Lubece, objechał całe miasto, żeby zebrać zabawne towarzystwo na wieczór. Ale, desperacya bierze! wszystkie ptaki wyfrunęły: mała X. z teatru Friedrich-Wilhelmstadt, duża Y. od Krolla i długa Z. od Wallnera,—wszystkie wyjechały; jedna do wód, druga do Poczdamu, trzecia do Grunewaldu. Klaudyusz ładnego pojęcia nabierze o Berlinie!

I tak opowiadał Leon dalej, ciągle w tem samem prędkiem tempie, z jednakiem ciągle ożywieniem. Reszta panów słuchała uważnie i głośnym śmiechem zachęcała opowiadającego do dalszych objaśnień. Śmieli się za lada drobnostką; Edi przyniósł szampana, trącano się wzajem kieliszkami i zachowywano się, jakgdyby się stało Bóg wie jakie radosne zdarzenie. Słowem szczupłe grono było w różowym humorze. Klaudyusz bawił się również. Zapalił trzecie cygaro i obstalował czwartą butelkę szampana. Uśmiechał się z zadowoleniem i dawał chętnie wszelkie wyjaśnienia, jakich od niego żądano, gdy Schneider, nieproszony nawet, dowcipami i grzmiącym śmiechem dopełniał wiadomości udzielanych przez przyjaciela. Stało się tedy, że płowy blondyn, który, wchodząc o godzinie siódmej do pokoju tylnego, wywołał tyle domysłów w głowach panów siedzących przy okrągłym stole, o godzinie dziewiątej nie miał już prawie żadnej taje-

mnicy dla tychże panów. Znali całą historyę jego życia.

Klaudyusz Bewer był trzecim synem czcigodnego senatora, kupca hurtowego i właściciela warsztatu okrętowego Jakóba Bewera w Lubece. Miał jeszcze pięciu żyjących braci,—prawdziwych olbrzymów, oprócz najmłodszego, Gotlieba, przezwanego Kucem,—i siostrę Elżbietę, która była za pastorem w Holsztyńskiem. Dwaj najstarsi bracia, żonaci już oddawna, objęli interes ojcowski. Czwarty etablował się w San-Francisco, Kuc skończył prawo i niedawno osiedlił się jako docent, w Gryfii.

Z dwoma starszymi braćmi, którzy byli spokojnymi, dzielnymi pracownikami, nie zgadzał się Klaudyusz nigdy, a dla Kuca, który już dzieckiem będąc trzymał się zdaleka od wszystkich i z góry naukę za cel życia swego obrał,—miał tylko litość i lekceważenie; siostra obcą mu się stała, skutkiem wczesnego opuszczenia domu rodzicielskiego. Prawdziwy braterski stosunek istniał tedy właściwie tylko między nim a młodszym o dwa lata Wilhelmem, najdobroduszniejszym ale też najlekkomyślniejszym z Bewerowskich synów.

Wilhelm dopuścił się nawet, młodym chłopcem będąc, kilku nadużyć, a stary Bewer, który w takich sprawach żartów nie rozumiał i za zadanie życia postawił sobie wykształcić należycie dzieci i wychować je w zasadach najsurowszej moralności,—nie robił długich ceregieli. Zaplaciwszy wszystkie długi, dał chłopcu do ręki 100 talarów gotówką i przekaz na 600 dolarów, wypłacalnych w miesięcznych ratach po 50 do-

larów u firmy Samuel B. Stern i Synowie w Nowym-Jorku, odprowadził go na okręt i pożegnał następującemi słowami: „A teraz szukaj sobie sam utrzymania! Odemnie nie dostaniesz już dopóki będę żył ani szeląga! A jeśli się nie poprawisz, postaram się o to, żeby ci i mój testament radości nie sprawił!“ Twarda szkoła w nowym świecie wyszła na dobre Wilhelmowi. Zrazu przez długi czas nie dał znaku życia; następnie wszakże, pierwsze wiadomości doniosły, że znalazł świetne miejsce i stanie na czele filii swojej nowojorskiej firmy na Zachodzie.

Jedynym z braci, który odczuł boleśnie wyjazd Wilhelma był Klaudyusz. Miał on wiele wspólnych z młodszym bratem cech charakteru, miał takie samo miękkie serce, był równie lekkomyślny. Zajęcie w kantorze stało się dlań nieznośnie nudne od chwili, kiedy miejsce naprzeciwko niego, na którem dawniej siedział Wilhelm, zajął sumienny, pracowity subjekt. Oddychał swobodniej, gdy nadeszła godzina wypoczynku. Śpieszył wówczas do swego pokoju, przebierał się starannie i szedł z podziwu godną punktualnością do teatru. Tam można go było widywać co wieczór w tej samej loży, przy scenie na prawo, i w tem samem towarzystwie zamożnych młodych ludzi. Co grano, było mu dość obojętnem,—spędzanie wieczoru w teatrze zamieniło się u niego w przyzwyczajenie. Jako stały bywalec cieszył się szczególnemi względami pana dyrektora; a jako zamożny młody człowiek, który pieniędzy nie skąpił, artystów raczył cygarami i winem, artystkom zaś ofiarowywał kwiaty, a przy zdarzonej sposobności i pozytywniejsze podarunki, posiadł sympatyę

czcigodnej rzeszy aktorskiej. W antraktach wolno mu było wchodzić za kulisy, a po teatrze jadał regularnie kolacyę, w tak zwanej, budzie aktorskiej z kapłanami i kapłankami boskiej sztuki. Dobrze mu było w tem hałaśliwem towarzystwie, nazajutrz zaś tem dotkliwiej odczuwał nudę w kantorze. Z owego czasu datowała także jego znajomość z Leonem Schneider.

Gdy sezon się skończył a wesoła gromada aktorska rozpierzchła się na wszystkie cztery wiatry, odczuł Klaudyusz przerażającą pustkę. Nie wiedział co ze sobą i swoim czasem począć. Był w najwyższym stopniu niezadowolony z siebie. Od małomównego i surowego ojca, który z wielką niechęcią patrzył na bezcelową egzystencyę syna, oddalał się coraz bardziej, ze starszymi braćmi nie miał prawie żadnych stosunków, Wilhelma nie było, a Kuc zamykał się w swoim pokoju i pracował. Naraz przyszła mu pewnego dnia, niby zbawienie, myśl opuszczenia ziemi ojczystej i poszukania szczęścia, którego w domu znaleźć nie mógł, w dalekim świecie,—jak można najdalej. Miał długo poważną rozmowę z ojcem,—od wielu lat pierwszą. Klaudyusz posiadał odwagę, właściwą wielu słabym ludziom, przyznawania się z całą uczciwością do winy. Nie oszczędził sobie ani jednego wyrzutu. Na zakończenie rzekł: „Może to niewdzięcznie z mojej strony, ojcze, ale nie mogę tego przed tobą ukryć: Przykrzy mi się tutaj strasznie! Interes mnie nie zajmuje, a to, co muszę robić koniecznie, robię z niechęcią. Staję się z każdym dniem ociężalszy i leniwszy. Może mi się tutaj zadobrze wiodło. Ta egzystencya przy biurku, — to nie dla mnie. Tęsknię za świeżem powietrzem, za wy-

siłkami fizycznemi. Muszę pójść w świat. Tutaj usypiam i marnuję się. Gdyby czasy były burzliwe powróciłbym do armii. Ale teraz, kiedy pokój z Austryą zawarty a północno-niemiecki związek trwa już od lat dwóch, mało jest widoków na nową wojnę, życie koszarowe zaś wstręt we mnie budzi. Mam teraz lat 25. Pozwól mi jechać za ocean,—na pięć lat, na dłużej jeśli się okaże potrzeba,—będę pracował i spróbuję wyrobić się na człowieka. Tutaj jestem wam wszystkim i samemu sobie ciężarem."

Stary Jakób Bewer przyznał swemu synowi słuszność. Zaopatrzył go hojnie w środki do odbycia wielkiej podróży potrzebne, i w cztery tygodnie po owej rozmowie uścisnął w milczeniu rękę syna na pożegnanie. Gdy pociąg wyjechał z dworca, łzy stanęły staremu w wyblakłych oczach, i przez cały dzień nie przemówił ani słowa.

Klaudyusz udał się prostą drogą z Marsylii do Singapore, lecz nie pozostał tam długo. Zapoznał się z pewnym Holenderczykiem, który miał na Sumatrze wielkie posiadłości, a opowiadanie o ciężkich warunkach tamtejszego życia, podrażniło rwącego się do czynu Klaudyusza. W lutym r. 1869-go wstąpił Klaudyusz Bewer na ląd Sumatry, gdzie rozpoczęło się dlań pełne trudu życie. Ale tego właśnie szukał. Doznawał rodzaju zmysłowej rozkoszy, gdy spracował się fizycznie do ostatecznego wyczerpania, a potem odmawiał spoczynku znużonemu ciału. Wykonywał robotę najniższego ze swoich parobków i pracował za trzech, opierając się zgubnemu wpływowi gorącego klimatu. U Europejczyków uchodził za dziwaka, u krajowców

za istotę wyższą, do której zbliżali się z nieśmiałą pokorą. Zapoznał się gruntownie z odrębnemi warunkami kraju i w krótkim stosunkowo czasie zyskał wielkie poważanie, jako roztropny i dzielny kupiec. Dom jego rozwijał się świetnie, a po upływie lat pięciu, posiadał Klaudyusz pokaźny majątek. Rozpoczął już kroki, celem zwinięcia interesu, by powrócić do ojczyzny, gdy naraz suchy, zwykłym tonem kupieckim napisany, list najstarszego brata doniósł mu, że Jakób Bewer po krótkiej chorobie zakończył życie.

Wiadomość ta wstrząsnęła Klaudyusza do głębi. Teraz dopiero odczuł, jak kochał starego, i że do ojczyzny pociągało go jedynie, nigdy niesformułowane, pragnienie ujrzenia ojca. Jednocześnie z głębokim żalem po zmarłym ogarnęło go rozgoryczenie przeciw starszym braciom, którzy w istocie ciągnęli niedozwolone korzyści z nieobecności Klaudyusza i Wilhelma oraz z niedoświadczenia uczonego. Nie zaszczycił ich ani słówkiem odpowiedzi. Następna poczta przyniosła do Europy jego prawnemu przedstawicielowi w Niemczech, radcy Feliksowi Quintus w Berlinie, pełnomocnictwo do podniesienia spadku w jego imieniu, wraz z poleceniem podziału sumy na trzy równe części między siostrę w Holsztyńskiem, Wilhelma w San-Francisco i młodego uczonego w Gryfii.

Z wzmocnioną siłą, z gorączkową niemal namiętnością, rzucił się Klaudyusz ponownie w wir interesów. A im więcej zarabiał, tem silniejszą stawała się jego chciwość dalszego zysku. Gromadzenie pieniędzy stało się dla niego samo w sobie celem. Ogarnęła go nienaturalna uciecha z posiadania majątku. A szczęś-

cie sprzyjało mu bajecznie. Cokolwiek wziął w rękę powiodło mu się. Zakres jego przedsiebierstw i interesów rozszerzał się coraz więcej, zarobki powiększały coraz bardziej. Po kilku latach prześcignął wszystkich konkurentów. Był właścicielem wszechświatowej firmy. Żył otoczony zbytkiem, jakiegoby mu książe mógł pozazdrościć. Miał liczną służbę, stajnię z doborowemi końmi i wyśmienitego kucharza. Lud przezwał go „królem“. I królewskiem w istocie było jego zachowanie się, całe urządzenie jego domu; królewską była także jego gościnność. Gdy ten płowy olbrzym, z uczuciem władcy spoglądał na to wszystko, co stworzył i na wszystkich poddanych, którzy przed nim drżeli, wówczas przebiegały mu przez głowę jednocześnie dwie myśli,—rzewna: gdybyż poczciwy stary był się tego doczekał!—i tryumfująca: wieść o tem, czem jestem i co znaczę doszła niechybnie do moich panów braci.

Był zatem bogatym, bogatszym, niż kiedykolwiek pragnął. Ale zadowolenie z tego bogactwa trwało stosunkowo krótko. W duszy jego zrodziło się złowrogie pytanie: jaką uciechę daje mi ten majątek? A jeśli go powiększę, podwoję i potroję, czyż to mnie rozweseli, czyż pozyskam tutaj to, czego brak boleśnie odczuwam?

Albowiem temu, którego królem mieniono, brakło w istocie niejednego! Przeżył już lat dziesięć na obczyźnie, skończył rok trzydziesty piąty, nagromadził skarby, ale był sam. Ogarnęła go rzewna tęsknota,—zrazu bardzo niejasna,—za wesołemi wieczorami, jakie niegdyś spędzał z niezbyt wybitnymi wprawdzie,

ale zawsze zajmującymi aktorami w Lubece, w zadymionej izbie restauracyjnej, tęsknota za niemieckim śmiechem, niemieckiemi dźwiękami, niemiecką muzyką. Lubił muzykę namiętnie. Nie miał wprawdzie zbyt wybrednego smaku, ani muzykalnego wykształcenia, ale pieśni ludowe, tańce sprawiały mu wielką duchową uciechę. Coby on dał w tej chwili, by módz usłyszeć Straussowskiego walca, lub jaką pieśń sentymentalną! I mimowoli zaczął nucić.

Byłato pogodna niedziela, pierwsza w miesiącu maju. W obszernej komnacie, w której Klaudyusz oddawał się błogim marzeniom, panował półcień; pozapuszczane w niej były firanki i żaluzye. Teraz, o tej samej godzinie, tam, w kraju, małomieszczanie i robotnicy, odświętnie ubrani, szli pewnie z żonami i dziećmi do bawaryi za Starą Bramą, gdzie muzyka wojskowa przygrywała im tańce i *potpourris* z najnowszych operetek. Nie wiedzieli wcale jak im było dobrze! A on, ów bogacz, musi tutaj w sztucznym mroku szukać schronienia przed palącemi promieniami zwrotnikowego słońca! Jemu niewygrywano żadnych tańców. Tam, w ojczyźnie, najskromniejszy filister, który pięćdziesięciofenigową monetę pięć razy w ręku obróci, zanim za nią nabędzie prawo wejścia do bawaryi, szczęśliwszy jest niż on, który mógłby sobie trzymać własną kapelę. Tamten miał przynajmniej coś ze swego życia, dla tamtego istniały jeszcze niedziele i święta! Był u siebie, miał przyjaciół, mówił swoim językiem! I tęsknota Klaudyusza wzmogła się tak potężnie, że wzięła górę nad wszystkiemi jego uczuciami i myślami.

Poco on tu jeszcze siedział? Majątek jego był tak znaczny, że mu pozwalał na wszelkie zachcianki, których spełnienie dało się okupić. Więcej nie pragnął. Gdy przed laty dziesięciu wyruszył w świat, wyraz „ojczyzna“ był dla niego dźwiękiem bez znaczenia; teraz wszakże czuł, że pojęcie to posiada niewypowiedziany urok. Dosyć już tych stosunków z obcą hołotą, dosyć tego kaleczenia malajskiej paplaniny! Chciał nareszcie znów zobaczyć podobnych sobie ludzi, z którymi mógłby rozsądnie pomówić.

Następnego ranka Klaudyusz wprawił swego prokurenta w zdumienie oznajmieniem, że powołują go do Europy naglące sprawy i że zamierza, skoro tylko stosunki na to pozwolą, zwinąć interes na Sumatrze, nawet z pewnemi ofiarami. Zmudną pracę likwidacyi powierzył sumiennemu i uczciwemu prokurentowi, i najwcześniejszym parowcem opuścił „król“ wyspę Sunda.

Niezatrzymując się nigdzie dłużej nad potrzebę, wylądował Klaudyusz w ostatnich dniach lipca w Marsylii. W Paryżu zabawił tylko trzy dni i 1-go sierpnia przybył do Berlina. W Stendalu wrzucono do wagonu pismo z ogłoszeniami: Klaudyusz przerzucił je i ku wielkiej swej radości wyczytał nazwisko królewskiego aktora nadwornego, Leona Schneider, w zapowiedzi przedstawienia na rzecz rodziny pozostałej po zmarłym w domu dla obłąkanych artyście.

Było to niewątpliwie dawny jego przyjaciel, Leon Schneider,—swego czasu ozdoba teatru miejskiego w Lubece. Klaudyusz uśmiechnął się. Przypomniał sobie nagle, że Leon winien mu jeszcze pięć talarów,—pożyczył je na kolei, bo zapomniał o opłacie za prze-

wóz kufrów i ztąd zażądał i otrzymał zbyt małą zaliczkę od dyrektora. Wspomnienie tego drobnego faktu zniosło odrazu wielką odległość czasu i miejsca. Klaudyusz uczuł się nagle, jak u siebie, — cieszył się szczerze myślą o tem spotkaniu.

O adres dawnego przyjaciela dowiedział się z łatwością od portyera hotelu „*Kaiserhof*“ a przebrawszy się i posiliwszy, poszedł do aktora.

Zastał go w najgłębszym negliżu, wyciągniętego na szezlongu i odczytującego rolę, którą miał odegrać na zapowiedzianem na pojutrze przedstawieniu dobroczynnem. Wzajemne powitanie było bardzo serdeczne. Leon znalazł, jak to już opowiedział swoim przyjaciołom przy okrągłym stole, że „olbrzym“ wcale się nie zmienił; wydał mu się tylko jeszcze milszym, przyjaźniejszym, niż dawniej. Klaudyusz uśmiechał się z zadowoleniem; przypomniało mu się znów ostatnie spotkanie z Leonem i jego przykre zakłopotanie spowodowane brakiem pięciu talarów.

A więc Klaudyusz chciał się zabawić, użyć życia? No, to przybył do właściwego miejsca, a Leon będzie jego mentorem. Bo Berlin nie jest już owem nudnem gniazdem z lat dawnych, które od wielkiego miasta zapożyczyło tylko cechy zewnętrzne: długie ulice, obszerne place i wysokie domy. Teraz obudziło się w nim nareszcie i wielkomiejskie życie. Panuje tu teraz zbytek w mieszkaniach, urządzeniach, tualetach i zebraniach towarzyskich, który nie ustępuje zbytkowi stolic świata: Paryża i Londynu; obiady u radców handlowych nie potrzebują się obawiać porównania z bankietami milionerów paryskich; a co za kobiety!.. No, Klau-

dyusz sam się o tem przekona. O ruchu życia nocnego nie może wcale mieć wyobrażenia, — prześcignęło nawet bulwarowe. A czego nie robią dla upiększenia dla komfortu i zdrowotności miasta! Asfalt, kanalizacya, Thiergarten, kolej konna, kawiarnie wiedeńskie! Nie chce zadużo wychwalać, ale Klaudyusz będzie zdumiony. Dla należytego uczczenia powrotu marnotrawnego syna, zwoła Leon zaraz kilka wesołych osób. Będzie można potem z godzinę albo dwie pojeździć po Thiergartenie, a wieczór zakończyć uroczystą biesiadą u Hillera lub Dressla. Niechże więc Klaudyusz czeka na niego o godzinie 7-ej w tylnym pokoju u Dressla.

Wykonanie tego programu napotkało na nieprzewidziane trudności, ale Klaudyusz zabawił się doskonale przez dwie godziny w przyjemnem towarzystwie panów przy okrągłym stole, z których każdy zalecał mu gorąco inną osobliwość Berlina. Stopniowo rozmowa przeszła w wolniejsze tempo, ten i ów z towarzystwa pożegnał się i wyszedł, a pewność Leona, że drobnostką będzie dać gościowi dobre pojęcie o wspaniałości stolicy,—zaczęła znikać.

— Tam do licha! — zawołał.—Niepodobna przecież, żebyśmy cały wieczór tu przepędzili, pijąc szampana i opowiadając sobie anegdotki! Gdzieśkolwiek musi się przecież znaleźć jakaśkolwiek rozrywka! Edi! dawajno gazetę!

— Co to jest Walhalla? — spytał Klaudyusz. — Czekając na ciebie, przeczytałem wielce obiecujący program: brzuchomówca, akrobaci, cykliści, szansonistki.

— Walhalla! Naturalnie! Że też zaraz o tem nie pomyślałem! Walhalla jest w ogóle jedyną instytucyą stolicy, stojącą na wysokości zadania!—Spojrzał na zegarek.—Kwadrans na dziesiątą. Przyjdziemy w samą porę. Edi, dorożkę pierwszej klasy, ale prędko!.. niech cię już nie widzę!

Klaudyusz nie był bynajmniej tak zblazowany, jakby można przypuszczać po człowieku, który taki kawał świata zwiedził. Z naiwnem zdumieniem i szczerą uciechą prowincyonalisty przyglądał się karkołomnym produkcyom akrobatów i wyginaniom ludzi kauczukowych. Artyści na scenie interesowali go znacznie więcej, niż znane osobistości i typy wielkomiejskie, w lożach, na które Leon, dodając objaśnienia, zwracał mu uwagę.

— Spojrzyjno na tego wysokiego młodego człowieka naprzeciwko! Ten tam, w kapeluszu filcowym i jasnym popielatym surducie! Bardziej na prawo... wprost nas! Ot, tam! Mówię o tym długim brunecie! To książe Dymitr Strusa, Rumun .. służy w naszych dragonach. Znakomity jeździec i dzielny oficer, ulubieniec naszych aktorek... Mój znajomy... Chcesz, to cię przedstawię?

— Poco?.. A to kto?—dodał Klaudyusz niezwłocznie, wskazując na scenę i biorąc potem afisz do ręki.

Na deskach ukazała się ładna dziewczyna w dziwacznej tualecie,—w stroju, który nie był w stylu żadnej epoki, żadnego kraju i żadnego sezonu. Artystka miała na sobie króciutką i bardzo głęboko wyciętą suknię z bladoniebieskiego atłasu, sięgającą zaledwie kolan i ukazującą możliwie dużo pięknych kształtów,

a nawet prawie nieco więcej, niż było dozwolone. Przód stanika był szafirowy, przybrany po huzarsku srebrnem szamerowaniem i oszyty puchem łabędzim. Z lewego boku przypięła sobie wielki bukiet świeżych róż. Zdumiewająco małe stopy tkwiły w jasno-niebieskich bucikach atłasowych na wysokich czerwonych korkach. Na głowę włożyła mały średniowieczny biret z ponsowego aksamitu, a w ręku trzymała wachlarz z różnokolorowych piór. Cały kostium był niemożliwie krzyczący i niegustowny, a mimo to dziewczyna wyglądała w nim ślicznie. Twarz jej była interesująca: oczy miała ciemne, piwne, włosy krucze, bardzo obfite, brwi niezwykle gęste, a usta porywającej świeżości. Widocznem było, że niewiele użyła szminki. Twarz była równie matowo biała jak szyja, ramiona i obnażone całkowicie ręce. Figurę miała drobną i pełną wdzięku.

Ruchy jej były pewne i śmiałe, niemal wyzywające. Po skromnych literach, jakiemi nazwisko jej wydrukowane zostało na programie, można było wszakże poznać, iż niezaliczano jej do gwiazd programu. „Kathi Schöne. Pieśni austryackie i węgierskie,“ stało na afiszu.

— Kto to jest? — powtórzył Leon. — Nie znam! Jakaś szansonistka. Kathi Schöne, — rzekł, przeczytawszy afisz. — Jako rzekłem, nie znam.

— Kapitalna dziewczyna, — odezwał się Klaudyusz.

— Bardzo szykowna, — potwierdził Leon.

Gdy orkiestra wykonywała przegrywkę do melodyjnej popularnej piosnki wiedeńskiej, Kathi, która się ciągle wachlowała, stanęła w środku sceny, tuż

przed budką suflera, i ztamtąd rzucała badawcze spojrzenia na uprzywilejowane miejsca. Uśmiechnęła się znacząco kilkakrotnie, może tylko, by ładne zęby pokazać, a może też, by powitać kogoś znajomego. Gdy spojrzała do loży rumuńskiego księcia, nietylko się uśmiechnęła, lecz nawet przez chwilę przymknęła oczy, jakgdyby przesyłając milczące pozdrowienie. Klaudyusz spostrzegł to wyraźnie i sprawiło mu to przykrość, sam nie wiedział dlaczego. Daremnie czekał, by zwróciła się i ku niemu. Wysunął się nieco naprzód, położył lewy łokieć na poręczy loży, oparł twarz na dłoni, otworzył zlekka usta i oddychał wolno a głęboko.

Dziewczyna śpiewała wesołą wiedeńską piosenkę. Klaudyusz rozumiał wprawdzie tylko pojedyńcze wyrazy, ale był to, o ile się zdawało, hymn na cześć walca, którego prawdziwą poezyę tylko prawdziwa „krew wiedeńska“ ocenić może. Śpiewała dość przyjemnym głosem, bez żadnej szkoły ale z figlarną werwą, która zachwyciła Klaudyusza. Podczas pierwszej smętnej części wykonywała te same wstrętne, konwencyonalne ruchy, co wszystkie inne szansonistki, gdy wszakże zaczynał się charakterystyczny rytm, w którym trzymana była zwrotka, budziło się w niej nagle inne życie, swywolna, naturalna filuterność dźwięczała w każdym tonie, wybiegającym z jej krtani, przebijała się w każdem mrugnięciu jej przebiegłych oczu, w każdym ruchu jej wdzięcznej postaci. Wszystko w niej drgało życiem i weselem. Zwrotka oddziaływała, jak zapowiedź niewysłowionych uciech.

Gdy skończyła klaskano, jak po innych produkcyach artystycznych. Ale Klaudyusz bił w swoje szerokie dłonie z taką wytrwałością i siłą, że siedzący bliżej uśmiechali się, Kathi zaś, zauważywszy nareszcie wysiłki płowego olbrzyma, przesłała ku jego loży grzeczny ukłon, a w końcu, ponieważ Klaudyusz podsycał i utrzymywał swemi nieustającemi oklaskami zapał publiczności, wysunęła się znów na przód sceny i dodała jeszcze jedną piosnkę. Twarz jej, dotąd uprzejmie uśmiechnięta, przybrała nagle rzewny, bolesny wyraz i przyciszonym głosem zaczęła Kathi śpiewać śliczną piosenkę Koschat'a, „Skargę Moizi:“

„Odkąd miły mnie porzucił,
Znikł jak sen,
Sama jestem jak na polu
Kamień ten.
Do kościoła pójdę, klęknę
W ranny czas,
Może smutek mój wypłaczę
Chociaż raz!“

Ani jedna dłoń nie poruszyła się do oklasku. Śród publiczności zapanowało usposobienie, które możnaby prawie skupieniem ducha nazwać. Leon chciał szepnąć Klaudyuszowi jakąś uwagę, ale ten poruszył się gwałtownie i nachmurzył. Leon tedy zamilkł. Kathi śpiewała końcową strofkę:

„Na tej sośnie zieleń świeża
Cały rok

Gdzie mi miłość swą przyznawał
W cichy zmrok.
Gdzie przysięgał, gdzie przyrzekał
Pojąć mnie,
Tam się odtąd do tych lasów
Dusza rwie.
Tam podążam z utęsknieniem
Z naszych pól,
Tam boleśniej opuszczenia
Czuję ból.“

Na twarzy Kathi malował się rozdzierający smutek, a głos jej dźwięczał, niby stłumione, melodyjne łkanie. Gdy przebrzmiały ostatnie tony, twarz jej przybrała dawny wesoły, figlarny wyraz, i, kłaniając się na wszystkie strony, wybiegła szansonistka za kulisy. Teraz zagrzmiały zewsząd oklaski. Wywoływano ją dwa, trzy razy. Kathi uśmiechała się coraz uprzejmiej i potrząsała skromnie główką, jakgdyby chciała powiedzieć, że zaszczyt to wcale niezasłużony; a gdy klaskano dalej, dała do zrozumienia wzruszeniem ramion i spojrzeniem na kapelmistrza, że nie była przygotowana na takie odznaczenie i nic więcej zaśpiewać nie potrafi. Klaudyusz nie przestawał wprawdzie klaskać, ale zaczęto już protestować i musiał dać za wygranę.

— Dałbym dużo za to, żeby jeszcze raz tę piosnkę powtórzyła,— rzekł do Leona.—Jak to było? „Sama jestem... jak na polu kamień...“ To czarująca osoba ta panna Schöne. Czy niema możności zapoznać się z nią?

— Nic prostszego,—odparł Leon.—Zaproszę ją, żeby poszła z nami na kolacyę.

— A czy ona tak bez ceremonii przyjmie zaproszenie?

— Dlaczegóżby nie?

— Szkoda! Ale sprawiłoby mi to jednak bardzo wielką przyjemność.

Leon kazał kelnerowi przynieść kopertę, napisał na swojej karcie parę słów, za adresował: „Wielmożna Kathi Schöne. Pilno“ i posłał z bilecikiem kelnera, który snać był przyzwyczajony do podobnych zamówień,— do garderoby damskiej. Kelner niebawem wrócił z odpowiedzią. Klaudyusz pochylił się ciekawie naprzód i przeczytał: „Niestety nie mogę. Przyjęłam już na dziś zaproszenie.“—„Już“ było napisane przez *sz.*

Klaudyusz obruszył się gwałtownie. Tak się cieszył i znów nic z zabawy. Tym dziewczętom nigdy niemożna ufać. Wszędzie są te same. Stał się niemal patetycznym i był bliskim wydania bardzo surowego i niesprawiedliwego sądu o całym rodzie kobiecym, gdy Leon przerwał mu bardzo słuszną uwagą:

— Nie możesz przecież wymagać, żeby panna Kathi Schöne czekała dopóki nieznany jej pan Klaudyusz Bewer przyjedzie z Sumatry do Berlina i zaprosi ją na kolacyę.

— Masz słuszność,—odparł Klaudyusz zmienionym tonem; a po chwili dodał: — Jeżeli nie masz nic przeciw temu, to pójdziemy. Te awantury tu zaczynają mnie nudzić.

Wstali i zwrócili się ku wyjściu.

— Chciałbym jednak wiedzieć. — odezwał się Klaudyusz,—z kim ta dama idzie na kolacyę.

— Możemy jej się zapytać.

— Jakto?

Leon spojrzał na przyjaciela zdumiony.

— Jakto?—powtórzył. — Pójdziemy poprostu do niej i zapytamy się.

— Jutro?

— Nie, zaraz. Chodź tylko!

Leonowi sprawiało to pewną satysfakcyę, że mógł przyjacielowi dowieść, iż, jako królewski aktor nadworny posiada niemałe znaczenie. Zawrócił się i, z pewnością człowieka obeznanego z miejscowością, poszedł ku małym drzwiom na końcu korytarzu, które, mimo napisu: „Wejście wzbronione,“ otworzył bez wahania. Weszli za kulisy. Panowała tu straszna temperatura. Upał był prawie nie do zniesienia, a powietrze przepełnione wszelkiemi możliwemi wyziewami. Minęli rodzinę akrobatów złożoną z sześciu osób, która w chwilę potem z dzikim wrzaskiem wpadła na jasno oświetloną scenę i powitana została grzmiącemi oklaskami. Reżyser poznał Leona i powitał go jak kolegę, ale z pewnym szacunkiem, poczem sam zaprowadził obu przez karkołomne schody przed drzwi garderoby. Ponieważ poważna primadonna, która dzieliła garderobę z Kathi odbyła już swoją pańszczyznę i opuściła teatr, przeto szansonistka była sama.

— Panno Schöne! — zawołał pan Fechter, reżyser, zapukawszy do drzwi, — prędko pani będzie gotowa?

— Zaraz!—odpowiedziano z wewnątrz.—Cóż się tam stało?

Klaudyusz, usłyszawszy dźwięczny głos, doznał mimowolnego wzruszenia.

Biblioteka Śląska

— Pewien pan, jeden z moich kolegów, chciałby z panią pomówić.

— Dobrze. Będę zaraz gotowa. Jeszcze chwilkę!

Czekając podedrzwiami Leon zapytał o dochody, a Fechter odpowiedział z dumą, że teatr w ostatnich czasach,—od chwili kiedy on ujął rządy w swoje ręce i zaprowadził porządek i karność,—cieszy się niebywałem dotąd powodzeniem. Zaznaczył jednocześnie, że właściwie nie jest tu na odpowiedniem stanowisku; że nawiązał układy z większym teatrem nadwornym skutkiem czego będzie mógł wkrótce wykazać całą swą umiejętność, cały swój talent reżysera dzieł klasycznych. Klaudyusz nie rozumiał ani słówka z tego, co adepci sztuki sobie opowiadali, słyszał tylko odgłos drepczących, szybkich kroków w garderobie. Rygiel odsunął się, klamka poruszyła, drzwi się otworzyły i Kathi stanęła przed czekającymi mężczyznami. Wyglądała jeszcze daleko ładniej w zwyczajnym stroju. W ciemnej sukni letniej, w białym stojącym kołnierzyku z krawatem męskim na węzeł marynarski zalotnie zawiązanym, było jej bardzo do twarzy. Starła szminkę i cudowna matowo biała cera teraz dopiero uwydatniła się należycie.

— Domyśliłam się zaraz, że to pan! — rzekła do Klaudyusza. — Jezu słodki! ale też pan umie klaskać! Zamówię sobie pana na mój benefis... Może panowie raczą wejść?—dodała.

Kathi mówiła najczystszym wiedeńskim dyalektem. Klaudyusz rozumiał ją z trudnością, ale oryginalna wymowa, intonacya i harmonijny dźwięk głosu oddziaływały na niego upajająco, jak łagodna melodya.

Uśmiechał się z zadowolenia. Nie zwracał najmniejszej uwagi na nędzne otoczenie pokoju, do którego wszedł z towarzyszami; upał, który mu potem skraplał czoło, był mu równie obojętny, jak zepsute przez trzy palące się płomienie gazowe duszne powietrze.

— Czy wiesz co, moje dziecko, — zaczął Leon z poufałością, która niemile dotknęła Klaudyusza,—że zasmuciłaś nas głęboko twoją odpowiedzią.

— I mnie jest bardzo przykro, — odpowiedziała Kathi.—Ale, pomimo najszczerszej chęci, nie mogę; Levini pojechała już naprzód z baronem Albersdorff (była to primadonna i nazywała się poprostu Levi), a teraz Strusa czeka na mnie. Mamy jechać do Flory, na włoską zabawę nocną. Dziś więc niepodobna, ale jutro będę wolna.

— Nie, dziś!—rzekł Klaudyusz z komiczną stanowczością.—Dzisiaj! Niech sobie Rumun z Albersdorffem jadą sami, a my pozostaniemy razem! Proszę panią o to bardzo, moja droga pani! Przyjechałem dzisiaj popołudniu z Sumatry i powracam jutro rannym pociągiem znów na Sumatrę. Nie mam więc czasu do stracenia a Rumun może czekać. Zjemy gdziekolwiek kolacyę, weźmiemy ekstrapocztę do Dessau, albo dokąd pani zechce, zabawimy się i wyśmiejemy tamtych, co czekają na panią we Florze. Pójdź pani!..

— A to byłaby dopiero „heca!“—rzekła Kathi z filuternym uśmiechem, który dowodził, że jej poprzednie postanowienie nie jest niezłomne. Pociągała ją głównie myśl spłatania figla i pozostawienia tamtych na koszu.

— Musi pani pójść z nami!—nalegał Klaudyusz.

Leon dopomagał mu zręcznie, a gdy i reżyser, który chciał się przypodobać koledze, użył swojej powagi na korzyść petenta i zaczął perswadować Kathi, że nie zaszkodzi, jeśli Rumun zostanie zachwiany w swej pewności siebie, śpiewaczka, klasnąwszy w dłonie, zawołała wesoło:

— A więc dobrze. Pójdę. Będzie „heca!“

Zrzuciła leżące jeszcze na krześle rzeczy na brudną podłogę, usiadła przy tualecie, na której zrobiła trochę miejsca i napisała szybko niewprawnym charakterem: „Jaśnie oświecony książe! Nie mogę. Ciotka nie pozwala. Innym razem.

K. S.“

— Fechter, musisz pan to za dziesięć minut posłać do loży!—rzekła, podając ze śmiechem bilecik reżyserowi. Upudrowała się zlekka, włożyła kapelusz i wsunęła rękę pod ramię olbrzyma, który w tej chwili czuł się może szczęśliwszy, niż kiedykolwiek w życiu.

— A teraz, prędko!—zawołała Kathi.

Pożegnali reżysera i zeszli ze stromych schodów. Leon dążył za nimi. Kathi, osłonięta kulisą, wychyliła się jeszcze, by zobaczyć, że książe Strusa nie opuścił loży i gdy grzmiące oklaski widzów wynagradzały produkcye rodziny akrobatów, opuścili we troje duszną atmosferę teatru. Klaudyusz nieśmiało i z lekka przyciskał rękę ślicznego stworzenia, które się na jego ramieniu opierało. Kathi nie zauważyła tego, albo też zauważyć nie chciała.

Wieczór był piękny i chłodny; w porównaniu z żarem, jaki panował na scenie i w garderobie, prawie zi-

muy. Dreszcz wstrząsnął postacią Kathi, gdy wyszła na świeże powietrze, podciągnęła tedy w górę ramiona i przytuliła się z całą swobodą mocniej do Klaudyusza, który ponownie przycisnął kształtną rękę.

— Nietrzeba!—upomniała teraz Kathi z całą naturalnością, uderzając zlekka olbrzyma wachlarzem po ramieniu.—Dokąd pojedziemy?—spytała jednym tchem.

— Gdzie pani rozkaże,—odparł Klaudyusz.—Jestem tu obcy.

— Do Thielego do Charlottenburga,—zaproponował Leon.

— Można,—przytwierdziła Kathi.

— A więc do Thielego do Charlottenburga!—zawołał Klaudyusz na woźnicę.

Podczas jazdy po bruku miejskim i po piasku szosowym niewiele rozmawiano. Klaudyusz nie odwracał wzroku od ładnej dziewczyny, która wcisnęła się wygodnie w kąt i czubek nogi oparła o przednie siedzenie. Czekał niecierpliwie od jednej latarni do drugiej i cieszył się za każdym razem, gdy jaśniejsze światło gazowe pozwoliło mu ujrzeć w przelocie ujmujące rysy bladej twarzy lub koniec drobnej stopy.

Dorożka stanęła,—minęli ogród, w którym grono czcigodnych filistrów zapijało piwo, i weszli do domu, a kelner zaprowadził ich do niewielkiego, na pierwszem piętrze położonego pokoju, gdzie znajdował się stół nakryty na cztery osoby. Klaudyusz dopomagał Kathi przy zdejmowaniu kapelusza, poczem Kathi poprawiła przed zwierciadłem ciemne włosy. Kelner przedstawił możliwie kosztowne *menu*, które zostało z małemi zmianami *en bloc* przyjęte i zniknął. Leon

otworzył staroświeckie pianino, które wiele ucierpiało skutkiem długoletniego maltretowania przez gości i było strasznie odstrojone; zaczął grać gawota Ludwika XIII-go w zdumiewająco prostym układzie, widocznie mniej z zamiarem popisania się ze swemi umiarkowanemi zdolnościami muzycznemi, niż kierowany chęcią nieprzeszkadzania w rozmowie parze, która zasiadła przy stole.

Ale rozmowa ta nie była ożywiona. Klaudyusz siedział ze skrzyżowanemi rękoma i łokciami opartemi na stole naprzeciwko Kathi, która ciągle jeszcze zajęta była swoją tualetą, i milczał. Nie pragnął wcale mówić, był zupełnie zadowolony. Naraz wyciągnął ku Kathi swoje szerokie dłonie i, uśmiechając się, spojrzał na nią ciepło, serdecznie. Kathi, bez ceregieli, posłuszna milczącemu wezwaniu, podała mu ręce. Olbrzym długo trzymał drobne rączki na uwięzi, a gdy zabierał się do wstania i pochylenia ku Kathi, dziewczyna cofnęła się i wysunęła dłonie z czułego uścisku. Zaraz potem wszakże położyła znów palce swoje na ręce olbrzyma i wybijała na niej takt gawota, który Leon wygrywał niezmordowanie. Bawiła się też wielkim dyamentem, jaki Klaudyusz miał w pierścionku na małym palcu lewej ręki; roziskrzone odblaski kamienia sprawiały jej widoczną uciechę. Klaudyusz zdjął pierścionek i włożył go na palec wskazujący Kathi. Roześmieli się oboje z wielkości pierścionka i miniaturowych rozmiarów palca. Kathi zdjęła klejnot, po chwili i podała go Klaudyuszowi. Ale on potrząsnął głową.

— Niech pani ten pierścionek zatrzyma,—rzekł zcicha.—Na pamiątkę po mnie. Tak bym pani chciał coś podarować. Proszę, niech pani przyjmie!

Kathi zmieszała się naprawdę. Tyle doświadczenia miała, żeby, spojrzawszy na pierścionek, wiedzieć, iż Klaudyusz zamierza jej ofiarować bardzo kosztowny podarunek. Podniosła wzrok na Klaudyusza. W oczach jego przebijał się wyraz wzruszającej serdeczności i szczerej prośby.

— Ależ to niemożna!—rzekła Kathi również cicho lecz z pewnym przymusem.

— Proszę panią bardzo,—nalegał Klaudyusz czułym tonem.—Zrobi mi pani prawdziwą przyjemność.

Kathi uważała za stosowne podrożyć się jeszcze trochę.

— Jakże ja mogę przyjąć od pana taki kosztowny podarunek? Wszak my się wcale jeszcze nie znamy.

— Nie znamy się, ale pani mi się bardzo podoba i chciałbym pani to w jakikolwiek sposób okazać. Niechże pani nie robi tyle ceregieli z taką drobnostką. Przyjmując moje zaproszenie już mi pani sprawiła przyjemność, zróbże mi pani jeszcze większą uciechę i pozwól na ten dowód mojej wdzięczności.

— Jeżeli pan już tak koniecznie chce i naprawdę nie żałuje, to dziękuję panu serdecznie! Co to za cudowny kamień! Jakże się nim cieszę! Ani mi się marzyło, że mnie dziś jeszcze spotka podobna niespodzianka! Doprawdy wspaniały!

Podeszła znów do zwierciadła rozwiązała krawat

i przesunęła go przez pierścionek, którego barwne promienie mieniły się teraz silniejszym jeszcze ogniem. Kathi była szczerze uradowana, co uszczęśliwiało Klaudyusza, Leon zaś z uczuciem wciąż wygrywał gawota.

— Czy pan naprawdę jutro wyjeżdża? — spytała Kathi, siadając znów na swojem miejscu i przyciskając podbródek do szyi, by widzieć blask kamienia.

— To zupełnie zależy od pani.

— Odemnie?

— Tylko od pani. Przybywam z obczyzny i jestem teraz bez własnej siedziby. Nie mam też żadnych określonych planów. Osiedlę się tam, gdzie mi się będzie podobało. A tutaj podobałoby mi się, gdyby pani zechciała przy mnie pozostać. Jeżeli pani nie może się na to zdecydować, wyruszę dalej.

— Jak pan może takie rzeczy mówić! Pan pewnie żartuje sobie ze mnie?

— Nie, zapewniam panią. Jakże ja to pani wytłómaczę nieośmieszając siebie? Nie jestem wymowny i nie potrafię pewnych rzeczy należycie wypowiedzieć. Ale pani mnie i tak zrozumie, jeśli pani tylko zechce. Podoba mi się pani, widok pani sprawia mi przyjemność i nie chcę wcale myśleć o tem, że mam znów sam pozostać. Czy potrzebuję mówić jeszcze więcej?

Wchodzący z potrawami i napojami kelner, uwolnił Kathi od trudnej odpowiedzi. Leon, który pięć razy odegrał gawota, podniósł się z głośnem westchnieniem.

— Nakoniec!—zawołał.—I Bogu dzięki! Dzieci,

zaimponuję wam moim apetytem!—rzekł, siadając i rozkładając serwetę.

Jakoż dotrzymał słowa. Wziął potężną porcyę, którą spożywał z widocznem zadowoleniem, gdy Kathi jadła bardzo mało a Klaudyusz nic zupełnie. Leon zauważył wędrówkę pięknego pierścionka z palca Klaudyusza na krawat Kathi... i, biorąc świeży kęs na widelec, mrugnął na nią i zawołał: „Oho! winszuję!“ Sam ponosił koszta rozmowy. Zajadając ciągle z apetytem i wychylając jeden kieliszek za drugim, opowiadał różne wesołe anegdotki.

Kathi umilkła. Ogarnęło ją pewne zakłopotanie, nie wiedziała dobrze co począć z tym wielkim blondynem, który całkiem niezwykłym tonem do niej przemawiał.

Ton ten był dziwnie poważny i pełen szacunku. Klaudyusz mówił zupełnie inaczej, niż naprzykład rumuński książe, któremu wprawdzie także nie było wolno zachowywać się względem niej z zanadto wielką swobodą, ale który zawsze odzywał się do niej poufale i nigdy nie powiedział nic takiego, nad czem choć przez chwilę musiałaby myśleć. I przyszło jej nagle do głowy, że właściwie nie namyślała się nigdy nad niczem, ani też nic uprzednio nie rozważała. A teraz szczególne postępowanie olbrzyma zastanawiało ją, usiłowała odgadnąć tę zagadkę i troszczyła się już o to, co się w przyszłości stać mogło. I jak to wszystko nagle przyszło! Usposobienie, jakie nią niespodzianie owładnęło, było dla niej czemś całkiem obcem,—była to dziwaczna mieszanina niepokojącej ciekawości i radosnego zdumienia. A więc istniało w niej jeszcze coś głęb-

szego, o czem sama nie wiedziała, a czego nikt w niej dotąd nie pokusił się rozbudzić? Jak się to stało, że ten obcy człowiek właśnie strunę ową poruszył?

Badawczym wzrokiem wpatrzyła się w Klaudyusza. Teraz dopiero zauważyła jego prawdziwie męską urodę i ogarnęło ją uczucie dumy, na myśl, że ten wielki, silny mężczyzna, wydawał się takim pokornym i bezbronnym wobec słabej kobiety; trącając nagle swoim kieliszkiem o kieliszek jego rzekła:

— Powinienbyś pan zostać z nami.

— Zostanę, jeśli takie życzenie pani, — odparł Klaudyusz tonąc spojrzeniem w jego oczach, poczem do dna wychylił kieliszek.

Leon był człowiekiem dyskretnym, a ponieważ zaspokoił apetyt, przeto zasiadł znów do fortepianu i odważył się na walca „Nad pięknym modrym Dunajem.“ Klaudyusz usiadł na kanapie obok Kathi i wziął ją za rękę.

— Zostanę, — powtórzył, — dopóki pani zechce. Nie radbym wpadać w czułość,—dodał półgłosem,—ale muszę pani powiedzieć, że od wielu lat nie byłem taki zadowolony i szczęśliwy jak teraz, przy pani. Nie znamy się, to prawda! Ale, czego to dowodzi? Nie potrzebuję wiedzieć o pani nic więcej nad to, co już wiem. Tęskniłem za czemś nieznanem i jest mi tak, jakgdybym nareszcie znalazł to, czegom szukał. Oto wszystko co teraz czuję i wszystko co pani powiedzieć mogę. Jak się to tak odrazu stało, sam nie wiem. Czy to sprawa pani spojrzenia, pani postaci, czy też czarującego dźwięku głosu, a może szczególnego uroku dyalektu pani? Pytam siebie daremnie i nie mogę znaleźć

odpowiedzi. Wiem tylko, że mnie pani teraz uszczęśliwia i że boję się chwili, w której będę musiał rozstać się z panią.

Kathi słuchała go z wzrastającem zadowoleniem, lecz nie znalazła żadnej innej odpowiedzi prócz słów: „Dziwna rzecz!“

Cofnęła mu zwolna rękę, podniosła się i podeszła do fortepianu, którego klawisze Leon ciągle jeszcze nielitościwie obrabiał.

Kathi uderzyła go po ramieniu, a gdy wstał zajęła jego miejsce. Grała bez wprawy, ale bardzo muzykalnie. Nieproszona śpiewała jedną pieśń austryacką po drugiej. Klaudyusz był zachwycony. Przyszła mu na myśl owa gorąca niedziela na Sumatrze, kiedy w zacienionym pokoju dojrzał w nim plan powrotu do Niemiec, i powiedział sobie, że tęsknota jego nareszcie została ukojona. Gdy zaś Kathi z głębokiem uczuciem zaintonowała znów rzewną piosenkę karyntyjską o opuszczonej dziewczynie, byłyby Klaudyuszowi niewątpliwie stanęły łzy w oczach, gdyby się nie wstydził Leona, który nalał sobie ponownie kieliszek. Pełen prostoty obraz: „sama jestem jak na polu kamień ten,“ — zrobił znów na nim głębokie wrażenie i wrył się głęboko w jego duszę. Zaledwie przebrzmiały ostatnie wyrazy:

„Tam boleśniej opuszczenia
Czuję ból!“

gdy głośna rozmowa i hałas w sąsiednim pokoju oznajmił nowych gości. Cienkie ściany pozwalały rozróżniać

nawet pojedyńcze głosy przybyłych. Kathi nasłuchywała.

— Strusa, Albersdorff i Levini,—rzekła po chwili półgłosem.—Towarzystwo z Flory... Pójdźmy!

Klaudyusz zażądał rachunku, a Kathi, kładąc kapelusz przed lustrem, przypatrywała się z uciechą odbiciu roziskrzonego brylantu.

Potrwało dobrą chwilę, zanim kelner przyniósł rachunek, usiedli tedy jeszcze wszystko troje, gotowi już do wyjścia. Obok krzyczano, śpiewano, śmiano się do rozpuku. Oni milczeli.

„Tamci bawią się na swój sposób“—myślała Kathi. „Ta sama przyjemność była i mnie przeznaczona. Myśmy się nie śmieli, ale mimo to jestem z wieczoru zadowolona.“ Niewątpliwie, — była z wieczoru zadowolona. Gdyby jednak miała szczerze odpowiedzieć na pytanie: czy nie bawiłaby się lepiej w towarzystwie Levini, kto wie, jak wypadłaby odpowiedź.

Po zapłaceniu rachunku wyszli, minęli szybko drzwi sąsiedniego pokoju i śród orzeźwiającej nocy letniej powrócili do miasta.

Przed domem na Zimmerstrasse nr 99 Klaudyusz pożegnał Kathi. Pozwoliła mu złożyć wizytę nazajutrz.

Gdy drzwi od sieni zamknęły się a Klaudyusz stał ciągle, nasłuchując odgłosu oddalających się kroków Kathi, Leon rzekł:

— Chodź!.. Na co tu jeszcze czekamy? Ładna dziewczyna ale sprawiła mi zawód! Byłem pewny, że się uśmiejemy, a tu ani słowa z niej wydobyć! Siedzi, jak szarytka przy łóżku chorego i to nazywa „hecą!“

Bardzo mi przykro, żem ci nic lepszego nie mógł dostarczyć.

— Ani słowa więcej,—odparł Klaudyusz, wsuwając rękę Leona pod swoje ramię. — Sprawiłeś się dobrze! Jestem z ciebie zadowolony, mój synu!

— W takim razie wymagania twoje są skromne. Ładna jest, nie przeczę, ale dyabelnie nudna!

— Słuchaj, Leonie, —zaczął znów Klaudyusz, po chwili, gdy szli wolnym krokiem po pustej ulicy, była już bowiem pierwsza po północy, — wyśmiejesz mnie, ale nie dbam o to. Jestem w pannie Schöne zakochany po uszy i wiem co mi czynić należy. Jam już nie dziecko. Znałem dziesiątki panien i kobiet ze wszystkich stanów, ze wszystkich krajów, a nigdy dotąd żadna nie wywarła na mnie takiego wrażenia. Gdybym sobie nie był powiedział, że to szaleństwo, kazałbym teraz dom otworzyć i byłbym zadowolony, gdybym mógł czuwać pod jej drzwiami, byle tylko być blisko niej. Dziecinne to i głupie. Ale mi wszystko jedno. Jestem stanowczo zdecydowany zrobić wszystko, by tę dziewczynę przy sobie zatrzymać. Przez dziesięć lat mordowałem się między dzikimi, nie wiedziałem co to uciechy życia. Teraz nareszcie chcę iść za popędem moich skłonności. Nie potrzebuję dbać o nikogo na całym bożym świecie, jestem wolny i niezależny, nie potrzebuję nikomu zdawać sprawy z moich czynów. Resztę sam sobie dopowiesz.

Leon oniemiał ze zdumienia. Nie zdołał nic innego powiedzieć tylko:

— Na litość Boską!

— Nie perswaduj mi! Jeśli jesteś moim przyjacielem, Leonie, to mi dopomóż. Postaraj się dowiedzieć, jaką jest przeszłość panny Schöne.

— Ależ, Klaudyuszu! Zastanówże się! Cóż ty chcesz zrobić?

— Jestem zdecydowany ożenić się z panną Kathi Schöne, jeśli jest uczciwa...

— A jeśli jest płocha?

— Wziąć ją za kochankę! Pojadę z nią wówczas za morze... mogę nawet powrócić na Sumatrę. Ale Kathi musi należyć do mnie, do mnie i do nikogo innego!

Ostatnie wyrazy wymówił drżącym głosem i przycisnął ramię Leona z taką siłą do swego boku, że aktor drgnął z bólu.

— Bierz pod uwagę tymczasem ostatnią ewentualność, by sobie oszczędzić rozczarowań, — odparł Leon.—Baw się z Kathi, a jeśli koniecznie chcesz się ożenić, to się żeń z inną! Nie bierze się przecież tak bez namysłu za żonę osoby, która tylko ulegając kaprysowi wycofała się na dziś wieczór z towarzystwa księcia Strusy i signory Levini!

Leon miał niewątpliwie słuszność, ale to właśnie rozdrażniło Klaudyusza.

— Brzydkie to przyzwyczajenie, — rzekł gniewnie,—mówić ludziom, których się lubi, rzeczy co muszą im sprawić przykrość. Nie chcę, żeby mi teraz ktokolwiek przypominał księcia Strusę. Nie robię sobie żadnych złudzeń i wiem, że noszę się z myślą, którą filister potępiłby niewątpliwie. Ale ty, jako artysta, powinienbyś przecież zrozumieć, że nie każdemu może odpowiadać to, co jest prawidłowe. Jeśli kiedy-

kolwiek myśl o utworzeniu domowego ogniska zamajaczyła w mojej głowie, unikałem jej zawsze z obawą albowiem uważałem, że zastosowanie się do ogólnie przyjętych prawideł jest jedyną możliwą jego podstawą. A gdy sobie uprzytomniłem cnotliwą, czysto ubraną gospodynię domu w białym czepeczku, w białym fartuchu i z pękiem kluczy, żonę, która, gdy ja mówiłbym jej o miłości myślałaby o rachunku z kucharką i wielkiem praniu, wówczas jednocześnie z wysokim szacunkiem, jaki we mnie wzbudzała ta przykładna osoba, ogarniała mnie zawsze tajemna trwoga na myśl, że mógłbym przy boku takiej zacnej kobiety dni moje zakończyć.

Doszli do końca ulicy; Leon chciał skręcić ku alei pod Lipami, ale Klaudyusz nie dopuścił do tego, przeszedł z nim przez ulicę na przeciwny chodnik i zawrócił napowrót na Zimmerstrasse.

— Teraz,—ciągnął dalej, — patrzę na tę możliwość utworzenia własnego domowego ogniska z całkiem innej, daleko przyjemniejszej strony. Nic mi nie zależy na spokoju i tak zwanym porządku. Chcę żyć i używać. Nie potrzebuję żony, którąby mi guziki do koszul przyszywała, potrzebuję istoty wesołej, którąby mnie podniecała, śpiewała miładne piosenki, której słucham teraz z rozkoszą, jakiej ci wcale opisać nie mogę, i pragnąłbym słuchać od wczesnego ranka do późnego wieczora, której widok daje mi głębokie wewnętrzne zadowolenie... potrzeba mi natury artystycznej, towarzyszki, kochanki! Takie szczęście, wiem o tem dobrze, nie bywa nigdy niezamąconem. Musi być okupione ofiarami.

Westchnął głęboko i dodał ciszej:

— Ciężkiemi ofiarami niekiedy! Ale w takim razie trzeba być filozofem i powiedzieć sobie: że nie w człowieka to mocy nieodwołalną przeszłość zmienić.

Mówił teraz z mniejszą pewnością siebie. Naprzeciwko domu, w którym Kathi mieszkała, zatrzymał się. Cisza zupełna panowała na ulicy. Na pobliskim rogu stał stróż nocny i rozmawiał z kolegą sąsiedniego rewiru. Wszystkie okna były ciemne. W zawieszonych firankami oknach narożnych jedynie jaśniało światło.

— Mnie obchodzić tylko powinna czystość teraźniejszości i przyszłości, która będzie do mnie należała. A za tę zaręczę, wierzaj mi! — ciągnął Klaudyusz dalej, patrząc nieustannie w oświetlone okna.— A czy nie możesz też sobie wyobrazić jak dalece by mnie to uszczęśliwiło, żebym mógł podnieść taką śliczną i miłą dziewczynę, wykształcić ją, otoczyć troskliwością, miłością moją uszlachetnić, wprowadzić niejako dopiero w życie? Bądź pewien, że o obowiązkach tych pamiętać będę i podjęte zadanie święcie wypełnię. Boże drogi, kto to wie, jakie to biedne stworzenie miało dziecinne lata, jakie miało przykłady przed oczyma? Dość spojrzeć w te jasne, szczere oczy, żeby się przekonać, że to nie jest natura ani zła, ani zepsuta. Tak nie patrzy dziewczyna, która się świadomie odwróciła od prawej drogi. Można tu może mówić o nieszczęściu ale nigdy o winie. A jeżeli istnieje człowiek, który ma prawo zająć swobodniejsze, czysto ludzkie stanowisko i sądzić pobłażliwiej niż wyrokuje samolubne społeczeństwo, to tym człowiekiem jestem

ja, który stoi zdala od tego społeczeństwa i wcale się do niego zbliżyć nie chce. Cóż ja takiego chcę zrobić? Ożenić się w najgorszym razie z wdową, która nie była zamężna.

Ton, jakim Klaudyusz wygłaszał te argumenty, był pokorniejszy, niż ich znaczenie. Czuł potrzebę usprawiedliwienia przed sobą samym i przed przyjacielem powziętej decyzyi, jako zupełnie rozsądnej. Ale nie mógł jakoś sam oswoić się z przytaczanemi dowodami. Doznawał przytem uczucia szczególnego zaniepokojenia i drażniło go, że Leon milczał uporczywie, i nie podniecał go oporem, ani też popierał przytakiwaniem. Światło zgasło w oknach. Wówczas Klaudyusz znalazł jedyny trafny argument, który wszystko wyjaśniał.

— Cóż ja ci jeszcze powiem,—rzekł z westchnieniem, patrząc smutnie na dom pogrążony teraz w zupełnej ciemności.—Jestem zakochany.

Leon nakłonił przyjaciela, by poszli dalej. Klaudyusz spojrzał się jeszcze kilka razy ku oknom Kathi, których już od innych nie można było odróżnić. Gdy byli już na końcu ulicy, Leon usiłował powtórnie skręcić w stronę Lip, ale Klaudyusz znów zawrócił i zniewolił przyjaciela do chodzenia tam i napowrót po Zimmerstrasse. Mówił ciągle z jednakim zapałem, a Leon, którego stopniowo ogarnęło wielkie zmęczenie, słuchał już tylko jednem uchem. Klaudyusz, zazwyczaj niezwierzający się łatwo, nie mógł dziś wcale skończyć. Gdy stróż nocny wygwizdał trzecią godzinę po północy, spojrzał jednak uważniej na tych dwóch mężczyzn, którzy ciągle jeszcze tym samym wolnym kro-

kiem spacerowali w tę i w tamtą stronę po chodniku.

Na wschodzie zaczęło się rozjaśniać. W szybach niższych piętr odbijał się blask złocistej jutrzenki. Pogaszono latarnie uliczne. Tu i owdzie odzywał się turkot wozu. Miasto budziło się zwolna.

— A teraz, dobranoc!—rzekł Leon, zbierając się nareszcie na odwagę;—jestem śmiertelnie znużony i dłużej nie wytrzymam! Tobie miłość sen odpędza, mnie nie. Wszak zobaczymy się jutro, a raczej dzisiaj; wiesz, gdzie mnie zawsze znajdziesz; a jeśli dowiem się czegoś takiego, coby cię mogło interesować, przyjdę do ciebie. Bywaj zdrów! spokojnego snu! Hola!—zawołała na śpiącego dorożkarza, wstrząsając nim gwałtownie.—Markgrafenstrasse 65. Ale kłusem!

Woźnica ziewnął, przeciągnął się, zlazł wolno z kozła, odpiął koniowi wypróżniony oddawna kubeł z paszą, wszedł znów równie wolno na kozioł i pognał batem starą, zbiedzoną szkapę, wołając zcicha: „Wio!“ Klaudyusz przeszedł jeszcze raz mimo domu Kathi i udał się piechotą do Kaiserhofu.

Spał mocno i bez marzeń. Kathi tymczasem śniła o Brazylijczyku z „Życia paryskiego,“ a gdy obudziła się rano i z nawpół przymkniętemi jeszcze oczyma chwyciła po pierścionek do szufladki nocnego stolika, zanuciła mimowoli wesołą melodyę:

„Jestem Brazylijczykiem, pieniądze mam,
Przybywam z nowego świata.“

przyglądając się z uciechą barwnym promieniom klejnotu, migocącym w słońcu. Ubrała się dzisiaj ze szczególną starannością. Poleciła gospodyni, pani Milcke, sprzątnąć pokój porządnie, albowiem spodziewa się wizyty około godziny pierwszej. Sama zaś wyrzuciła z niegustownych wazonów porcelanowych zwiędłe bukiety i położyła na owalnym stole przed kanapą, nakrytym serwetą szydełkową, wielki album do fotografii, który zawierał wprawdzie niewiele wizerunków ale za to przy otwieraniu grał popularną piosnkę.

Klaudyusz przed dwunastą wyszedł ze swego pokoju. Ubrał się, zjadł śniadanie i nie wiedział co z tą

długą godziną począć. Zatrzymał się w sieni i zaczął czytać porozwieszane ogłoszenia. Mimowoli odszukał najpierw afisza Walhalli. Program był ten sam co poprzedniego wieczora. Niemile go dotknęło, że figurowało na nim nazwisko Kathi Schöne. I rozgniewało go nawet, że zecer do tego nazwiska wybrał mniej pokaźne litery, niż do nazwiska Vittorii Levini i rodziny akrobatów. Doznał poniekąd uczucia obrażonej próżności. Wnet wszakże zawstydził się śmiesznego uczucia tego i wyszedł zwolna na plac przed hotelem. Bez określonego celu chodził po ulicach. Upał był nieznośny. Przy pierwszym słupie z ogłoszeniami Klaudyusz stanął i znów odczytał afisz Walhalli. Poszedł dalej. Teraz już chyba musiał być z godzinę w drodze. Spojrzał na zegarek. Było dwadzieścia minut po dwunastej. Zatrzymał się przed oknem sklepu jubilerskiego. Wtem wpadło mu na myśl, że będzie bardzo na miejscu, jeśli zaniesie jaką drobnostkę pannie Schöne; mała tak się cieszyła pierścionkiem, ma tedy widocznie upodobanie do biżuteryi.

Wszedł do sklepu, kazał sobie pokazać różne rzeczy, wybrał gustowny naszyjnik dużej wartości, zapłacił i poszedł dalej. A może kwiaty sprawiłyby jej przyjemność? Minął na rogu ulicy sklep z kwiatami, ale nie zwrócił uwagi na wspaniałe bukiety. Że też zaraz o tem nie pomyślał! Nie mógł sobie darować. Na szczęście miał jeszcze dosyć czasu, zawrócił więc, odnalazł sklep i kupił najpiękniejszy bukiet, jaki był do sprzedania. Nie mógł tego wielkiego pęku kwiatów dźwigać sam po ulicach, ale chciał mieć przyjemność wręczenia go osobiście; zawołał tedy dorożki. Na wi-

zytę było jeszcze ciągle zawcześnie. A może mała lubi łakocie?.. Kazał woźnicy jechać wolno i spostrzegłszy cukiernię, zatrzymał go i wysiadł. Kupił koszyk owoców w cukrze, pudełko czekoladek Marquis'a, drugie cukierków i zaledwie zdołał powstrzymać się od śmiechu, gdy mu podano do dorożki wielki, różową wstążką związany, pakiet. Ale był z siebie zadowolony, a przytem skończyła się nareszcie długa godzina. Mógł teraz pojechać na Zimmerstrasse.

Gdy dorożka stanęła i Klaudyusz zaczął wyjmować podarunki, które ukrył z tyłu za siedzeniem, mimowoli znów się uśmiechnął. Kathi stała w oknie wyczekując i słyszała jak dorożka się zatrzymała; wychyliła się tedy a zobaczywszy piękny bukiet i pakiet różową wstążką związany, uśmiechnęła się również. Klaudyusz spojrzał w górę ale nikogo nie dostrzegł. Kathi cofnęła się szybko w głąb pokoju; wzięła ze stołu tom poezyi Schiller'a, które czytała stale, gdy oczekiwała wizyty, i usiadła na twardej sofie. Dzwonek odezwał się, gospodyni otworzyła, zapukano do drzwi.

— Proszę!—zawołała Kathi, głosem obojętnym, nieodrywając oczu od książki, i wszedł Klaudyusz, za którym gospodyni drzwi zamknęła.

Z kwiatami w prawej, ze słodyczami w lewej ręce i klejnotami w kieszeni od surduta wydawał się sam sobie wysoce komicznym w tej chwili.

— Ach! Pan von Bewer! — zawołała Kathi z radosnem zdziwieniem, wstając. — A to bardzo ładnie z pańskiej strony! — I wskazując na kwiaty dodała: — Przecież to chyba nie dla mnie?

— Dla pani! Wszystko dla pani! — odparł Klaudyusz, podając jej bukiet i stawiając pakiet na stole.— I to także!

— Ale jak to można!—odezwała się Kathi, z większym wdziękiem, niż szczerością.

Zachwycała się pięknością kwiatów i cieszyła, jak dziecko, cukierkami. Te właśnie najbardziej lubiła... szczególna rzecz jak Klaudyusz tak odrazu do gustu jej trafił!

— I to też do pani należy, — rzekł Klaudyusz, wyjmując, nie bez pewnego zmieszania, paczkę z kieszeni.

— Ależ, co znowu, — odparła Kathi, zniżając nieco głos i z wyrazem czarującego zakłopotania patrząc to na Klaudyusza to na szczególny kształt tajemniczej paczki.

Z wahaniem zdjęła osłonę papierową, a gdy spostrzegła skórzane pudełko, lica jej zabarwiły się lekkim rumieńcem i pogroziła palcem Klaudyszowi.

— Ach! jakie cudowne! — zawołała ze szczerym podziwem, otworzywszy wreszcie pudełko.—Nie, jaką mi pan też sprawił radość, nie jestem wcale w stanie wypowiedzieć! Nie, to doprawdy za piękne!

Levini miała podobny naszyjnik; a jak go Kathi zazdrościła koleżance! Przypuszczała oczywiście, że i jej klejnoty są paryską imitacyą; nawet jako takie byłyby dość kosztowne. Ale gdy spostrzegła znaną firmę jubilerską na pudełku, osłupiała. Wyjęła ostrożnie naszyjnik i zaczęła mu się przyglądać z bijącem sercem. Przy fermoarze wybita była istotnie próba. Kathi nie znała się wprawdzie na drogich kamieniach,

ale instynktem odgadła, że ma przed sobą klejnoty prawdziwe. Skakała po pokoju, jak dziecko, powtarzając:

— Nie, to za piękne, o wiele za piękne!

Podbiegła wreszcie do lustra, odpięła górne guziki skromnej sukni i, zakładając oba końce stanika, zaimprowizowała dyskretne wycięcie. Poczem włożyła naszyjnik i studyowała jego efekt to przy wesołym to smutnym wyrazie twarzy.

— Czy pan naprawdę tak bardzo mnie lubi? — spytała, zwracając się do Klaudyusza i wyciągając ku niemu obie ręce.

— Tak, — odparł i przyciągnął ją łagodnie do siebie.

Nie opierała się. Ujął jej główkę w swe szerokie dłonie i złożył pierwszy, czysty pocałunek na jej czole. Gdy uczuł drobną postać na swojej piersi, serce wezbrało mu niewysłowioną rozkoszą. Długo nie mógł oderwać ust od czoła ukochanej dziewczyny.

— I ja pana bardzo lubię,—szepnęła Kathi.

Nie kłamała. Z taką serdecznością, z takim szacunkiem nie zachowywał się jeszcze względem niej żaden mężczyzna. Odczuwała wyraźnie, że Klaudyusz inaczej się nią zajął niż inni.

— Jeżeli to jest prawdą i jeśli pani mówi na seryo,—zawołał Klaudyusz, — to się już nie rozłączymy. Posłuchaj mnie, Kathi! Nie jestem człowiekiem długiego namysłu, ale nie postępuję też bez rozwagi i wiem dobrze co mówię i co robię. Kocham cię z całej duszy! Rzuciłaś urok na mnie, ty jedna możesz

mnie uszczęśliwić. Jeżeli nie rozporządziłaś pani dotąd swojem sercem i możesz ze spokojnem sumieniem podać rękę człowiekowi uczciwemu, który zwraca się do ciebie z całą miłością i z całem zaufaniem, to mi ją podaj!

Kathi zrozumiała go tylko w połowie,— zrozumiała jedynie wyznanie miłosne, oświadczyn poważnych, propozycyi małżeństwa, jaką zawierały jego słowa, nie pojęła.

— Tylko nie tak gwałtownie! — rzekła z uśmiechem.—Nie kocham nikogo, a pan przecież tu zostanie? Poznamy się więc lepiej i zobaczymy, czy pasujemy do siebie. Ten cudowny naszyjnik włożę dziś wieczorem na cześć pana,—dodała z zamiarem powiedzenia czegoś przyjemnego Klaudyuszowi.

— W Walhalli?—spytał.

— Ma się rozumieć! To dopiero moje koleżanki oczy otworzą!

— O tem nie może już być mowy, — rzekł Klaudyusz bardzo poważnie.—Nie pozwolę pani pod żadnym pozorem występować dzisiaj.

— Jeszcze czego!—zaśmiała się Kathi.—Musiałabym za karę zapłacić połowę miesięcznej pensyi, gdybym nie przyszła!

— Chociażby i całą i jeszcze karę dodatkową, mniejsza o to! Pani nie może już występować! Ja nie chcę już widzieć tego niebieskiego kostyumu z puszkiem łabędzim, nie chcę, żeby pani posyłano karty do garderoby i zapraszano panią na kolacye. Kontrakt pani zostanie zerwany. Już ja to wszystko załatwię. Nie może pani także dłużej tu mieszkać, — ciągnął da-

lej,—oglądając się po ubogo umeblowanym pokoiku.— Tutaj tak smutno! Weźmie sobie pani wesołe mieszkanie w jakimkolwiek hotelu pod Lipami, gdzie pani będzie przyjemnie i gdzie będzie pani przynajmniej widywała ludzi. Powinnaś pani mieszkać tak wygodnie i ładnie jak na to zasługujesz. Nie patrz się pani na mnie z takiem zdumieniem, tak niedowierzająco! Ja mówię bardzo poważnie! Musi sobie pani także wziąć jaką osobę do towarzystwa, bo nie będę przecież mógł spędzać teraz całych dni z panią, a nie życzę sobie żebyś pani zachowała stosunki ze swemi dotychczasowemi znajomemi. Nie uwierzysz pani jak jestem szczęśliwy, że mogę ci otworzyć nowe życie, odbudować istnienie twoje z gruntu i ofiarować wszystko, co tylko dać jestem w stanie, aby ci to życie uprzyjemnić. —Umilkł na chwilę, poczem dodał nieśmiało prawie:— A nie potrzebujemy się liczyć, mamy dosyć!

Kathi słuchała tego wszystkiego ze wzrastającem zdumieniem, jak odurzona. Co za oszałamiające widoki przyszłości roztaczał przed nią ten wielki blondyn, siedzący naprzeciwko, i to z taką prostotą, jakgdyby to było coś całkiem zwyczajnego! Mieszkanie pod Lipami i dama do towarzystwa! Te dwa fakty kazały się spodziewać zbytku, przepychu w tualetach, wesołego życia, słowem rzeczy, które przechodziły najśmielsze jej marzenia. I to się miało urzeczywistnić, nie po latach wielu, nie, natychmiast! Ogarnął ją zawrót głowy,—ale na sekundę tylko. Wnet otrzeźwiała najzupełniej. Widziała już jasno przed sobą to, co jej się przed chwilą jeszcze w mglistych ukazywało zarysach. Widziała przyszłość, jaka się przed nią otwierała

i pierwszą jej myślą było: zapewnić sobie urzeczywistnienie tego, co jej obiecywano. Uczucie to wzmogło się w niej do tego stopnia, że zagłuszyło wszelkie inne.

— Drogi przyjacielu,—rzekła poważnie.—Pomówmy z sobą jak rozumni ludzie. Czy pan naprawdę wymaga, żebym porzuciła moją karjerę? A czy pan wie co to znaczy? Zajmuję teraz wprawdzie podrzędne stanowisko, ale miałam lepsze czasy i dostałam właśnie *engagement*, które mi znów świetniejsze dni zapowiada. A jak ja się panu sprzykrzę, to będę musiała może znów od początku zaczynać? Przeprowadzka z umeblowanego pokoju na Zimmerstrasse do hotelu pod Lipami załatwi się prędko; ale powrót z hotelu do umeblowanego pokoju opłaca się łzami.

— Dziecko z pani,—odparł Klaudyusz z dobrotliwym uśmiechem.—Nie znasz mnie pani jeszcze, ale pragnę, byś mnie poznała jaknajprędzej, a wówczas może mnie pokochasz.

Objął ją za szyję, przycisnął główkę jej do piersi i złożył pocałunek na jej skroni.

— Masz się połączyć ze mną na całe życie... na całe życie!—szepnął drżąc, jak wylękłe dziecko.

Kathi uspokoiła się. W ten sposób nie przemawiał lekkomyślny bałamut, to była mowa człowieka zakochanego prawdziwie. Uważała teraz za stosowne zapewnić Klaudyusza, że nie obdarzał przywiązaniem swojem istoty niegodnej, i opowiedziała mu z ujmującą szczerością w jaki sposób, skutkiem nieszczęść rodzinnych, zniewolona została obrać karjerę sceniczną. Matkę straciła małem dzieckiem jeszcze będąc. Ojciec,

zamożny handlarz skór na przedmieściu Leopoldstadt, został zrujnowany przez giełdę. Jeden z przyjaciół domu dostrzegł w niej zdolności sceniczne i posłano ją do szkoły teatralnej, po ukończeniu której przyjęła jako subretka operowa *engagement* w Klausenburgu; ale dyrektor nie miał tam powodzenia i Kathi, niewiedząc, że została zdegradowana na szansonistkę, pojechała, zwabiona przez jakiegoś agienta, do Berlina, gdzie miałabardzo ciężkie życie. Uszczęśliwiona była, gdy przed trzema miesiącami dostała znośne, finansowo przynajmniej, *engagement* do Walhalli. Ale postanowiła niezachwianie powrócić do opery i nadarzała jej się właśnie po temu sposobność. Tymczasem ma się teraz stać całkiem inaczej. Dałby Bóg, aby ta zmiana wyszła na dobre. Dama do towarzystwa najbardziej przypadała jej do gustu. Taka się zawsze czuła osamotniona!

Klaudyusz słuchał z zachwytem zręcznej paplaniny i wierzył we wszystko, co mu Kathi mówiła, jak w Ewangielię. Ogarnęło go dumne uczucie zwycięzcy, gdy się przekonał, że zdołał ją nakłonić do posłuszeństwa dla swej woli, że zgodziła się w istocie ponieść ofiarę i porzucić dla niego to, co nazywała swoją karjerą, a nadto przeprowadzić się do mieszkania pod Lipami.

— Jeśli w istocie nie chcesz, żebym dziś śpiewała,—rzekła Kathi,—w takim razie najwyższy czas dać znać. Z lekarzem teatralnym jestem na dobrej stopie.

— Nie troszcz się o to,—odparł Klaudyusz.—Już ja to załatwię przez Schneidera. Teraz zastanę go jeszcze u Töpfera na śniadaniu. Wynajmę też zara-

mieszkanie. A ty tymczasem spakuj twoje rzeczy, za jaką godzinę przyjdę po ciebie, porobimy sprawunki i jeszcze dziś popołudniu wprowadzisz się do twojej nowej siedziby. Co można zrobić dzisiaj tego nie należy odkładać na jutro, nie prawda, mój skarbie?

Pogłaskał pieszczotliwie jej krucze włosy, pochylił się ku niej i szepnął do ucha:

— A teraz skorośmy się porozumieli, musimy mówić o wszystkiem jak rozsądni ludzie. To twoje własne słowa. Przeprowadzając się, trzeba pozałatwiać rozmaite rzeczy; znajdą się może dostawcy, którzy czekają na pensyę miesięczną, a z tą pensyą będzie tym razem krucho. Na stole leży mój pugilares. Załatw wszystko! A nie gniewać się. Żegnam cię! Do widzenia!

Pocałował ją w policzek, wziął kapelusz i w progu skinął jej jeszcze głową, uśmiechając się błogo.

Kathi stała przez krótki czas na środku pokoju w tem miejscu, gdzie ją Klaudyusz opuścił. Wyglądała bardzo poważnie. Po chwili potrząsnęła zwolna głową, zbliżyła się do stołu i, usiadłszy, otworzyła pugilares, w którym było około 2,000 marek w banknotach stu i pięćdziesięciomarkowych. Klaudyusz nie otworzył pugilaresu, który położył ukradkiem, nie powyjmował więc znajdujących się w nim papierów. Kathi odczytała różne dokumenty, tyczące się nieznanych jej rzeczy, z zajęciem, choć ich nie rozumiała; między innemi i list Wilhelma z San-Francisco, który zapowiadał swój przyjazd do Europy na koniec roku.

Kathi siedziała długo zamyślona. Nie mogła sobie jeszcze jasno zdać sprawy z tego co zaszło. Naraz

zerwała się, wysunęła wielki kosz, który stał w ciemnej alkowie, na środek pokoju, otworzyła szafę i wyciągnęła szuflady komody. Zabrała się do przeglądu garderoby, zastanawiając się, czy warta jest w ogóle zabrania. Po co jej właściwie te tanie gałgany? Jedno było zniszczone, inne niemodne. Gospodyni ucieszy się, gdy jej to wszystko podaruje dla córki, pracującej w magazynie mód. Jedna suknia tylko, ta, którą miała na sobie wczoraj, wytrzymała próbę. Gdy Kathi zaczęła zbierać bieliznę, zawstydziła się szczerze z powodu jej małej ilości i gatunku. Przez chwilę zastanawiała się nad tem, czy nie powinnaby naprędce kupić wyprawy; środki miała na to, ale czas był zbyt krótki. A zresztą, poco? Wszak Klaudyusz wiedział, że ona nic niema, wszak nawet już wspomniał o sprawunkach. Wszystko więc załatwi się odrazu.

Wsunęła znów pusty kosz do alkowy, zamknęła szafę i szuflady i zawołała gospodyni, by pomogła jej się przebrać. Zapinając stanik ciemnej sukni letniej, oznajmiła Kathi pani Milcke, że się dziś jeszcze wyprowadza, a ponieważ była z niej zadowolona. przeto zapłaci jej za cały miesiąc i podaruje jej dla Guci,—którą bardzo lubi, bo jest rozsądną dziewczyną, — suknie i bieliznę. Pani Milcke była wielce uradowana i powtarzała raz po raz, iż mówiła zawsze, że panienka musi zrobić karjerę, że panienka na lepszy los zasłużyła. Kilka drobnostek, na których Kathi zależało,—między niemi i tom poezyi Schiller'a i album z muzyką, — naszyjnik, cukierki i drobiazgi tualetowe zostały szybko spakowane; kufer z garderobą teatralną oddany został pod opiekę gospodyni. Poczem Kathi włożyła lekki

płaszcz, kapelusz, zawiązała woalkę, postawiła na krześle niewielki woreczek, usiadła na kanapie i wzięła bukiet do ręki. Była gotowa do odjazdu,—do odjazdu w nowy świat, w nowe życie. Nie pozostawiła za sobą nic prawie,—nawet przelotnego żalu.

I tak siedziała czekając na Klaudyusza.

On tymczasem spotkał się z Leonem i opowiedział mu wszystko. Leon ze swojej strony również nie stracił czasu i zasięgnął wiadomości o Kathi u jednego z agientów teatralnych. Wiadomości te nie brzmiały ani źle, ani dobrze. Kathi, córka szewca w dzielnicy Josefstadt, była panną sklepową w magazynie wyrobów skórzanych, a ponieważ jej się tam nie podobało, przeto usiłowała się dostać do jakiego podrzędnego teatru. Została zaangażowana najpierw jako chórzystka do Klausenburga, ztamtąd do Pragi do *café-chantant*, zkąd znów przeniosła się do Walhalli. „Władzom nic złego niewiadomo“ brzmiałoby świadectwo prowadzenia, co oczywiście nie dawałoby jej jeszcze patentu na westalkę. Tak nazwanego stałego stosunku, wykazać jej nie było można. Od pewnego czasu czynił o nią zabiegi książe Strusa; z powodzeniem czy bez,—tego nikt napewno nie mógł powiedzieć. Prawdopodobieństwo przemawiało za pierwszą ewentualnością.

Skoro tylko Leon dowiedział się jak rzeczy stoją, wnet powziął postanowienie. Poco sobie niepotrzebnie piwa nawarzyć? Wszak Klaudyusz był dość stary i rozsądny. Co on będzie miał z tego, jeśli powie Klaudyuszowi prawdę lub go okłamie? Same przykrości.

Ostrzegł go, zrobił więc wszystko, czego można od niego wymagać.

Opowiedział tedy przyjacielowi tylko szczegóły przyjemne, zatrzymując wątpliwe dla siebie. Klaudyusz uścisnął mu serdecznie rękę. Leon wytrzymał próbę,—okazał się istotnym, wiernym przyjacielem.

Wynajęli razem w hotelu Rzymskim mieszkanie dla Kathi, złożone z salonu, jadalni, gotowalni i sypialni, a obok pokój z alkową dla przyszłej towarzyszki. Leon udał się do Fechtera, by ułożyć się z nim o warunki, pod jakiemi panna Schöne będzie mogła uwolnić się od kontraktu, Klaudyusz zaś pojechał powozem hotelowym na Zimmerstrasse.

Ucieszył się niewymownie, zobaczywszy Kathi z kwiatami w ręku, siedzącą na kanapie i gotową do wyjścia. A gdy powiedziała mu z komicznie poważną minką:

— Przełożyłam sobie... zostawię wszystkie manatki tutaj... nic na tem nie tracę... Jeśli chcesz bierz mnie teraz taką, jak przed tobą stoję, — był taki zachwycony, że porwał ją w objęcia, okrył jej twarz pocałunkami i zadecydował, iż jest gienialną dziewczyną.

Kathi zawołała gospodynię, pożegnała ją przyjaźnie, objęła raz jeszcze spojrzeniem pokój, wsunęła rękę pod ramię uszczęśliwionego i rozkochanego Klaudyusza i wyszli oboje wielce zadowoleni.

Pani Milcke patrzyła za nimi dopóki powóz nie zniknął za rogiem ulicy. Poczem potrząsnęła poważnie głową, a zawieszając w oknie tablicę tekturową

z napisem: „*Wykwintnie umeblowany pokój do najęcia,*“ rzekła półgłosem z pewnem namaszczeniem, jakgdyby oznajmiała zdanie głębokiej mądrości: „Tak, tak, jak człowiek ma szczęście! A szczęście mieć człowiek musi,“ — dodała filozoficznie, zamykając okno, — „to główna rzecz!“

Kathi przystosowała się do nowych warunków z szybkością, istotnie zdumiewającą. Przy pierwszych zakupach była jeszcze trochę onieśmielona, i uważała wszystko za zbyt piękne i drogie. Gdy wszakże spostrzegła jaki Klaudyusz niepraktyczny i jakie będą warunki jej przyszłego bytu, nabrała odrazu takiej pewności siebie, jakgdyby miała za sobą długoletnie doświadczenie. Nie dziwiła się już niczemu i uważała że wszystko, co się działo, było najzupełniej w porządku. Dawała subjektom w sklepie zlecenia ze spokojem i wprawą wielkoświatowej damy, gdy Klaudyusz stał obok niej bierny. Parę godzin wystarczyło do całkowitej metamorfozy, do przemiany córki szewca z Josefstadt'u, byłej chórzystki i szansonistki, która przed tygodniem jeszcze targowała się z gospodynią o cenę pierwszego śniadania, — na damę, która w przeciągu dwóch godzin porobiła, bez szczególnego wzruszenia, zakupy i obstalunki na tysiące marek.

Gdy powrócili do hotelu, odźwierny oznajmił im, że przyniesiono już kilka pudełek, które kazał zanieść do pokoju jaśnie pani. Kathi niezwłocznie rozpako-

wała zakupione przedmioty i teraz dopiero cieszyła się niemi prawdziwie. Nie obeszło się wszakże bez uwag nad niedołęztwem sprzedających, którzy w szczegółach nie zastosowali się ściśle do jej rozkazów. Po obiedzie, spożytym w jadalni Kathi, wyjechali na spacer. Gdy około godziny siódmej przejeżdżali przez Thiergartenstrasse do ogrodu Zoologicznego, Kathi rzekła:

— Nie uwierzysz wcale, jaka jestem rada, że nie potrzebuję teraz ubierać się w tej gorącej garderobie!

Klaudyusz był tem tak uszczęśliwiony, że obsypał ją podziękowaniami. Pożegnał ją dziś wcześnie, albowiem była bardzo znużona sprawunkami. Z pokojówką hotelową tymczasem wdała się w dłuższą rozmowę niżby należało. Gdy dziewczyna zapytała czy ma jej pomódz przy rozbieraniu, Kathi nie zadowoliła się prostą odmową, lecz zaczęła opowiadać, że ma pewne przyzwyczajenia, które trzeba poznać i że za pierwszym razem nikt jej nie dogodzi; dlatego też jest niepocieszona, iż musiała nagle oddalić pokojówkę, którą z wielkim mozołem sobie wyuczyła. Najęła wszakże już inną, a ta jutro obejmie służbę. Poczem zamówiła na dzień następny na dziewiątą rano kąpiel, na dziesiątą śniadanie, na jedenastą fryzyera i rozkazała, aby przed dwunastą nikogo do niej niewpuszczano. Gdy dziewczyna, powiedziawszy dobranoc, wyszła, Kathi raz jeszcze obejrzała zakupy, przymierzyła to i owo, przeglądając się w wielkiem zwierciadle, jedne rzeczy ułożyła w komodach, inne powiesiła w szafach, wreszcie udała się na spoczynek i zasnęła smacznie w wygo-

dnem, szerokiem łóżku, marząc o reszcie sprawunków, które nazajutrz miały być dostarczone.

Klaudyusz szedł zwolna pod Lipami. Przed drzwiami Dressla zaczepił go jeden z panów, z którymi zaznajomił się wczoraj i zapytał czy nie zechce zjeść przy okrągłym stole w tylnym pokoju kolacyi? Klaudyusz podziękował za zaproszenie i poszedł dalej. Nierad był, że mu ktoś myśli przerwał. Miał głowę i serce pełne. Chciał się zastanowić, rozważyć niejedno, dotrzeć do celu, który jasno widział przed sobą. Ale nie był zdolny myślą z miejsca ruszyć i oczami duszy widział ciągle cel w jednakiem oddaleniu. Wszedł przez bramę Brandenburską do Thiergartenu i skręcił w słabo lampami olejnemi oświetlone boczne aleje, których Berlińczyk unika w wieczornej godzinie, z powodu włóczących się tam podejrzanych postaci.

Od dwudziestu czterech godzin, od chwili, gdy ujrzał ładną Wiedenkę, był Klaudyusz w ciągłem upojeniu. Nie mógł i nie chciał myśleć o niczem innem tylko o Kathi. Wieczór był parny, gorący,—w powietrzu wisiała burza. Na niebie nie jaśniała ani jedna gwiazda, żaden listek nie poruszał się na starych, wyczerpanych drzewach. Klaudyusz zapuszczał się coraz głębiej w puste ścieżki Thiergartenu. Słyszał tylko skrzypienie własnych butów, a w oddali stłumiony odgłos toczącego się po szosie wozu i kopyt końskich, odzywający się wyraźniej śród szczególnego szumu wielkomiejskiego ruchu. Od czasu do czasu spotykał wątpliwe pary zakochanych i podejrzanych włóczęgów. Nie zwracał na nich uwagi, nie zajmowali go. Odczuł tylko

jedną potrzebę: bezwzględnej samotności. Kilkakrotnie zaczerpnął powietrza tak silnie, że zdawaćby się mogło, iż westchnął głęboko. W głowie jego panował zamęt. Myślał jednocześnie o najrozmaitszych rzeczach i osobach,—o likwidacyi interesów na Sumatrze, o księciu Strusa, o uśmiechniętych twarzach subjektów, którzy obsługiwali Kathi. Nieznośny ciężar pierś mu przytłaczał; odczuwał śród dusznego powietrza bezwładność z której nie mógł się otrząsnąć. Ogarnęło go smutne, ponure niemal usposobienie, — nastąpiła reakcya po wszystkich radosnych wzruszeniach, jakich doznawał od wczoraj. Kilkakrotnie z chaosu niedokończonych myśli i niejasnych uczuć usiłowało wyłonić się w wyraźniejszej postaci zapytanie: czy to co zrobił i zrobić zamierza jest słuszne? Ale pytanie to gniewało go i usiłował myśl w inną stronę odwrócić. Nie chciał siebie zapytywać i nie chciał odpowiadać.

Nagle dosłyszał niespodzianie, że mówi półgłosem: „To moja rzecz i nikomu nic do tego!“ I zdało mu się naraz, że w tych słowach znalazł nareszcie uspokojenie. W tejże chwili pierwszy gwałtowny podmuch wiatru wstrząsnął drzewami. Klaudyusz przyśpieszył kroku, dążąc w stronę, gdzie między zaroślami migotały światła; na rogu Hohenzollernstrasse wsiadł do dorożki i pojechał do Kaiserhofu.

Otworzył oba okna salonu. Deszcz padał wielkiemi kroplami z głośnym pluskiem. uderzając o asfalt Czarne niebo rozjaśniało się od czasu do czasu niebieskawym blaskiem błyskawic. Klaudyusz w oknie patrzył bezmyślnie na dorożki, do których schronili się przed burzą woźnice. Smutne konie niżej jeszcze, niż

zwykle, opuściły głowy. Orzeźwiwszy się nieco wilgotnem powietrzem, zadzwonił Klaudyusz na kelnera, kazał zapalić świece na biurku, nalać do wyschłego kałamarza atramentu i przynieść papieru listowego, kopert i herbaty z arakiem; poczem zapalił cygaro i chodził po pokoju, a skoro kelner wrócił, wypełniwszy zlecenia, Klaudyusz rozwiązał krawat, odpiął kołnierzyk od koszuli, zasiadł do biurka i gdy płomień świec migotał, wicher wstrząsał hałaśliwie oknami, a plusk deszczu rozlegał się głośno,—pisał:

Wielmożny
Doktór prawa Gottlieb Bewer
Docent przy uniwersytecie
w Gryfii.

„Berlin, Kaiserhof 2 sierpnia 1878.

Kochany Gotliebie!

Jak widzisz z daty niniejszego listu, jestem znów blisko Ciebie. Musimy się wkrótce zobaczyć. Wiesz, że listów pisać nie lubię. Opowiem Ci wszystko. Powiodło mi się dobrze, jestem człowiekiem zamożnym. Ale możesz mi jeszcze czegoś lepszego powinszować. Zakochałem się i zaręczyłem. Zaręczyłem z czarującą, młodziutką dziewczyną z Wiednia, która mówi najcudowniejszym dyalektem niemieckim, jaki dotąd słyszałem. Panna Kathi Schöne była do naszych zaręczyn artystką i dla mnie wyrzeka się sztuki. Pochodzenia jest skromnego ale z uczciwej rodziny. Nie opisuję Ci mojej narzeczonej, zobaczysz ją. Ponieważ porozumie-

liśmy się, nic nie stoi na przeszkodzie naszemu związkowi, i skoro tylko prawne formalności zostaną załatwione odbędzie się wesele. Napiszę do Elizy w Husum i do Wilhelma w San Francisco. Braci w Lubece Ty pewnie zawiadomisz, gdyż nasze stosunki są zupełnie zerwane. Oczekuję Twoich odwiedzin albo przyjadę do Ciebie. Jestem bardzo szczęśliwy.

Całem sercem Twój

Klaudyusz."

Zapowiedziane listy do pani pastorowej i do Wilhelma były prawie dosłownie jednobrzmiące z powyższym. Klaudyusz zaadresował je i zapieczętował, zgasił świece na biurku, wyrzucił cygaro na ulicę i zamknął okna. Poczem rozebrał się, wbrew przyzwyczajeniu, bardzo wolno i przez jaki kwadrans jeszcze siedział w łóżku z rękami na kolanach opartemi, z wzrokiem wlepionym w pstry deseń małego dywanika, na którym spoczywały jego nogi. Nareszcie zgasił światło i położył się, a przewracając się na prawy bok, powtórzył jeszcze raz półgłosem: „To nikomu nic do tego." Przez chwilę jeszcze leżał z otwartemi oczyma śród ciemności, dopóki sen nie zamknął ociężałych powiek.

Następnego dnia rano o godzinie wpół do dwunastej, odźwierny hotelu Rzymskiego odprawił Klaudyusza oznajmieniem, że jaśnie pani przed dwunastą nie przyjmuje nikogo. Klaudyusz zdumiał się zrazu, lecz po chwili już uważał, że to zupełnie w porządku. Przypomniał sobie, że Kathi wspomniała, iż radaby być na przedstawieniu dobroczynnem zapowiedzianem na dzi-

siejszy wieczór, wystarał się więc, dopłaciwszy duży naddatek, o lożę i posłał kartkę do Leona, wyznaczając mu schadzkę po teatrze.

Kathi wyglądała ślicznie w nowej, wykwintnej sukni porannej, w skromnem lecz kunsztownem uczesaniu, a Klaudyusz powitał ją, jakgdyby się spotkali po długiem rozłączeniu. Kathi była w doskonałym humorze, pokazała mu jak sobie wszystko uporządkowała i narzekała na niesłowność kilku opieszałych dostawców.

Gdy zasiedli do śniadania, Klaudyusz wręczył jej bilety do loży.

— Jak mnie to gniewa! — rzekła Kathi.—Moje lepsze suknie będą dopiero pojutrze gotowe. Nie mam co włożyć! Nie mogę w żaden sposób iść z tobą do teatru.

— Byłoby mi bardzo przykro, — odparł Klaudyusz.—Ale, pokazywałaś mi przed chwilą dwie wcale ładne suknie w szafie, w których ci z pewnością będzie bardzo do twarzy.

— To kostiumy spacerowe... Nie znasz się na tem, mój skarbie, — odpowiedziała, uśmiechając się z przymileniem.

W przeciągu dwudziestu czterech godzin Kathi, której całem bogactwem była skromna, ciemna sukienka, poznała różnicę między kostiumem spacerowym a tualetą do teatru odpowiednią.

— Przykro mi,—powtórzył Klaudyusz,—tembardziej, że chciałem po przedstawieniu spotkać się z Leonem.

— Powiedzno mi, — spytała Kathi,—czy ci bardzo zależy na panu Leonie Schneider?

— Bardzo zależy? Nie! To mój stary, dobry znajomy, który był zawsze w stosunku ze mną grzeczny i usłużny, ot i wszystko.

— Mnie się, mówiąc szczerze, Schneider nie podoba. Zadużo mi gada! A przytem ma w obejściu poufałość, której znieść nie mogę... Rozumiesz mnie, taki jakiś ton protekcyonalny. Boże drogi, kimże jest ten pan Leon Schneider? Jakiem prawem mówi ze mną tak, jakgdybym była od niego zależna?

— Przyznam, że i mnie się to nie podobało. Ale nie powinnaś go zbyt surowo sądzić. Taki to już zwyczaj za kulisami.

— O, proszę, nie wszędzie! — odparła Kathi tonem „pierwszej dramatycznej“ ze sceny prowincyonalnej.—Odmów mu! Daleko milej będzie we dwoje.

— Jak chcesz, — rzekł Klaudyusz, ściskając jej drobną dłoń. Wpatrywał się w nią przez chwilę z upojeniem. Była w istocie śliczna.—Kathi,—odezwał się zmienionym głosem.—Czyś ty też pomyślała o swoich papierach? Nie będziemy przecież daremnie czasu tracili.

— Jakich papierach? — spytała Kathi niedomyślając się niczego.

— No, o papierach potrzebnych do ślubu; zdaje mi się, że metryka i pozwolenie ojca wystarczy.

— Ach, tak,—rzekła obojętnie.

Spadło jej nagle, jakby bielmo z oczu. Wszystko, co jej się wydało od wczoraj dziwacznem i zagadkowem, zrozumiała odrazu. Ogarnęło ją silne wzrusze-

nie, nad którem wszakże w zupełności potrafiła zapanować. Odczuła instynktownie, że niczem nie powinna zdradzić zdumienia, jakiego doznała. A więc ten płowy olbrzym chce się z nią żenić, zrobić z niej swoją prawowitą małżonkę? A urząd cywilny wymaga papierów? Ależ naturalnie, że tylko o małżeństwie może być mowa! Gdyby miał inne zamiary, pozwoliłaby mu może na takie poufałości, jadłaby z nim śniadanie, jeździłaby na spacer i kompromitowała się! Jeszcze czego! W mgnieniu oka myśli te przebiegły jej przez głowę.

— Ma się rozumieć, że myślałam już o papierach,—rzekła. — Ale zdawało mi się, że dostarczenie ich jest właściwie twoją rzeczą. Musisz przecież napisać do ojca. Prawdę mówiąc już mnie to trochę martwiło,—dodała z nadąsaną minką,—niebardzo, ale troszeczkę, że nie mówiłeś jeszcze wcale o ojcu, żeś nawet o adres jego zapytał.

— Masz słuszność, dziecko! Bo widzisz myślałem wyłącznie o tobie. Napiszę do niego jeszcze dzisiaj. Mojej rodzinie doniosłem wczoraj wieczór o naszych zaręczynach.

Kathi kazała sobie opisać bardzo szczegółowo członków swojej nowej rodziny i słuchała Klaudyusza z niekłamanem zajęciem. Widoczną radość sprawiało jej, że będzie miała panią pastorową za bratowę; radaby też była dowiedzieć się o niej o wiele więcej, niż Klaudyusz mógł jej opowiedzieć.

Postanowili, korzystając z pięknej pogody, wyjść na spacer. Gdy Kathi ukazała się we drzwiach salonu, ubrana w nowy gustowny kostium i zalotny kapelusik, Klaudyusz, promieniejący radością, pochwycił ją

w objęcia, poczem wyszli. Na schodach Kathi zatrzymała się przed szafką z fotografiami, między któremi znalazła znajomych artystów i artystki.

— Czy ja ci się naprawdę dziś podobam? — spytała Klaudyusza. A gdy przyciśnięcie ręki potwierdziło to zapytanie, dodała:—A gdybyśmy się tak razem dali fotografować? Musimy przecież posłać naszą fotografię Elizie w Husum. I ojcu naturalnie także.

Pojechali razem do fotografa.

W ciemnej, wychodzącej na podwórze, poczekalni urzędu cywilnego na Mittelstrasse siedziało siedem osób: ubogo odziana kobieta w średnim wieku, z czerwonemi od płaczu oczyma, która chciała donieść o śmierci swego dziecka, młody urzędnik, pragnący spisać akt urodzenia syna, a w pobliżu jedynego okna Kathi w skromnej, ale bardzo wykwintnej ciemnej sukni jedwabnej, Klaudyusz w czarnym tużurku, Leon we fraku i w białym krawacie, z kolorową wstążeczką w butonierce, otrzymaną za gościnne występy w jednym z pomniejszych teatrów nadwornych, — i wątły blondyn, mający około lat trzydziestu, w złotych okularach, w nowiuteńkim ale bardzo źle leżącym surducie z długiemi połami. Byłto dr Gottlieb Bewer, który przybył dnia poprzedniego na ślub brata do Berlina. Nieco od tej grupy oddalona, ale stwierdzająca nieustannem uśmiechaniem się swoją do niej przynależność, siedziała pani Milcke. Dowiedziała się o radosnym fakcie od córki swojej Augusty, która od trzech tygodni służyła za pokojówkę u panny Schöne. Jakkolwiek

nie podobało jej się bynajmniej, że młoda para nie brała ślubu kościelnego, — bo, mawiała zawsze, „człowiek musi mieć religię,“ — niemniej postanowiła być obecną na uroczystym akcie jako dobrowolny świadek.

Drzwi otworzyły się.

— Śmiem prosić pana Klaudyusza Bewer i świadków,—odezwał się urzędnik bardzo uprzejmie.

Weszli wszystko czworo a pani Milcke za nimi.

Gdy urzędnik załatwiał z godnością suche formalności, panowało śród zainteresowanych poważne milczenie. Klaudyusz był szczerze i głęboko wzruszony, przejęty ważnością chwili. I Kathi była wzruszona, a gdy urzędnik podał jej pióro i z grzecznym ukłonem poprosił, by podpisała pod protokułem swoje nazwisko, to nowe, które odtąd będzie nosiła,—Katarzyna Bewer, znaczący i lakoniczny symbol zaczynającego się dla niej nowego życia,—ręka jej drżała, tak, że nie udał się piękny zakręt, jaki sobie od wielu dni obmyśliła. Urzędnik pierwszy złożył powinszowania młodej mężatce, reszta uścisnęła sobie ręce w milczeniu, pani Milcke szlochała.

W jadalni Kathi odbyła się biesiada weselna. Smutna była. Daremnie podawano najwykwintniejsze potrawy i najszlachetniejsze wina, przygnębienie, jakie ogarnęło wszystkich, nie ustępowało. Młoda para zajęta była sobą. Gottlieb, człowiek z natury nieśmiały, nie przyczyniał się nigdy do rozweselenia towarzystwa, a Leon, spostrzegłszy, że jego dowcipy nie znajdują oddźwięku, dał za wygranę. Celował on w rymowanych improwizacyach okolicznościowych, a zwłaszcza w rodzaju subtelnie humorystycznym, tym razem

wszakże po długiem i daremnem usiłowaniu znalezienia rymu do „Sumatry“ zadowolił się wygłoszeniem długiego toastu prozą, w którym z godną zazdrości swadą uczcił małżeństwo przyjaciela jako związek poezyi z prozą, sztuki z handlem.

Bez humoru, podobnie jak się zaczęła, skończyła się biesiada. Gottlieb, który był zachwycony urodą i wdziękiem bratowej, pożegnał ją pocałunkiem i uściśnieniem ręki, a gdy Klaudyusz pochwycił go w objęcia stanęły mu nawet łzy w oczach. Leon pocałował drobną rączkę pani Bewerowej, uścisnął energicznie wielką dłoń przyjaciela, skinął głową znacząco i wyszedł z dużym nakładem „niemej gry.“

Klaudyusz i Kathi zaczęli się przygotowywać do podróży. Świadkowie poszli razem na spacer.

Następnego dnia rano przybyli młodzi małżonkowie z Augustą do Wiesbadenu. Mieszkanie w „Nassauer Hof“ było już od trzech dni na ich przyjęcie gotowe.

Klaudyusz był uszczęśliwiony. Przesadzał się w czułościach i subtelnych atencyach. Ten wielki mężczyzna, którego wszystkie myśli i uczucia koncentrowały się w jednem pragnieniu: zadowolenia wszelkich pragnień wątłej kobiety,—miał w sobie coś wzruszającego. Nie mógł się nasycić widokiem wdzięcznej postaci i ślicznej twarzyczki, dźwiękiem jej głosu i oryginalnego dyalektu, i co chwila z radością i dumą tulił ją w objęciach. Kathi była uprzejma i chłodna jak zwykle. W ciągu ostatnich tygodni nietylko wżyła się w nowe położenie ale zapanowała nad niem zupełnie. Stało się to bynajmniej nie skutkiem jej wyższego sprytu, lecz

jedynie dlatego, że Klaudyusz był śmiertelnie w niej zakochany, a ona nie czuła dla niego nic innego, prócz sympatyi i życzliwości, — prócz naturalnej skłonności dla mężczyzny, który ją ubóstwiał i na rękach nosił.

Levini, która krótko przed ślubem odwiedziła ją w hotelu Rzymskim, powiedziała Kathi prawdę, gdy na pytanie dawnej koleżanki: „Czy ty go kochasz?“ odpowiedziała drugiem pytaniem: „Jakżebym mogła go nie kochać? Wszak patrzy mi się ciągle w oczy i robi wszystko, o czem tylko zamarzę.“

— A więc jesteś zupełnie szczęśliwa?

— Jak możesz dopiero pytać? — odpowiedziała Kathi znów pytaniem.

Była w istocie całkiem zadowolona i dopóki miała zajęcie z wyprawą czas przechodził jej szybko. W ciągu ostatnich dni wszakże zaczynała się nudzić. W ciągłem przebywaniu razem z Klaudyuszem, który nie był nadmiernie zajmującym, czas przechodził jednostajnie. Powtarzał jej nieustannie tylko to, co już dobrze wiedziała: że ją kocha nad wszystko. Nie przyznawała się wprawdzie do tego przed sobą, ale odczuwała jednak, że dawniejsze jej życie było o wiele weselsze i bardziej urozmaicone. W Walhalli nie brakło nigdy rozrywek i niespodzianek. Raz zdarzyła się kłótnia z Levini za kulisami,—a Kathi w potyczce na języki odnosiła już niejednokrotnie świetne zwycięztwa, – to znów urządzano po skończonem przedstawieniu wesołe wycieczki. Teraz zaś dnie mijały jednakowe jeden za drugim. Otrzymywanie kosztownych podarunków spowszedniało jej szybko, a podarunki te były ostatecznie jedyną

rzeczą, której w programie dnia na pewno oznaczyć nie było można.

Towarzyszka, którą zaangażowała, okazała się nieznośnie nudną,—była to córka urzędnika, wychowana w stowarzyszeniu „Lette," a posiadająca wszelkie możliwe zalety, oprócz daru porozumienia się z Kathi. Po trzech dniach sama poprosiła o uwolnienie. Kathi znalazła daleko stosowniejszą następczynię w córce swej dawnej gospodyni, siedemnastoletniej Auguście Milcke, która była jedną z owych nader pojętnych, przedwcześnie dojrzałych dziewcząt, jakie tylko w stolicach wyrastają. Z Gucią umiała Kathi o wiele przyjemniej rozmawiać niż z Klaudyuszem. Obie wzrosły w jednakiej umysłowej i obyczajowej atmosferze i stały na jednakim stopniu wykształcenia. Guci też zwierzyła się pani Bewerowa rano w dniu ślubu, że rada jest bardzo, iż ta „heca" w Berlinie skończy się nareszcie.

Wiesbaden zrobił na Kathi bardzo przyjemne wrażenie.

Gdy młoda para ukazała się po południu na placu przed kurhauzem, gdzie grała muzyka, zwróciła powszechną uwagę. Jeden z owych licznych próżniaków, którzy przeżywają swoją niewielką rentę w Wiesbadenie i spędzają życie na robieniu konkurencyi liście kuracyuszów,—dowiedział się już i rozniósł na wszystkie strony, że barczysty wysoki blondyn to milioner amerykański, mister Bewer (wymawiał Biuer), który zajmuje w Nassauer Hof siedem pokojów, a wykwintna brunetka jest jego żoną. Panie zwróciły szczególną uwagę na wspaniałe butony brylantowe Kathi, któ-

rej to sprawiało wielką przyjemność, że stała się przedmiotem powszechnej ciekawości; opierała się czulej na ramieniu Klaudyusza i była dla niego tkliwszą niż zazwyczaj.

Wieczorem, dla uczczenia rocznicy Sedanu, urządzono wielką zabawę w parku z iluminacyą i fajerwerkami oraz bal w kurzalu. Klaudyusz oczywiście nie mógł Kathi niczego odmówić i poszedł z nią na bal, jakkolwiek sam nie miał upodobania do rozrywek tego rodzaju i w kunszcie tańca nie doprowadził umiejętności swej dalej, niż do zwykłej polki.

Podobnie jak popołudniu w parku tak i wieczorem w sali balowej zaszczycano Kathi i Klaudyusza szczególną uwagą. Zaledwie usiedli, gdy jeden z licznych oficerów, którzy z Kassel i Moguncyi przybyli na zabawę, kazał się przedstawić przez dyrektora zakładu kuracyjnego Klaudyuszowi i poprosił, aby tenże przedstawił go znów żonie, z którą chciał mieć zaszczyt przetańczenia następnego walca. Kathi była wyśmienitą i namiętną tancerką. Klaudyusz, patrząc na swoją piękną żonę,—swoją żonę, która była stokroć piękniejszą i stokroć lepiej tańczyła, niż wszystkie inne obecne kobiety,—wirującą w objęciach smukłego porucznika po sali, przycisnął mimowoli do ust chusteczkę koronkową i wachlarz, który mu podała wstając. Po skończonym tańcu oficer ukłonił się i cofnął w bok, by ustąpić miejsca innym kolegom, czyhającym na sposobność przedstawienia się z kolei. Naraz Kathi drgnęła.

— Patrz, Albersdorff!—rzekła półgłosem, wielce zdumiona.

— Co mówisz? — spytał Klaudyusz, który śród wrzawy balowej nie dosłyszał.

— Nic,— odparła Kathi.

W tejże chwili zbliżył się do Klaudyusza oficer kawaleryi i przedstawił:

— Baron von Albersdorff.

— Bewer.

— Czy zechce pan przedstawić mnie pani?

— Baron von Albersdorff chce ci być przedstawiony... Moja żona.

— Czy mogę panią prosić o karnecik? Kontredans, jak widzę, jeszcze wolny. Pozwoli mi pani zapisać przy nim moje nazwisko? Dziękuję uprzejmie...

Baron złożył grzeczny ukłon i cofnął się.

Albersdorff? Klaudyusz nie pierwszy raz słyszał to nazwisko. Przypominało mu coś, czego sobie uprzytomnić nie mógł, ale coś nieprzyjemnego,— czuł to wyraźnie. Albersdorff? Czy Kathi nie wymówiła przed chwilą podobnie brzmiącego wyrazu, którego powtórzyć nie chciała?

Zaczął się nowy taniec, świeży tancerz zabrał Kathi. Klaudyusz znów trzymał wachlarz i chusteczkę koronkową. Kathi tańczyła z niemniejszym wdziękiem niż poprzednio, ale on już mniej się nią zachwycał. Szukał barona między tancerzami i odnalazł go łatwo. Twarz tę widział z pewnością dzisiaj poraz pierwszy. Zkądże jednak zna to nazwisko? Może Kathi go objaśni.

W tejże chwili odprowadzono ją na miejsce. Była zgrzana, wzięła wachlarz i chłodziła się gwałtownie.

— Czyś ty mi kiedy wspomniała o jakim baronie Albersdorff? Słyszałem już gdzieś to nazwisko, nie przypominam sobie jednak przy jakiej okazyi i to mnie dręczy.

— Nie dręcz się i przynieś mi lepiej lodów! Topię się z gorąca.

Klaudyusz zamówił u przechodzącego właśnie kelnera porcyę lodów.

— Możebyś odpoczęła trochę. Jesteś widocznie bardzo zmęczona.

— Odpocząć! Ja się nigdy tańcem nie męczę; im dłużej tem lepiej! To tylko ten upał w sali... Szkoda, że ty nie umiesz tańczyć. Niema nic cudowniejszego na świecie! Nie znam wyższej rozkoszy nad walca Straussa!

Połykała zwolna lody.

— Bawię się bosko! Tyś taki dobry! Zostaniemy długo w Wiesbadenie.

Nieprzyjazne usposobienie, jakie zaczęło ogarniać Klaudyusza podczas ostatniego tańca, ustąpiło jak cudem.

— Dopóki ci się będzie podobało,—odparł.

Ale zbliżył się znów jakiś tancerz, tym razem referendaryusz, i uprowadził Kathi. Dlaczego te przerwy między tańcami były takie krótkie, a tańce same takie długie. I znów siedział sam z chusteczką i wachlarzem, a ta, która powinnaby siedzieć obok niego, kręciła się w kółko z jakimś referendaryuszem, z jakimś obcym zupełnie człowiekiem, który nawet nie był przystojny i właśnie w tej chwili nadeptał jej na tren sukni. Co mogła być w tem za przyjemność? Czy nie

byłoby stokroć rozsądniej jeść teraz kolacyę we dwoje w ogrodzie albo w wesołem mieszkaniu w Nassauer Hof? Po co im to towarzystwo? Ci referendaryusze i oficerowie? Ten Albersdorff?

Albersdorff? Kto to ten Albersdorff?

— Zrób to dla mnie i opuść następny taniec; jesteś w gorączce, moje dziecko!

— Ależ proszę cię, mężusiu drogi, nie niepokój się daremnie! Jużem ci powiedziała: mogłabym tańczyć przez dwadzieścia cztery godzin jednym ciągiem i jeszcze nie byłabym zmęczona. Ludzie powzięliby o mnie ładne pojęcie, gdybym najpierw przyjęła zaproszenie a potem uciekła. Zresztą to moja największa uciecha!

Powiedziała to najdźwięczniejszym tonem swego melodyjnego głosu i dotknęła z lekka łokciem ramienia męża.

— Czy ci to naprawdę sprawia taką przyjemność?—spytał Klaudyusz nawpół przekonany.

Kathi przechyliła główkę ku rozkochanemu mężowi, spojrzała na niego filuternie przymkniętemi oczyma i pod osłoną wachlarza zanuciła szeptem w najczystszym wiedeńskim dyalekcie:

„Das wass nur a Weaner, a Weanerisches Blut,
Was a Weanerischer Walzer'em Weanerischen thut."

Była ona dobrze świadoma swego nieprzepartego wdzięku, a gdy tym razem, wstając do kontredansa z baronem, podała wachlarz mężowi, uderzyła go nim zlekka; pewna była, że go tą figlarną pieszczotą do reszty rozbroi. Jakoż skinął jej głową z błogim

uśmiechem, gdy, wsparta na ramieniu barona, oddalała się, by zająć miejsce w przeciwległym rogu sali.

— Czy pan mnie zaraz poznał? — spytała Kathi barona, oficera o pięknej postawie i sympatycznej twarzy.

— Od pierwszego rzutu oka.

— I naturalnie opowiedziałeś pan zaraz o tem odkryciu wszystkim swoim kolegom?

— Nie mówiłem żywej duszy.

— Słowo?

— Jeżeli mi pani tak nie wierzy, daję pani słowo! Jestem dopiero od trzech dni tutaj odkomenderowany i prawie że nie znam jeszcze moich nowych kolegów. Mówię pani to, żeby panią uspokoić, i objaśnić moją dyskrecyę, o której pani, jak mi się zdaje wątpi.

— Już ja panu wierzę. Rozeszliście się z Levini?

— Szanujemy się wzajemnie w dalszym ciągu.

Kontredans się zaczął. W przerwach między pojedyńczemi figurami, albo gdy porządek kontredansowy nakazywał im tańczyć razem, zawiązała się między nimi następująca, ciągle przerywana i nieustannie znów podejmowana, rozmowa:

— A jakże się miewa Strusa?—spytała Kathi.

— Doskonale, dziękuję za łaskawą pamięć,—odparł baron.

— Słyszałam już od Levini jak on wymyślał wtedy... tego wieczora, kiedym to nie przyszła. Sądzę, że się uspokoił. Wie przecież, żem poszła zamąż.

— Wie wszystko i jest najzupełniej uspokojony.

— To bardzo rozsądnie! Do kogoż zaleca się teraz?

— O ile wiem, stara się o łaski następczyni pani, milutkiej Toni Semmer.

— Co! tej gęsi? Znam ją bardzo dobrze. Byłyśmy jednocześnie zaangażowane do Klausenburga. Blada Toni i czarny Strusa! Coprawda znakomicie pasują do siebie. Przyznaj pan, że on był uczciwie brzydki!

— Sądzę, że pani mnie już dostatecznie wybadała. Teraz na mnie kolej. Jakże się pani wiedzie?

— Wyśmienicie. Zrobiłam bardzo dobrą partyę.

— O tem słyszałem ku mojej wielkiej radości. A czy mąż pani zazdrosny?

— Jakże może być zazdrosny? Wszak nie daję mu do tego powodu.

— To nie racya. Ten mąż dobrze się prezentuje.

— Nie prawda? Przystojny mężczyzna! Gdyby wyglądał jak Strusa nie byłabym go też wzięła.

— Szanowna pani bardzo niełaskawa! Spędziliśmy jednak wspólnie niejedną wesołą godzinę.

— To prawda!

— A twarz księcia nie przeszkadzała bynajmniej do zabawy.

— Strusa i Toni! — rzekła Kathi znienacka i roześmiała się.

— Czy państwo podczas przerwy będą tutaj jedli kolacyę?—spytał baron, chcąc sprowadzić rozmowę na inny temat, uwagi o księciu bowiem niemile go dotykały.

— Zdaje mi się.

— Radbym w takim razie, jeśli pani pozwoli, zająć miejsce przy stole państwa.

— Owszem, proszę.

— Wszak to panu Bewerowi nie sprawi przykrości? Zdawało mi się, że niebardzo przychylnem okiem na mnie spoglądał, a nie chciałbym temu zacnemu człowiekowi psuć humoru.

— Nie obawiaj się pan, o palec go owinę.

— W takim razie winszuję pani.

Kathi wpadła na dawny ton rozmowy i odzyskała dawny humor, który jej samej stał się już obcym. Baron nie mówił nic nadzwyczajnego, ale wydał jej się bardzo dowcipnym; dawno już nie bawiła się tak dobrze. Oddawna już, od czterech tygodni nie była taka wesoła i swobodna, jakkolwiek ta blada Toni rozgniewała ją trochę. Dlaczego ten poczciwy Klaudyusz, który ją tak kocha, nie może nigdy w ten ton utrafić? Przecież jest taki dobry. Ale nie umie gawędzić. Powtarza jej raz poraz, że ją kocha, że ona go uszczęśliwia, i że on ją chce uszczęśliwić i na tem się kończy jego mądrość. Bardzo to dobrze i pięknie, ale człowiek chce także raz o czem innem usłyszeć,—o Levini, o bladej Toni, o księciu i innych zajmujących osobistościach. A jaki on teraz nachmurzony siedzi. Nawet tańca chciałby jej wzbronić, jedynej prawdziwej przyjemności! I to tylko dlatego, że sam nie umie tańczyć.

— Jesteście wszyscy egoiści, — rzekła Kathi do barona, który usłyszał wprawdzie tylko ten głośny wniosek wyciągnięty z jej rozumowań wewnętrznych, ale, jako dobrze wychowany człowiek, zaniechał wszelkich pytań i w zupełności zgodził się na zdanie pani Bewerowej.

Klaudyusz tym razem dotkliwiej jeszcze odczuł ponowną pustkę obok siebie. Zauważył z jaką swobodą

zawiązała się rozmowa między jego żoną a tym baronem z fatalnem nazwiskiem i jak żywo toczyła się dalej. Obudziło się w nim nieokreślone podejrzenie, podsycane rozdrażnieniem, w jakie go wprawił cały ten wieczór. Słyszał niewątpliwie nazwisko Albersdorff od Kathi; ominęła jego pytanie a teraz rozmawiała z tym baronem jak ze starym znajomym. Teraz śmiała się, gdy on trzymał wachlarz i chustkę i nudził się,— a nawet więcej: gniewał. Nie po to doprawdy tu przyszedł! Inaczej sobie wyobrażał pierwszy wieczór małżeńskiego pożycia. Kathi musiała to przecież odczuwać sama, nie potrzebował jej chyba dopiero tego mówić. Ani razu nie spojrzała na niego, gdy on oczu od niej nie odrywał. Czcza paplanina tego Albersdorffa pochłaniała ją widocznie całkowicie.

Albersdorff!.. Klaudyusz otworzył szeroko oczy i konwulsyjnym ruchem zmiął chustkę w dłoni. Wszak to było nazwisko owego oficera, który ze Strusą i Levini był na zabawie we Florze i który chciał i Kathi do pójścia namówić! I z nim to tańczyła Kathi nazajutrz po ślubie!

Klaudyusz zagryzł usta. Lodowaty chłód serce mu przeniknął. Ogarnął go nieopisany niepokój, przesunął kilkakrotnie dłonią po czole.

— Czyżbym zaczynał być zazdrosnym? Boże wielki!—szepnął zaledwie dosłyszalnie.

Baron odprowadził panią Bewerową na miejsce i stał jeszcze przez chwilę, gawędząc, przy jej krześle. W końcu, zwracając się do Klaudyusza, rzekł ugrzecznionym tonem:

— Pani wspominała mi, że państwo będą tutaj jedli kolacyę. Byłbym panu bardzo wdzięczny, gdyby pan zechciał udzielić mi gościnności przy swoim stole i pozwalam sobie prosić pana o to.

— Radbym oczywiście skorzystać z tego zaszczytu,—odparł Klaudyusz, — lecz obawiam się, że będzie dla nas zapóźno.

— Ależ, Klaudyuszu! — zawołała Kathi nadąsana.

— Będzie doprawdy zapóźno dla nas, moje dziecko, — powtórzył Klaudyusz łagodnie, ale bardzo stanowczo. — Bawisz się, więc o niczem już nie myślisz. Jestto zupełnie w porządku. Ja, jako starszy, muszę zatem mieć rozsądek za dwoje. Przykro mi, że ci psuję zabawę, ale robię to, bo dbam o ciebie.

— Pan Bewer ma słuszność, łaskawa pani, — wtrącił baron, zauważywszy, że Kathi przygotowywała się do odpowiedzi.—Wszak pani pozostanie tu jeszcze przez pewien czas? W takim razie będę miał w tych dniach sposobność spotkania pani i jej małżonka w parku. Przyjeżdżam tu często z Moguncyi. Łaskawa pani... panie Bewer... moje uszanowanie.

Baron, złożywszy ukłon, oddalił się.

— I cóż?—spytała Kathi podrażnionym tonem.

— Proszę cię, moje drogie dziecko, pójdź! Zrób to dla mnie!

— Jesteś nieznośny!—rzekła.

Klaudyusz drgnął przy tych słowach i cofnął się, jakgdyby otrzymał niespodziany policzek.

Pierwszy to raz Kathi obeszła się z nim szorstko,

byłoto pierwsze przykre słowo, jakie od niej usłyszał— i to w drugim dniu pożycia małżeńskiego! Nie mógł nic więcej powiedzieć tylko:

— Kathi!

Nie dodała ani jednego łagodzącego wyrazu i wstała. Klaudyusz przysunął się do niej i podał jej rękę.

W milczeniu minęli kolumnadę, milcząc weszli do mieszkania.

— Kathi!—odezwał się Klaudyusz tonem czułego wyrzutu,—bądźże rozsądną!

— Proszę cię, daj mi pokój, — odparła z rozdrażnieniem.

Poszła do swego pokoju, gdzie czekała na nią Gucia.

Czuła właściwie potrzebę ulżenia sercu i zwierzenia się pojętnej dziewczynie, ale czuła także, że to jednak nie wypada, objawiła tedy gniew swój w odmienny sposób, strofując z niezwykłą szorstkością pokojówkę za jej niezręczność. Ale filozoficzna Gucia nie wzięła tego do serca.

Klaudyusz pozostał sam, pogrążony w posępnej zadumie. Siedział przez długi czas i nie mógł zebrać myśli, — w duszy jego zapanował bezmierny smutek. Naraz zerwał się i wszedł szybko do sypialni... Była pusta. Ogarnął go nagły przestrach. Podążył do pokoju Kathi. Zarzuciwszy szlafrok, położyła się na wygodnym szezlongu, przykryła pledem i zasnęła. Klaudyusz stanął przed nią i potrząsnął głową.

— Przekorne dziecko! — rzekł sobie w duchu.—

Ale dziecko!—powtórzył, jakby pragnąc ją usprawiedliwić.

Usiadł naprzeciwko niej na krześle, wpatrzył się w nią czule i z radością przysłuchiwał się regularnemu, głębokiemu i zdrowemu oddechowi swojej śpiącej, młodej żony.

— Kathi,—rzekł Klaudyusz, gdy następnego dnia rano siedzieli naprzeciwko siebie przy śniadaniu,—zajście takie jak wczorajsze, powtórzyć się nie powinno. Nie będziemy się przecież dręczyli... połączyliśmy się po to, żeby sobie życie wzajemnie rozweselać. Musimy, zwłaszcza w tych pierwszych czasach naszego małżeństwa, pamiętać dobrze o tem, żebyśmy na jednej i tej samej drodze pozostali i nie rozłączali się. Na fałszywy kierunek wpaść łatwo, jeśli zaś jedno pójdzie na prawo a drugie na lewo, nieszczęście gotowe. Nie powinniśmy nigdy zapominać, że przeciwieństwo między nami nie istnieje, że może chodzić tylko o różnicę zapatrywań, które dadzą się szybko wyrównać wzajemnem uwzględnieniem, lub o nieporozumienie, dające się wnet załagodzić dobrem słowem. Nie był to upór z mojej strony, drogie dziecko, żem cię wczoraj do pójścia zniewolił. Taniec ci nie służy, pomimo tego co mówisz! Takiej podnieconej, jak wczoraj, jeszcze cię dotąd nie widziałem. I temu gorączkowemu podnieceniu przypisuję też, żeś była dla mnie niesłusznie przykrą. A nadto, i to głównie, było mi nieprzyjemnie, że

spotkałaś się ze znajomym z dawniejszych czasów. Zrozumiesz to, sądzę. O tych dawniejszych czasach nie wyjdzie nigdy z ust moich dokuczliwe słowo, ale nie chcę, żeby mi o nich przypominano. A więc niechaj będzie zgoda, ja się już na ciebie nie gniewam; a teraz spojrzyj znów na mnie z uśmiechem i pamiętaj o tem, że mamy wszelkie powody wesoło spoglądać w życie. Kathi, podaj mi rękę!

Kathi nie próbowała nawet przerwać tej długiej przemowy. Nie odrywała oczu od białego obrusa a twarz jej pozbawiona była wszelkiego wyrazu. Nie znać było na niej ani smutku, ani uporu, ani wzruszenia. Położyła apatycznie rękę na dłoni męża, nieodpowiadając na jego serdeczny uścisk.

— Czy nie masz mi nic do powiedzenia? — spytał Klaudyusz po dłuższem milczeniu.

— Jak ja się gniewam, to nie mogę mówić,— odparła Kathi.

— Ależ, dziecko, ty nie powinnaś się gniewać!

Klaudyusz usiłował wytłómaczyć jej raz jeszcze, że jej rozdrażnienie jest całkiem nieuzasadnione. Pozwoliła mu mówić, nieprzerywając. Nie przyznawała mu słuszności, ani też zaprzeczała. Nie rozumiała go może wcale. Klaudyusz rozwodził się ogólnikami, do których jej umysł nie dorósł. Kathi pojmowała tylko rzeczy pozytywne. Wiedziała bardzo dobrze, jak sobie wyobrazić nową tualetę, podróż, bal, kolacyę z Levini. Ale to, co jej tam Klaudyusz opowiadał o zadaniach małżonków, o moralnych obowiązkach na przyszłość i tym podobnych rzeczach, było dla niej za mądre; nie lubiła zagadek.

Klaudyusz miał słuszność, gdy po pierwszem z nią spotkaniu powiedział Leonowi, że Kathi nie jest zepsutą naturą i że jej to z oczu widać. W istocie nie była ona pod względem moralnym zwyrodniona, nie miała spaczonych zasad, nie była występna; była poprostu nierozwinięta. Wzrosła bez dobrego przykładu, któryby mógł ją podnieść; nigdy żadne poważne i szlachetne pojęcie nie zasiliło młodocianego umysłu. Wychowanie, jakie otrzymała w warsztacie ojca, — matka odumarła ją wcześnie,—polegało na tem, że ją karmiono, ubierano i posyłano do szkoły ludowej. O daniu jej tego, co nazywamy podstawą moralną, niepomyślano nawet, pozbawiona zatem była wszystkiego, co się na tej podstawie opiera i z niej jedynie wyniknąć może. Jeden obowiązek tylko pojęła w zupełności, mianowicie, że musi wypełnić kontrakt, inaczej bowiem zapłaci karę. Stało się więc, że, pomimo przewyższającego średnią miarę rozumu, była pod względem umysłowym zerem. Ale tę pustkę duchową ukrywał wrodzony wdzięk fizyczny. Postać jej miała czar niepokonany. Kathi świadoma była w zupełności tej swojej potęgi, a instynkt nauczył ją zręcznego użytku niebezpiecznej broni. Gdy nie czuła się bardzo pewną, milczała i pozostawiała resztę działaniu swego wdzięku.

To milczenie było dla Klaudyusza męką piekielną, a gdy martwym wyrazem twarzy objawiała się jego zapowiedź, na czem poznał się szybko, — ogarniała go zgroza. Gotów był chętnie znieść wszystko, nawet widoczną krzywdę, byle tylko Kathi nie milczała,—byle nie milczała! Wszakże nie poślubił martwego posągu! Wszystko, tylko nie to wołanie na puszczy! Przecież

można pomówić o tem, czy ma słuszność, czy się myli; nie powinno się pomijać tego milczeniem.

Czyż jest tyranem, w obec którego musi zamierać na ustach każde przeczące słowo?

I unosił się stopniowo i w końcu wpadał w gniew a w takiem usposobieniu ducha mówił rzeczy, których w istocie powinien był żałować. Milczeniem swojem doprowadziła Kathi do tego, że ostatecznie w istocie nie miał słuszności i że to odczuwał, i musiał jeszcze prosić o przebaczenie kobiety, która go boleśnie dotknęła. A potem robił sobie wyrzuty, że humorami swojemi i gwałtownością zadręcza biedną istotę, która, oprócz niego, nie miała nikogo na świecie.

Z czasem olbrzym tak zmalał i osłabł, że dziecko mogłoby się nad nim litować. Drżał przed każdym nieporozumieniem małżeńskiem, albowiem każde, choćby wywołane najbłahszym powodem, nabierało znaczenia poważnej rozterki. Drżał przed drobną Kathi, jak niewolnik przed rozgniewaną władczynią.

— A tam nazywali mnie królem Sumatry!—rzekł raz z gorzkim uśmiechiem.

Kathi, która zrazu milczała, czując się bezsilną, potem już, poznawszy potęgę tego milczenia, milczała z zasady.

Smutnie wogóle minęły pierwsze tygodnie małżeństwa, jakkolwiek zdarzały się i słoneczne godziny. Gdy po takiej, niestety nierzadkiej, scenie domowej zasiadła Kathi do fortepianu i ładnym głosem swoim, z temperamentem czystej krwi Wiedenki, zaśpiewała jedną z licznych austryackich pieśni ludowych, a Klau-

dyusz z rozkoszą wsłuchywał się w prześliczne melodye, wówczas zapominał o wszystkiem, co go od pewnego czasu tak ciężko przygnębiało, wówczas był szczerze przekonany, że pomimo wszystko postąpił słusznie. Kobieta, którą kochał, należała do niego. Cóż wobec tej prawdy niezaprzeczonej znaczyła reszta?

Ufał we wpływ czasu, który złagodzi jego szorstkość i jej opór ugnie. Najwidoczniej niewłaściwie zabrał się do rzeczy. Powiedział sobie, że odrębne warunki życia, jakie dotąd pędził, zrobiły zeń z pewnością samoluba; że przyzwyczaił się od tylu lat bezwzględnie przeprowadzać własną wolę. Na obczyźnie odwykł od stosunków z równymi, a przedewszystkiem od obcowania z kobietami; między dzikimi sam nawpół zdziczał. Musi się pod wielu względami zmienić. Biedna Kathi nie może za to odpowiadać. Jeśli jest inną, niż ją sobie wyobrażał, wszak to nie jej wina. Od skowronka nie ma prawa wymagać, żeby śpiewał jak słowik.

— Muszę sobie dom zbudować z tego materyału, jaki jest. Główna rzecz, żebyśmy już byli pod własnym dachem. Życie moje układa się wprawdzie inaczej, niż myślałem; ale nie jest powiedziane, aby dlatego było gorsze. Kathi nie jest złą naturą! Nie rozumiemy się jeszcze, jak należy. Musimy dołożyć wszelkich starań, by się porozumieć. Od tego zależy wszystko.

Tak argumentował Klaudyusz. Szukał winy zawsze w sobie. Z niepokonaną obawą omijał pytanie: czy Kathi w istocie nie zasługuje na żaden zarzut?

I gdzie jest właściwy zarodek złego? Nieprzezwyciężona niechęć powstrzymywała go od zastanowienia się należytego nad wzajemnym stosunkiem i zbadania, czy też jego podstawa jest właściwa i zdrowa. Ogarniało go wprawdzie nieraz bolesne przeczucie, że zbyt pośpiesznie, bez zastanowienia zabrał się do budowy domu własnego, że nie zbadał dostatecznie fundamentów i wzniósł gmach na piasku. Do tego wszakże nie chciał i nie mógł się przyznać w żaden sposób. Nie chciał uznać wielkiej omyłki i wmawiał w siebie, że wystarczy, gdy pozbędzie się małych błędów. Tylko siebie samego zmienić musi, bo nabył niebawem pewności, że w Kathi niewiele da się zmienić.

Wiedział też już oddawna, że drobnych sprzeczek, które tak posępnie zachmurzały horyzont młodego małżeństwa, najlepiej uniknie, gdy, jako rozumniejszy, ustąpi. Po najrozmaitszych nieudanych eksperymentach wziął sobie za zasadę bezwzględną uległość; a ponieważ Kathi właściwie nie wymagała nigdy niczego nierozsądnego, przeto nietrudno mu przychodziło być uległym. I okazało się, że metoda ta nie była najgorszą, albowiem w ostatnich czasach spokój domowy prawie że nie bywał zakłócany. Spokój istniał rzeczywiście ale nie było jedności. Faktycznie każde żyło dla siebie. Urząd cywilny jaknajformalniej połączył tych dwoje, ale umysłowy i duchowy węzeł nie zadzierzgnął się między nimi. Kathi nie mogła wyjść z koła pojęć i uczuć, jakie jej zakreśliło urodzenie i wychowanie, a było ono całkiem inne niż koło syna patrycyuszowskiego z Lubeki, wyrosłego w najsurowszych

zasadach moralności, wychowanego przez rozumnego i szlachetnego a kochającego ojca. Kathi nie pojmowała jak Klaudyusz mógł się gniewać, gdy wygłaszała niektóre zapatrywania, nie odczuwała bowiem ich pospolitości. Klaudyusz co chwila stawał wobec niepojętności, z którą musiał się liczyć, by osłabić jej bolesne oddziaływanie.

Kathi brała te wszystkie nieporozumienia małżeńskie o wiele mniej tragicznie niż Klaudyusz. Niekiedy przychodziły jej nawet w porę, albowiem przynosiły jakąś zmianę w jednostajnem jej życiu. Ale i ona nie była szczęśliwa. Przy boku człowieka, który ją kochał z całego serca, opływając w bogactwie, zapewniającem wszelkie materyalne uciechy, była nawet mniej szczęśliwą, niż w ubogo umeblowanym pokoiku pani Milcke i w towarzystwie lekkomyślnych bałamutów. Nudziła się bowiem ciągle. Przez dwadzieścia cztery godziny przebywać dzień w dzień z jednym i tym samym mężczyzną, — tego jej było trochę za wiele! Czyż to wiecznie tak będzie?

Mężowie innych kobiet mieli jakieś zajęcia, które ich codziennie na krótszy lub dłuższy czas wydalały z domu. Tamte inne kobiety bywały wtedy sobie zastawione, mogły odwiedzać znajomych. Kathi nie miała przyjaciółki, z którą wolnoby jej było obcować, nie miała nikogo znajomego, któregoby mogła powitać w wytwornych salonach. Posiadała jedynie swego męża, który nie miał na bożym świecie nic innego do roboty, tylko troszczyć się o nią. Dlatego też dręczył ją dziwacznemi przywidzeniami. Nie miał zajęcia, a to

szkodziło oczywiście stojącemu w sile wieku, przywykłemu do pracy człowiekowi. Gdy sobie już obiorą stałą siedzibę, Klaudyusz będzie musiał koniecznie zabrać się do jakiej roboty, któraby mu sporo czasu zajmowała, tak żeby żona miała trochę swobody. Byłoto wymaganie całkiem słuszne.

Klaudyusz, który wtajemniczył żonę we wszystkie swoje sprawy, niemało się zdziwił zajęciem, jakie Kathi okazywała dla kwestyi zwinięcia domu handlowego na Sumatrze. Postępowało ono daleko wolniej, niż się Klaudyusz spodziewał i niż pragnął. Ostatnia poczta przyniosła mu list ostrożnego i zaufanego prokurenta, który mu oznajmiał, że nie może brać na swoje kupieckie sumienie odpowiedzialności za literalne wykonanie rozkazów, jakie mu Klaudyusz zostawił przed swoim nagłym wyjazdem. Zbyt pośpieszna likwidacya pociągnęłaby za sobą, wobec chwilowych konjunktur handlowych, bardzo znaczne straty, których z łatwością można uniknąć zwijając interes racyonalnie i spokojnie. Prosi zatem o pozwolenie działania na własną rękę i poprowadzenia interesu według swego uznania, tak, aby likwidacya mogła być dokonana korzystnie. Jeśli potrwa ona czas dłuższy, półtora roku lub dwa lata, to przecież nie będzie nieszczęścia.

Klaudyusz odwrotną pocztą odpowiedział prokurentowi, że zgadza się na wszystko, co on postanowi i cieszył się zajęciem, jakie okazywała dla tych spraw Kathi, nierozumiejąc ich przecież wcale.

— Kto wie,—rzekła poważnie, — czy nie byłoby

najlepiej, żebyś ty sam na miejscu te interesa uporządkował.

— Ależ, dziecko,—odparł Klaudyusz, uśmiechając się dobrodusznie, — czyż przypuszczasz, że jabym cię naraził na trudy takiej podróży?

Nie. Kathi tego nie przypuszczała.

Minęła jesień. Młoda para zwiedziła całe niemal południowe Niemcy i po najróżnorodniejszych projektach, nagle postanowiła zamieszkać w Berlinie.

Klaudyusz, w przewidywaniu tej ewentualności, rozpoczął przed kilku tygodniami układy o nabycie niewielkiego, wykwintnego domu na Hildebrandtstrasse, który był jak stworzony dla młodego małżeństwa. Pierwotny właściciel urządził go świeżo i bardzo gustownie dla żony, nie zamieszkał w nim wszakże wcale, albowiem młoda kobieta podczas poślubnej podróży umarła w Rzymie na złośliwą gorączkę. Klaudyusz tedy dobił targu i upoważnił Leona do dopełnienia wszystkiego, coby jeszcze brakowało, do zmiany tego co było niegustowne, a zwłaszcza do przyozdobienia przedmiotami sztuki pokojów Kathi.

Ta Kathi była w istocie szczególnem stworzeniem! Miała jednak poważniejszy grunt, niż przypuszczał. Bo podobna bezinteresowność, jaką znów teraz okazywała, nie dała się pogodzić z płytkością jej charakteru. Nie posądzał ją o to, mówiąc szczerze. Czyż

to nie było wzruszające, że troszczyła się o wiele mniej o komfort i zbytek we własnych apartamentach niż właśnie o urządzenie wygodnego, cichego, odległego od reszty pokojów, biura, w którem mąż mógłby spokojnie pracować?

Leon nienapróżno należał przez rok do trupy Meiningeńskiej. Miał wykształcone oko artystyczne i smak wytrawny. Wypełnił zlecenie przyjaciela z prawdziwą przyjemnością i wielką wprawą. W połowie listopada gniazdko było usłane, a w tydzień później przyfrunęły doń wędrowne ptaki.

Kathi była nową swoją siedzibą szczerze zachwycona. Takiego pięknego apartamentu nigdy jeszcze nie widziała, nigdy sobie nie wyobrażała. Poraz pierwszy odczuła coś jakby wdzięczność dla męża, który podziękowania nie żądał i uważał się za dostatecznie wynagrodzonego, jeśli ona była tylko zadowolona. Czas też mijał Kathi tutaj prędzej niż w podróży. Zajęła się domem, a przytem Leon odwiedzał ich często.

Osądziła go zrazu fałszywie i niesłusznie. Był naprawdę zajmującym i miłym człowiekiem. Zmienił się także na korzyść w obejściu względem niej. Od czasu gdy została panią Bewerową, mówił zawsze z nią w tonie grzecznym i pełnym szacunku i nie pozwalał sobie na żadne poufałości. A nadto całe jego zachowanie wytwarzało jakąś nieopisaną atmosferę kulis i garderoby, która była dla Kathi nader miłą. Jakąż niedorzeczność popełniła, namawiając wówczas Klaudyusza do zerwania stosunku z tym wesołym człowiekiem! Przeciwnie, należy tę znajomość pielęgnować. Leon musi się stać jej skrytym sprzymierzeńcem; musi

niekiedy wyciągnąć Klaudyusza na jaką zabawę po za domem, na kolacyjkę kawalerską do Dressla lub podobną rozrywkę. Wówczas będzie miała parę godzin swobodnych i zdoła zobaczyć się z dawnemi przyjaciółkami, a Klaudyusz, który o tem słyszeć nie chciał, nie potrzebuje się o tem wcale dowiedzieć.

Przed umysłem Kathi otwierała się perspektywa drobnych tajemnic, które wydały jej się nader ponętnemi. Już sama myśl, że zamierza coś zrobić o czem Klaudyusz wiedzieć nie będzie i nie powinien, sprawiała jej przyjemność i bawiła ją. Była weselsza niż zwykle i bardzo uprzejma dla Leona.

Klaudyusza uszczęśliwiała ta zmiana w zachowaniu się żony, a w tem dobrem usposobieniu otrzymał jeszcze wiadomość, która go szczerze ucieszyła. Byłto list od Wilhelma treści następującej:

„Hamburg, hotel „Zum Kronprinzen“
d. 18-go grudnia 1878 r.

Kochany Klaudyuszu!

W towarzystwie żony, dwuletniego syna i czarnej, jak smoła, Murzynki, przybyłem tutaj w dniu wczorajszym. Mam tu zajęcia na kilka dni tylko. Interesa powołują mnie do Berlina, gdzie zamierzam stanąć z rodziną 23-go. Tam też mamy się spotkać z moją szwagierką Bellą, siostrą mojej żony, która za jakie sześć lub osiem tygodni, ukończywszy trzyletni pobyt na pensyi w Dreznie, powróci razem z nami do Paryża. Jeśli więc list niniejszy zastanie Cię w Berlinie i jeśli to będzie Tobie i żonie Twojej na rękę, możemy wszyscy

razem spędzić wieczór wigilijny. Cieszymy się szczerze z tego, że poznamy naszą piękną bratowę. Moja żona jest zachwycona Waszą fotografią. Tysiące ukłonów

Twój
Wilhelm."

Kathi w zupełności podzielała radość męża z tego listu. O takich wesołych świętach Bożego Narodzenia nie marzyła wcale. Nareszcie doczekała się prawdziwej przyjemności ze swego wspaniałego domu: dotąd cieszyła się nim tylko sama, a teraz będzie go mogła pokazać krewnym. Teraz będzie też pierwszy raz gospodynią u siebie. Wszystko to podniecało ją i podobało jej się. Kazała sobie jeszcze raz opisać dokładnie Wilhelma i żałowała, że Klaudyusz o bratowej, której sam jeszcze nie znał, wiedział tylko tyle, że jest młodą i córką kupca w San Francisco, bardzo poważanego i zajmującego wszelkiego rodzaju zaszczytne stanowiska, będącego prezesem honorowym różnych korporacyi i t. p. O istnieniu panny Belli dowiedział się Klaudyusz dopiero z listu.

Kathi byłaby najchętniej amerykańskich krewnych pomieściła u siebie i zapewniała Klaudyusza, że sobie przez tę parę tygodni wyśmienicie da radę. Nierada wyrzekła się tego projektu na skutek stanowczego oświadczenia Klaudyusza, że Wilhelm tego zaproszenia pod żadnym pozorem nie przyjmie, i postanowiła sobie to wynagrodzić niespodziankami na gwiazdkę urządzonemi. Klaudyusz musiał użyć wielkiej dyplo-

macyi, by wyperswadować jej, że nie powinna przekroczyć pewnych granic, jeśli zamierzony cel: sprawienie gościom przyjemności,—ma być osiągnięty.

Wpół godziny później weszła Kathi w futrze i kapeluszu do jadalni. Klaudyusz spojrzał na nią ze zdumieniem.

— Dokądże to?—spytał.

— To nie twoja rzecz, — odparła filuternie. — Przed kolendą niewolno być ciekawym.

— Jesteś doprawdy jeszcze wielkiem dzieckiem,—rzekł Klaudyusz z uśmiechem.—Nie pojedziesz przecież sama?

— Gucia jedzie ze mną.

— Dobrze.

Kathi serdecznym pocałunkiem pożegnała męża, który ją odprowadził do karety i zalecił stangretowi specyalną ostrożność.

Kathi oparła się wygodnie w karecie, Gucia siedziała naprzeciwko wyprostowana, jak świeca.

Po raz pierwszy od zamążpójścia była Kathi tak z mężem rozłączona, że nie mógł śledzić każdego jej kroku. Odczuwała tę przyjemność z całą świadomością. Doznawała uczucia w surowym rygorze trzymanej pensyonarki, która wyjeżdża na wakacye. Obudziło się też w niej niezwłocznie pragnienie skorzystania z tej słodkiej swobody. Po za gęstą woalką uśmiechała się, rozweselona własnemi myślami.

— Słuchaj, Guciu, — odezwała się, — jak ci się zdaje, czy Fryderyk jest papla?

— Stangreci bywają zazwyczaj dyskretni, ale na-

szego nie znam jeszcze dobrze. Zaleciłabym więc jaśnie pani ostrożność.

— Bo chciałabym zobaczyć się znów raz z Levini. Ale wiesz przecież, że on taki komiczny i nie pozwala. Tymczasem Levini mieszka na tej przeklętej Puttkamerstrasse, gdzie niema sklepu, w którymby można robić zakupy na kolendę. Jeśli tam pojadę, a pan wpadnie na pomysł zapytania Fryderyka, to się zaraz wszystkiego domyśli i będę miała awanturę, rozumiesz?

— Najzupełniej,—odparła Gucia i ze zdumiewającym darem oryentowania się w sytuacyi, niezająknąwszy się ani razu, podała plan następujący:—Proszę pani jeśli pani chce się widzieć z panną Levini, to mogę przecież napisać do niej albo pójść i powiedzieć, żeby jutro popołudniu o oznaczonej godzinie przyszła do mojej matki. Pani będzie miała pewnie jeszcze i jutro sprawunki, a do mojej matki może pani przecież zupełnie spokojnie pojechać. Gdyby pan o tem się dowiedział, uważałby, że to całkiem naturalne, iż pani chce swojej dawnej gospodyni dać jaką drobnostkę na kolendę. A u mojej matki może pani całkiem swobodnie spotykać się z panną Levini... albo z kimkolwiek pani zechce.

Bezwstydna insynuacya, zawarta w ostatnich słowach, nie dotknęła bynajmniej Kathi, choć ją doskonale zrozumiała. Uradowała się wielce sprytem Guci.

— A więc dobrze,—odparła.—Idź wieczorem do Levini i do matki i załatw tę sprawę... na godzinę trzecią jutro po południu.

— Słucham, proszę pani. I to naprawdę do panny Levini.

— No, tak, a do kogóżby innego?—odparła Kathi zniecierpliwiona.—Nie pleć głupstw.

Nakupiła mnóstwo niepotrzebnych rzeczy dla obu pań i cały sklep z zabawkami dla malca. Odmówiła stanowczo pokazania Klaudyuszowi nabytych podarunków.

Następnego dnia popołudniu powtórzyła się ta sama scena. Klaudyusz musiał się znów rozłączyć z Kathi, a ona znów robiła zakupy wespół z Gucią.

W kilka minut po trzeciej, zatrzymała się wykwintna karetka przed domem na Zimmerstrasse, gdzie w oknie znów wisiała karta „Elegancko umeblowany pokój do wynajęcia.“ Gucia, wbrew etykiecie ale na rozkaz swej pani, wysiadła pierwsza. Obejrzała się szybko po ulicy i mówiąc: „Niema nikogo, proszę pani,“ podała rękę, by jej pomódz wysiąść.

Kathi przez chwilę zatrzymała się przed schodami. Widok starego domu sprawiał jej prawdziwą przyjemność. Zdawało jej się tylko, że sień stała się węższa i ciemniejsza i że schody są mniej czysto utrzymywane. Gucia otworzyła znajome drzwi, a Kathi wbiegła wesoło do pokoju i porwała Levini w objęcia.

Przyjaźń Kathi dla Vittorii Levini, zrobiła szczególne postępy od czasu jak się koleżanki rozstały. Levini zdumiona była serdecznością powitania, ale odpowiedziała na nie równie serdecznie.

Na pierwszy rzut oka zdawało się Kathi, że i po-

kój jej uległ zmianie; pani Milcke niezawodnie wyniosła niektóre meble, a wstawiła gorsze. Ale mniejsza o to, i tak było w nim bardzo mile.

Wnet zarzuciła koleżankę pytaniami i zaczęła się paplanina, jakgdyby je kto batem poganiał! A śmiały się do rozpuku! Przyjaciółki bawiły się po królewsku.

— A więc blada Toni się nie podoba? Byłam tego pewna.

— Ona ci też do pięt nie dorosła! Odśpiewuje swoje rzeczy, jak litanię. Niema w tem za grosz ognia, ani szyku!

— Zkądże ona ma go mieć, moja droga? Ja, to co innego!

— Ani porównania! Przyznaje to nawet książe, który zawsze jeszcze pyta o ciebie przy sposobności.

— Niech on się o mnie nie turbuje, za głupi dla mnie! Powiedziałam to już Albersdorffowi. Nie, jak ja się ucieszyłam, gdym go zobaczyła tak niespodzianie na reunionie... I wyobraź sobie, mój mąż był zazdrosny o niego i nie chciał pozwolić, żebyśmy razem jedli kolacyę. Czy to rozumiesz? Jakgdyby przyjaciółka mogła coś podobnego zrobić przyjaciółce!

— Czy on cię często dręczy?

— Tak i nie! Jest najlepszy w świecie, ale nie rozumie co komu może sprawić przyjemność. Kupuje mi wszystko, czego tylko zechcę. Ale ja się nudzę, Tori! Tęsknię znów do jakiej porządnej hecy, a on wcale nie wie co to jest. Ale poczekaj tylko, jak sobie go-

ście pojadą, bo ja będę miała teraz wizytę szwagra i bratowej, ona jest córką prezydenta Ameryki... jak oni pojadą, to sobie urządzimy wesoły wieczór, naśmiejemy się znów raz porządnie! Gucia to mądra dziewczyna i mogę jej zaufać. Ale muszę cię już pożegnać. Zwróciłoby może uwagę stangreta, gdybym za długo siedziała Chcę tylko jeszcze dać pani Milcke drobny upominek.

Levini skorzystała z pomyślnej sposobności, by pożyczyć naprędce od kochanej przyjaciółki 40 marek; miała sprawunek do załatwienia, a w pośpiechu zostawiła portmonetkę w domu. Kathi pojęła w zupełności sytuacyę; zapomnianą portmonetkę Levini znała z dawnych czasów.

Pani Milcke przy pożegnaniu ocierała łzy wdzięczności. Kathi wsiadła do karety a Gucia za nią, z niezamąconą powagą dobrze wyszkolonej sługi.

— I cóż, —rzekł Klaudyusz, któremu czas, co minął dla Kathi z błyskawiczną szybkością, wydał się nieskończenie długim,—skończyłaś już nareszcie swoje tajemnicze zakupy?

— Skończyłam,—odparła Kathi, gdy Gucia zdejmowała jej kapelusz i futro; — tak mi się zdaje przynajmniej.

— Bogu dzięki! A czy znów wzbronione jest zapytać gdzie byłaś?

— Wszędzie... w różnych sklepach. A potem zrobiłam pewnej biednej kobiecie drobną niespodziankę na gwiazdkę. Ale po co ty o to wszystko pytasz!

Gucia przy tych słowach swojej pani, pozwoliła sobie na ucałowanie jej ręki z głębokiem wzruszeniem.

— Już się nie pytam, — odparł Klaudyusz, zbliżywszy się do niej, i pogłaskał jej miękkie czarne włosy.

Dzień był zimny, posępny. Po ulicach, które mróz oczyścił, a które nadto zamiatał ostry, bardzo przykry wiatr wschodni, biegali ludzie, z zaczerwienionemi nosami i załzawionemi oczyma, drobniejszemi niż zwykle krokami, pochyleni naprzód, śpiesząc dokończyć zakupy na Wigilię.

Kathi w niemałem była rozdrażnieniu. Mąż pojechał właśnie na dworzec Hamburski, po brata i jego rodzinę, który miał przybyć o wpół do piątej pociągiem kurjerskim. Na w pół do siódmą obstalowany był obiad, pierwszy, na którym miał być poświęcony wielki serwis z meiseńskiej porcelany, — obiad na pięcioro osób. Kathi chciała także koniecznie zaprosić Leona, a uwaga męża, że pierwszy wspólny obiad powinien się odbyć w kółku ściśle familijnem, pozostała bez skutku. Zatarg tymczasem rozstrzygnął się sam przez się na niekorzyść Kathi, albowiem Leon występował tego wieczora.

Kathi wyszła po raz czwarty do kuchni i po raz czwarty kazała sobie powtórzyć przez czerstwą, otyłą,

zawsze pobłażliwie uśmiechniętą, kucharkę, że może być spokojna i że niczego nie zabraknie. Poczem udała się do gotowalni, gdzie czekała na nią Gucia, i zaczęła się powoli ubierać. Wybrała skromną, bardzo odpowiednią suknię, która była doskonale zrobiona i uwydatniała znakomicie jej kształtną figurę. Oparła się chęci włożenia klejnotów, jakie otrzymała w ślubnym podarunku, i zadowoliła się wiązanką przepysznych świeżych róż, które przypięła do stanika. Takie same wiązanki kazała położyć paniom przy nakryciu na stole. Przeszła jeszcze raz przez pokoje, które nie miały wcale owej sztywności, właściwej świeżo urządzonym apartamentom, i cieszyła się że w nich tak mile i zacisznie, była zadowolona z ich jednostajnej, przyjemnej atmosfery, z ich jednolitego oświetlenia. Stopniowo ogarniał ją coraz większy niepokój, co chwila zbliżała się do okna, by nasłuchywać, czy powozy nie skręciły już z Thiergartenstrasse, jakkolwiek jedno spojrzenie na zegar przekonałoby ją, że to nie było jeszcze wcale możliwe. Na Hildebrandtstrasse panowała zwykła cisza.

Klaudyusz wszedł do sali poczekalnej na pięć minut przed nadejściem pociągu. Swoim zwyczajem nie rozejrzał się i ztąd też nie zauważył, że smukła, wysoka młoda dziewczyna uderzającej urody, o szlachetnym profilu, żywych rumieńcach, wielkich piwnych oczach i jasnych blond włosach z popielatym odcieniem, od chwili, gdy wszedł, nie odwracała od niego wzroku. Skoro Klaudyusz stanął przed oszklonemi drzwiami i zaczął chuchać w pokryte szronem szyby,

aby sobie zrobić otwór, przez który mógłby patrzyć na peron,—młoda dziewczyna wstała i podeszła ku niemu.

— Pan Klaudyusz Bewer?

— Do usług pani,—odparł Klaudyusz nieco zdziwiony, uchylając kapelusza.

— Bella White,—rzekła młoda dziewczyna i podała uprzejmie bratu swego szwagra rękę. — Możesz teraz odejść, — zwróciła się do towarzyszki. — Mam opiekę... Wzięłam z sobą pokojówkę z hotelu, — objaśniła Klaudyusza, zdumionego pięknością swej nowej krewnej.—Poznałam pana od pierwszego rzutu oka po podobieństwie do brata.

Zdążyli zamienić z sobą kilka banalnych wyrazów, gdy otworzono szklanne drzwi. Pociąg wjechał, koła zaskrzypiały pod hamulcem, lokomotywa, dysząc, wyrzucała ostatnie kłęby pary. — jeszcze jedno silne szarpnięcie i wagony stanęły.

Wilhelm wysiadł zwolna i obejrzał się dokoła. Był w istocie bardzo podobny do Klaudyusza. Równie wysoki i równie kwadratowy. Tylko brodę miał ciemniejszą i krótszą. Oboje czekający spostrzegli go niezwłocznie i pośpieszyli ku wagonowi. Bella poskoczyła naprzód, uścisnęła szwagra z pośpiechem i weszła do przedziału, by módz dowoli a z całą swobodą ucałować siostrę, Ellen, i malca, który był, według niej, cudowny. Mężczyźni ucałowali się również, ściskali się mocno za ręce, niemówiąc słowa, i przyglądali się sobie wzajemnie. Obaj byli zdumieni, że się tak zmienili i tacy stali do siebie podobni. Siostry trzymały się jeszcze ciągle w objęciach i mówiły jedna drugiej, że bardzo wyładniały i doskonale wyglądają.

— A teraz chodźcie, dzieci! Ellen, to Klaudyusz! —odezwał się wreszcie Wilhelm.

Ellen nie dorównywała w urodzie Belli, była wszakże bardzo ładna. Twarz jej, niesłychanie sympatyczna, nacechowana wyrazem serdeczności, ujmowała odrazu. Była niższa od Belli i pełniejsza; wyglądała nieco starzej nad swój wiek, na jakie lat dwadzieścia pięć lub dwadzieścia sześć.

Ellen podała z całą swobodą szwagrowi czoło do pocałunku, wyrażając jednocześnie radość z podobieństwa braci. Komiczny a śliczny zarazem przedstawiała widok Murzynka, wysiadająca z dzieckiem z wagonu. Sittah miała cerę ciemno-brunatną, prawie czarną; dokoła kręconych włosów owiązała ponsową chustkę. Wszystko w niej błyszczało: ciemna skóra, żywe oko, przepyszne zęby. A do tej lśniącej czarnej twarzy, tuliła się cudna główka jasnowłosego malca, całkiem biało ubranego. Istny obrazek rodzajowy.

Po odebraniu pakunków Ellen, Klaudyusz i Sittah z dzieckiem wsiedli do wielkiego powozu hotelowego, Wilhelm z Bellą zaś do karety Klaudyusza i całe towarzystwo pojechało do hotelu „Royal."

Panie udały się do swoich pokojów, by zmienić tualety na obiad. Klaudyusz dotrzymywał bratu towarzystwa przy przebieraniu.

— Opowiedzno mi przedewszystkiem o twojej żonie,—rzekł Klaudyusz, — łatwo sobie wyobrazisz jacy jej jesteśmy ciekawi.

— Zobaczysz ją przecież i poznasz.

— Na fotografii śliczna, wygląda jak figurka z serwantki, której niemożna dotykać bez rękawiczek.

Pamiętaj, żebyś się z nią dobrze obchodził! Ale jesteś zakochany? W takim razie nietrudno ci to przyjdzie. A często się też kłócicie? — spytał Wilhelm bez szczególnej intonacyi, szukając spinki od kołnierzyka, którą, jak zwykle, zarzucił.

— Czy się kłócimy? — powtórzył Klaudyusz. — Zkąd ci przyszła taka myśl?

— Bez żadnego specyalnego powodu. Chciałbym tylko stwierdzić czy to właściwość rodziny Bewerów, że nasze małżeństwa zaczynają się burzami, po których niebawem następuje blask słoneczny.

— To i u ciebie tak było?—zapytał Klaudyusz zaciekawiony.

— Naturalnie. W ciągu pierwszych trzech tygodni kłóciliśmy się częściej niż podczas następnych trzech lat... Bogu dzięki!—zawołał Wilhelm, znalazłszy nareszcie spinkę.

— Bogu dzięki!—szepnął też Klaudyusz.

— Jesteś wprawdzie starszym odemnie latami, ale w małżeństwie prawa starszeństwa mnie przysługują i mogę ci powiedzieć z własnego doświadczenia, że każdy mąż podczas miodowego miesiąca jest szaleńcem! Wogóle niema większego kłamstwa nad to apoteozowanie miodowego miesiąca. Kobiety są bardziej rozdrażnione i kapryśniejsze niż kiedykolwiek, a mężczyzni chcą imponować wielką mądrością, uczyć, dyrygować. I ztąd wynika, że raz zadraśnie się miłość własną, to znów pada nierozważne słowo, płyną nawet łzy i człowiek przestaje rozumieć siebie i innych i zdaje mu się na seryo, że straci szczęście całego życia, jeśli go jeszcze nie utracił. Znam ja to, Klaudyuszu!

A gdybyś przypadkiem nie przebył jeszcze tego przesilenia, nie niepokój się, mój chłopcze. To widocznie nieodłączne od małżenstwa, jak od kuracyi Maryenbadzkiej zawroty głowy, o których nam zawsze stary opowiadał.

— I jesteś teraz zupełnie szczęśliwy? — spytał Klaudyusz.

Wilhelm, który, ubierając się, chodził ciągle wolnym krokiem po pokoju, zatrzymał się przed bratem i rzekł poważnym głosem:

— Zupełnie szczęśliwy, Klaudyuszu! Szczęśliwszym być niemożna! A umiem to ocenić. Mam najlepszą i najszlachetniejszą kobietę, jaka istnieje. Dusza to wzniosła, czysta, umysł jasny, serce gorące. Powtórzę ci to, coś ty mi przed chwilą powiedział: poznasz ją przecież. Bo nie jest skryta, jakkolwiek nie wpada jej do głowy popisywać się. Skromna jest i dobra. Zrozumiesz więc, że stała mi się najukochańszą i najwierniejszą towarzyszką. Rozumiemy się na pierwszy rzut oka, rozumiemy się nawet, niepatrząc na siebie. Łączy nas ścisła i prawdziwa wspólność myśli pomimo pewnych różnic. Stoimy bowiem na jednym poziomie. Ona pojmuje to co mnie porusza, myśli i czuje razem ze mną. A jakkolwiek często mamy odmienne zdanie, jesteśmy zawsze jednem sercem i jedną duszą.

— Szczęśliwyś ty, mój drogi,—rzekł Klaudyusz.

Nawpół żartobliwy wykład Wilhelma o miodowym miesiącu, przyniósł mu wielką ulgę. Mimowoli stosował każde słowo do swego stosunku z Kathi i wyciągał pomyślne wnioski. Gdy wszakże Wilhelm zaczął wyliczać zalety Ellen z zapałem kochanka

i przekonaniem męża, wówczas ogarnął Klaudyusza głęboki smutek. Ponownie nasunęło mu się porównanie z Kathi, ale tym razem po to jedynie, by go dręczyć. Nie mógł ukryć przed sobą, iż żona jego nie posiada żadnej z tych zalet, które Wilhelm w Ellen zachwalał, a które były dla obojga podstawą szczęścia małżeńskiego. Gdy myślał o Kathi i zapytywał siebie czem jego serce zdobyła, nie mógł znaleźć innej odpowiedzi, tylko, że oczarowała go wdziękiem postaci, melodyjnym głosem, urokiem odrębnego dyalektu. O szlachetności, głębi i czystości jej duszy nie myślał przytem. Jeszcze mniej myślał o równości umysłowego i moralnego poziomu, która oczywiście nie istniała. I właśnie o tem musiał mówić Wilhelm z takim zapałem! Właśnie to, czego on, — Klaudyusz,— nie chciał nigdy dotykać, musiał, nieświadomy niczego, brat wysławiać jako jedyną rękojmię trwałości harmonijnego pożycia!

— Przyjemnie by mi było,—rzekł Klaudyusz po chwili milczenia,—gdyby się nasze żony zaprzyjaźniły.

— Nie będzie to trudnem, Ellen ma już dla twojej Kathi prawdziwą sympatyę.

— Ale Kathi to bardzo odrębna natura; nie jest wprawdzie skryta, ale też niełatwo dostępna. Bystra, rozsądna, lecz trochę niezręczna w wyrażaniu uczuć.

— To nic nie szkodzi. Młode mężatki potrafią porozumieć się łatwo i szybko jak zechcą. A ponieważ twoja Kathi jest młodsza i ładniejsza, przeto Ellen nie będzie jej niemiłą; gdy zaś raz się zaprzyjaźnią, pozostaną przyjaciółkami. A gdyby pani Kathi miała być kiedy niegrzeczna, Ellen wypali jej porządną perorę

i będziemy sobie cudownie żyli we czworo... z Bellą na dodatek! Tam do licha, jak ta dziewczyna wypiękniała!

Wilhelm zastukał pięścią w drzwi i zawołał podniesionym głosem:

— Czyś gotowa, Ellen?

— Gotowa, — odpowiedziano z sąsiedniego pokoju.

— A Bella?

— Czeka już w salonie.

— Jeszcze jedna zaleta mojej żony,— rzekł Wilhelm do Klaudyusza,—o której poprzednio zapomniałem. Jest punktualna. Nie potrzebuję nigdy na nią czekać. Ale to nie przymiot wrodzony, to wynik mojego wychowania.

Ellen i obaj mężczyzni weszli prawie jednocześnie do salonu, gdzie Bella bawiła się z jasnowłosym malcem. Sittah stała obok śmiejąc się i ukazując lśniące zęby.

Gdy Kathi usłyszała odgłos powozów, zatrzymujących się przed domom, serce jej zabiło mocniej. Spojrzała jeszcze raz szybko w lustro, wyprostowała się i obciągnęła stanik.

Powitanie było ciepłe, serdeczne. Ellen uznała, że mała bratowa stokroć piękniejsza w rzeczywistości, niż na fotografii, i była nią zachwycona, a Kathi z przyjemnością spostrzegła, że Amerykanka, pomimo młodych lat, ma pewną skłonność do tycia. Bella wszakże, jaśniejąca urodą i wdziękiem pierwszej młodości, mniej jej się podobała.

Kathi siedziała przy stole między Wilhelmem, który ją prowadził, a Ellen, którą znów prowadził Klaudyusz. Bella zaś zajęła miejsce między nim a Wilhelmem.

Rozmowa była bardzo ożywiona. Bo też mieli sobie niemało do powiedzenia, po takiem długiem rozłączeniu; wszak siostry nie widziały się trzy lata, a bracia aż lat jedenaście! Co chwila przenosili się, z San Francisco do Bremy i z Drezna na Sumatrę, omijając lata całe i znów do nich wracając. Wszystkie cztery

osoby, głównie prowadzące rozmowę, pragnęły jednakowo wciągnąć do niej Kathi, lecz usiłowania ich spełzły na niczem. Ellen daremnie poruszała najrozmaitsze temata, o których przypuszczała, że mogą zainteresować młodą mężatkę,—nic nie znalazło oddźwięku w duszy Kathi. Odpowiedziała zawsze parę słów niewątpliwie rozsądnych, ale niemogących bynajmniej podtrzymać rozmowy. Ellen mówiła jej komplementy z powodu gustownego urządzenia mieszkania, które wszak zawsze jest mniej więcej dziełem pani domu; opowiadała o ekstrawagancyi mód amerykańskich i chwaliła skromną elegancyę stroju Kathi; dopytywała czy ona, jako Wiedenka, wżyła się już w stosunki berlińskie i czy różnica między południem a północą w Niemczech jest równie znaczną jak u nich, w Ameryce. Niebędąc bardzo muzykalną, uważała sobie Ellen nawet za obowiązek udawać zainteresowanie się dla muzyki. Pytała, jakiego też uczucia doznaje śpiewaczka, gdy staje przed publicznością i czy Kathi nie obawia się, żeby jej kiedy nie ogarnęła tęsknota za sceną.

Kathi ani razu nie pozostała dłużną w odpowiedzi, nie była niegrzeczną, ani zmieszaną, tylko poprostu nie obchodziło jej to wszystko. Oni we czworo wyciągali ramiona, by ją objąć, ale ona nie mogła znaleźć do nich drogi i stała odosobniona.

Ellen wytłómaczyła sobie zachowanie się ładnej bratowej w najprzyjaźniejszy sposób. Młoda mężatka poraz pierwszy przyjmowała u siebie gości, i to troje całkiem obcych ludzi, którzy mieli pretensye do poufałego z nią stosunku, jakby z dawną znajomą. Była

niewątpliwie zajęta gospodarskiemi sprawami. Zakłopotanie jej było takie zrozumiałe! Ellen spoglądała na Kathi jeszcze serdeczniej, z pewnem współczuciem i czuła się w obowiązku przyjścia jej z pomocą. Z upodobaniem używała takich zwrotów, jak: „my kobiety“ i „wy mężczyzni“ i końcowem pytaniem: „Nie prawda, Kathi?“ domagała się od niej potakiwania wygłoszonych zapatrywań.

Kathi czuła dobrze, iż Ellen jest dla niej życzliwie usposobioną i bratowa, która ją już przejęła mimowolnym szacunkiem, jaki nakazuje wykształcenie nieuctwu,—stała jej się przez to jeszcze sympatyczniejszą. Było to doprawdy bardzo grzecznie ze strony tej damy, że zadawała sobie tyle trudu. Ale po co ta dama zadawała sobie tyle trudu? Kathi byłoby najprzyjemniej, gdyby ją zostawiono w spokoju. Poco to gadanie o rzeczach, które, albo rozumiały się same przez się, albo też których ona zupełnie nie rozumiała? Rozmawiali ciągle we czworo i bawili się widocznie i śmieli, choć przecież nie było z czego się śmiać. Kathi odczuła wyraźnie, że ci ludzie to nie jej towarzystwo, że między nimi a nią stoi coś, co ich rozłącza a co się usunąć nie da. Nie wiedziała tylko co? Było ich razem pięcioro przy stole. Kathi uśmiechnęła się i powiedziała sobie bez gniewu: piąte koło u wozu!

Piękna Bella była jej wprost antypatyczną. Poco ona wogóle przyszła? Dlaczego ciągle patrzy tylko na Klaudyusza i rozmawia z nim całkiem bez ceremonii, jakgdyby wcale nie był żonaty? Jakiem prawem ta Bella śmieje się tak swobodnie wraz z innymi? Dlatego, że była przez trzy lata w instytucie, i że się tam kształciła? Wielka rzecz! Znamy się na takiem wy-

kształceniu! To wcale niewypada, żeby takie młode pisklę, co zaledwie w pierze porosło, rej wodziło, kiedy są i mężatki, które zachowują się spokojnie.

Obiad się skończył. Wszyscy odczuli, że byłto poniekąd kwartet z jednym słuchaczem, ale wszyscy mieli ten takt, że nie robili żadnych w tym względzie uwag i utrzymywali fikcyę równego współudziału w rozmowie pięciorga obecnych osób. Nikt nie odczuł głębiej, iż złudzenie to było umyślnem, niż Klaudyusz. Panie powinszowały Kathi tego pierwszego debiutu w charakterze gospodyni, uwieńczonego zupełnem powodzeniem. Ellen otoczyła ramieniem kształtną figurkę bratowej i mówiąc: „A teraz my, mężatki, porozmawiamy ze sobą rozsądnie,“ uprowadziła ją do sąsiadującego z salonem buduaru, jakby stworzonego do poufnej gawędki.

Klaudyusz, Wilhelm i Bella usiedli w kąciku w salonie, gdzie im podano kawę. Panowie zapalili cygara.

Bella dopytywała Wilhelma a tysiące rzeczy, o które dotąd nie miała sposobności dowiedzieć się; czy ojciec codziennie jeszcze kłóci się z panem Jeffersonem przy kartach; jak daleko stoi dom, który sobie Wilhelm przez ten czas wybudował, od domu rodziców; jak wygląda mąż jej przyjaciółki, Harriet, i t. p. W zamian za to opowiedziała, na pytanie Wilhelma, jak jej się powodziło w Dreznie, jakie tam znalazła przyjaciółki; że bez zarozumiałości powiedzieć może, iż zrobiła duże postępy w malowaniu, skopiowała nawet w galeryi dwie niderlandzkie martwe natury, które dyrektor Hübner bardzo pochwalił.

Klaudyusz słuchał tego wszystkiego z zajęciem, jakkolwiek nie dotyczyło go to wcale osobiście. Brał udział w rozmowie, zrobił nawet kilka dowcipów, które w Belli zwłaszcza znalazły bardzo wdzięczną słuchaczkę. Czem się to stało, że jemu, który wobec ukochanej żony swojej był taki milczący, w tem towarzystwie język się rozwiązał? Nie mógł w siebie wmawiać, że pobudzał go brat, z którym łączyły go wspólne wspomnienia i uczucia. Przeciwnie, rozmawiał prawie wyłącznie tylko z Bellą. A przecież ta Bella była dlań właściwie całkiem obcą. Miała osiemnaście lat mniej, niż on, uważał ją za dziecko niemal. Była z innego kraju, należała do innej rasy. Nie czuł dla niej nic, coby mogło mieć najodleglejszy związek z miłością. Nie był wprawdzie ślepym na urodę młodej dziewczyny, ale ta jej piękność nie wywołała w nim najlżejszego nawet podniecenia zmysłów. Budziła w nim podziw, patrzył na nią z upodobaniem. Była mu sympatyczną, nic więcej.

Czemże się to więc działo, że mógł z tą młodą dziewczyną gawędzić z całą swobodą, wesoło i że mimowoli porównywał ją ciągle w duchu z Kathi i musiał sobie przyznać, że ta kobieta, którą tak gorąco kochał, wobec tej dziewczyny, której nie kochał wcale, nawet w jego mniemaniu niewdzięczną grała rolę? że ta dziewczyna była mu bliższą, niż tamta kobieta?

Czem się to stać mogło?.. Ależ bo Bella należała do wtajemniczonych, którzy rozumieją tajemnicze znaki moralności i wykształcenia. Dla Kathi zaś były to tylko niemające znaczenia ruchy.

Te przykre myśli powracały ciągle, dręcząc Klaudyusza, choć je rozpraszało jasne spojrzenie piwnych oczu Belli. Jak swobodnie ta piękna dziewczyna na świat spoglądała, z jaką dziecięcą śmiałością i z jaką dziewiczością! A jaki on się czuł pewny i spokojny w towarzystwie tej żartującej wesoło panny, — on, który w towarzystwie Kathi obawiał się zawsze, by go nie przeraziła jakiemś nieodpowiedniem wyrażeniem, wyzywającem spojrzeniem lub ruchem nieprzystojnym.

Klaudyusz nagle spoważniał bardzo.

— Boże wielki!—rzekł sobie w duchu,—czyżbym się w istocie miał omylić!

Wielkie krople potu wystąpiły mu na czoło, wstał z pośpiechem. Nie chciał już patrzeć na Bellę, która mu było przecież obojętną, a która tylko wprowadzała w zamęt jego uczucia dla Kathi. Tak, Kathi podrzędną odegrała rolę przy obiedzie, prawda. Ale, jakże można też było od niej wymagać, żeby zaraz utrafiła w ton właściwy? Wszak wiedział dobrze, iż dotychczas nie miała sposobności przyswojenia sobie obejścia towarzyskiego. Wszak nie wziął jej z pensyonatu drezdeńskiego. Miała za to inne zalety, któremi mogła się popisywać,—inne...

Jakie?

No, była naprzykład bardzo muzykalna. Dlaczegóżby miała swoje światło chować pod korzec? Klaudyusz uczuł potrzebę podniesienia Kathi w oczach krewnych i przekonania ich, że ta mała apatyczna kobieta ma większą wartość, niżby nieświadomi mogli przypuszczać.

Stanął we drzwiach buduaru. Widocznie przyszedł paniom bardzo w porę; podniosły się obie ze skwapliwością pasażerów, wzywanych z sali poczekalnej przez portyera, by wsiadali do pociągu kurjerskiego.

— Czy chcesz mi zrobić przyjemność, Kathi? To zaśpiewaj nam co, proszę.

— Nie chce mi się teraz,—odparła Kathi.

— Ależ dlaczego?—spytał Klaudyusz powoli, zdumiony nieco.

— Bo mi się nie chce.

Nastąpiło przykre milczenie.

— Przecież można być czasem w takiem usposobieniu, że się nie chce,—dodała Kathi, czując, iż musi jeszcze coś powiedzieć.

— Szwagrze, nie męczże swojej biednej żony,—wtrąciła Ellen. — My kobiety chcemy często lub nie chcemy czegoś bez podania powodów, a zawsze mamy słuszność. Kathi zaśpiewa nam kiedyindziej. Nie prawda Kathi?

— Nie powiem już ani słówka,—odparł Klaudyusz, siląc się na ton żartobliwy,—inaczej przyłączy się jeszcze i panna Bella, a walki z trzema kobietami wyrzekam się z góry. Pragnąłem tylko usłyszeć trochę muzyi, jakąś pieśń ludową, a Kathi śpiewa właśnie pieśni austryackie, według mnie, prześlicznie.

— Nie śpiewam wprawdzie, a przynajmniej nie śpiewam przed nikim,—odezwała się Bella, — ale jeśli pan chętnie słucha muzyki, i zamiast głosu zadowoli się fortepianem, a zamiast pieśni austryackiej murzyńską, służę chętnie.

Klaudyusz podziękował skwapliwie, otworzył fortepian i podprowadził doń Bellę. Zaraz po pierwszych akordach i pasażach poznał, że Bella jest bardzo utalentowaną i znakomicie wykształconą dyletantką; a gdy wyraził zdumienie z powodu biegłości i smaku jej gry, odparła wesoło:

— Byłoby źle, gdyby było inaczej. Jak się przez trzy lata uczęszcza do konserwatoryum i pilnie pracuje, to się człowiek musi przecież czegoś nauczyć.

Preludyowała umiejętnie dalej i niebawem w kontrapunktowej osłonie zaczęły się zapowiadać pierwsze motywy jednej z charakterystycznych melodyi murzyńskich. Ellen i Wilhelm, którym melodya ta dobrze była znana, stanęli obok Belli i kołysali głową do taktu, wtórując zcicha grze nuceniem. Klaudyusz stał wprost młodej dziewczyny, za fortepianem, na którym oparł się rękoma. Kathi siedziała z boku.

Bella grała pieśń murzyńską znakomicie, z wielkiem poczuciem rytmu, w prostym, niewyszukanym układzie, akcentując dobitnie oryginalną melodyę. Ellen i Wilhelm stopniowo śpiewali coraz głośniej, a nawet z pewną mimiką. Widocznie więcej wartości przywiązywali do wyraźnej dykcyi niż do samego śpiewu. Gdy przerywali, Bella podpowiadała im, a gdy przestali na dobre, zaśpiewała czystym, niewykształconym ale dosyć miłym głosem całą strofkę. Klaudyuszowi sprawiało to muzyczne *intermezzo* widoczną przyjemność, a Bella grała dalej, niedając się prosić, to rzeczy poważne, to wesołe i zakończyła różnemi wyjątkami z walców Straussowskich, które odegrała z taką werwą, że nawet Kathi, bardzo niechętnem patrząca

okiem na ten popis młodej dziewczyny, porwana została upajającemi melodyami; nogi jej drgały, i mimowoli uderzała obcasem do taktu w dywan.

W ten sposób, całkiem wbrew woli Klaudyusza, który chciał osłabić wrażenie pięknej i miłej dziewczyny, a natomiast, zrozumiałą próżnością męża kierowany, usiłował postawić żonę na wyższym piedestale, ukazać ją w innem oświetleniu, jako oryginalną naturę, — stało się, że Bella, niestarając się wcale o to, była ogniskiem towarzystwa, gdy Kathi, bynajmniej nie różowo usposobiona, siedziała z boku samotna.

Bardzo jej było tedy na rękę, że goście nareszcie zabrali się do odejścia.

Kathi, żegnając się rzekła do szwagra i Ellen uprzejmie: „Do widzenia, jutro," gdy wszakże podała rękę Belli, niezdolna była pozbyć się chmurnego, niedobrego wyrazu twarzy. Bella zaś była taka pełna prostoty i taka niepodejrzliwa, że nie zwróciła nawet na to uwagi.

Skoro młode małżeństwo zostało sam na sam, minęło sporo czasu, zanim które z nich przemówiło. Kathi usiadła znów na ukrytym w rogu fotelu, na którym siedziała podczas gry Belli. Klaudyusz, zatopiony w myślach, chodził wolno po pokoju. Lokaj zgasił świece i wyniósł serwis do kawy.

— Czy cię takie rzeczy bawią? — spytała wreszcie Kathi,—nieusiłując nawet ukryć ziewania.

— Cieszę się szczerze, żem widział brata po tak długiem rozłączeniu i że poznałem jego rodzinę. Jeśli ty tego nie odczuwasz, proszę cię uprzejmie nie rób ża-

dnych uwag. Dotknęłoby mnie to przykro, może zmartwiło.

— Dlaczegóżbym miała robić uwagi? — odparła Kathi znudzonym tonem. — Twój brat podoba mi się bardzo, a twoja bratowa jest dobra i miła. Ale z tem przemądrzałem stworzeniem, z tą Bellą, daj mi pokój! Tej toby wcale nie zaszkodziło, żeby ją jeszcze na parę lat odesłali na pensyę, i tam ją nauczyli jak się ma zachować.

— Proszę cię, Kathi...

— Naturalnie, że ty staniesz po jej stronie. Przecież ona już po uszy w tobie zadurzona, a to każdemu mężczyznie sprawia przyjemność...

— Kathi! — zawołał Klaudyusz silnie podrażniony.

— Czy będziesz krzyczał, czy nie będziesz, to rzeczy nie zmieni, a com widziała tom widziała. To niewypada, żeby młoda dziewczyna w taki sposób patrzyła na żonatego mężczyznę! Nie chcę tego znosić! Nie pozwolę na to w moim domu!

Klaudyusz narazie oniemiał. Stanął przed Kathi i oddychał ciężko.

— Nie wiesz co mówisz,—rzekł nakoniec, — ale to źle, że nie wiesz!

— Wiem bardzo dobrze! Nie jestem w ogóle taka głupia, jak wam się wszystkim zdaje! I ta Bella niech nie myśli, żem ja głupia! Jeżeli jutro spróbuje powtórzyć swoje figle, wezmę ją na stronę i powiem jej moje zdanie krótko i węzłowato!

— Milcz!—krzyknął Klaudyusz.

Kathi spojrzała na niego zdumiona i cofnęła się z przestrachem, gdy ujrzała przed sobą wielkiego mężczyznę drżącego, z zaczerwienioną twarzą i roziskrzonemi oczyma.

— No?—rzekła z przymusem,—co to znaczy?

— Nic nie powiesz, — ciągnął Klaudyusz dalej spokojniejszym tonem, — bo ja się już postaram o to, żeby się takie potworne nieporozumienia nie powtórzyły.

Odwrócił się i zaczął znów chodzić po pokoju. Kathi nie poruszyła się. Pierwszy to raz Klaudyusz się uniósł, prawie rozgniewał. Ukradkiem, nieśmiało spojrzała kilkakrotnie na niego, gdy, chodząc po pokoju, odwracał się do niej plecami, i wielka, silna postać przejmowała ją poniekąd strachem. Teraz niepokoiło ją i gnębiło jego milczenie, i szukała wyrazu, którymby mogła przerwać tę złowrogą ciszę.

Ale niedorzeczna jest, że się przykremi myślami dręczy! O cóż się Klaudyusz tak rozgniewał? Tylko o to, że miała dobre oczy. Co jej za niewola pozwalać na to, żeby jakaś obca Amerykanka wobec niej, w jej domu, kokietowała jej męża! Cała słuszność była po jej stronie. A więc, upór na upór! Zobaczymy!

Podniosła się i zwróciła ku drzwiom.

— Dokąd idziesz?—spytał Klaudyusz bardzo spokojnie.

— Chcę się położyć. Straciłam apetyt do kolacyi.

— Proszę cię zostań. Muszę z tobą pomówić.

— Żebyś znów na mnie krzyczał?

— Będę bardzo spokojny.

— A więc mów! Nie wmówisz we mnie jednak, że białe jest czarnem a czarne białem; a com widziała, tom widziała, obstaję przy swojem.

— Nie chcę nic w ciebie wmawiać, ani ci nic perswadować. Chcę się z tobą naradzić. Zauważyłem, że czujesz się nieswoją śród mojej rodziny, a przed chwilą potwierdziłaś sama to moje spostrzeżenie. Nie potrafisz panować nad sobą, a przy twojem usposobieniu mogłoby łatwo przyjść do przykrej sceny, której chciałbym za jakąbądź cenę uniknąć. Gdybyś naprzykład powiedziała pannie Belli o twoich nieuzasadnionych podejrzeniach, naturalnym wynikiem tego byłoby zerwanie między nami. Bo jak ja nie mogę odłączyć się od ciebie, tak samo nie może Wilhelm zająć innego stanowiska, niż jego rodzina. Kocham bardzo Wilhelma, a zerwanie z nim byłoby dla mnie bolesne. Nie możesz się zmienić na moje żądanie, ale nie sądzę, żebyś pragnęła sprawić mi głębokie zmartwienie. A więc proszę cię, żebyś się zastosowała do moich rozporządzeń, przedsiebranych jedynie przez wzgląd na ciebie. O wspólnem pożyciu z Wilhelmem, o jakiem marzyłem, niema co myśleć. Nie idzie wszakże za tem, żeby rozłączenie miało być gwałtowne i stałe. Musimy się tak urządzić, żeby nasze stosunki utrzymać, chociaż nie będą poufałe. Wilhelmowi dam do zrozumienia prawdę, że wy, kobiety, nie jesteście sobie sympatyczne i że lepiej dlatego będzie, gdy wymijać się będziemy ostrożnie. On mnie zrozumie i między nami zostanie wszystko po dawnemu. Najpierw jednak musimy się uciec do koniecznego kłamstwa. Napiszę jeszcze dziś wieczór

parę słów do Wilhelma, donosząc mu, że jesteś niezdrowa, że prawdopodobnie będziesz musiała jutro pozostać w łóżku, i że z tego powodu musimy, niestety, wyrzec się przyjemności spędzenia wspólnie wigilijnego wieczoru. To tylko chciałem ci powiedzieć.

— Jak chcesz!—rzekła Kathi i dodała:—Szkoda tych pięknych kupionych rzeczy!—Poczem zauważyła: —Mógłbyś też napisać do Leona Schneider, i poprosić go na jutro wieczór. Dwoje ludzi przed taką dużą choiną... to doprawdy za smutno!

Klaudyusz już się nie dziwił; uśmiechnął się smutnie, z politowaniem.

— Dobrze,—rzekł łagodnie.—Napiszę do Leona.

— I będzie nam we troje bardzo wesoło,—zapewniła Kathi, odzyskując nagle humor,—i ja już nie będę uparta i zaśpiewam ci wszystko, co tylko zechcesz.

— Dobrze, dobrze, moje dziecko,—odparł Klaudyusz.

Miał najszczerszy zamiar być łagodnym, ale wprawne ucho dosłuchałoby się w jego głosie wyrazu niechęci i zniecierpliwienia. Po raz pierwszy tajemniczy urok, jakim go opętała Kathi, nie miał nad nim władzy. Nie próbował wcale jej zatrzymać i nie odczuł jej braku, gdy pozostał sam w salonie.

Lokajowi, który go zapytywał, gdzie chce pić herbatę, bo pani kazała ją sobie do gotowalni przynieść, —odpowiedział, że nie ma apetytu; kazał zapalić lampę w swoim gabinecie, i napisał dwa listy: odmowny do swoich i zapraszający do Leona. Gdy je zapieczętował, rzekł do siebie, uśmiechając się z goryczą:

— A więc do tego już doprowadziła! Ale na mnie samego spada wina!

Chciał wysłać listy niezwłocznie. Gdy wszakże wyczytał na termometrze 12 stopni niżej zera, zdjęła go litość. Było dopiero wpół do dziesiątej. Znosił mróz bez przykrości, miał nadto ciepłe futro, ruch dobrze mu zrobi a powietrze rozproszy z pewnością gnębiące myśli.

— Gdyby pani pytała o mnie, — zalecił lokajowi, który mu podawał futro, — powiedz, że wyszedłem załatwić listy.

Podniósł kołnierz i opuścił dom.

Kathi tymczasem rozbierała się z pomocą Guci i była rozmowniejsza, niż kiedykolwiek. Zdawało jej się, że musi sobie powetować czas stracony.

— Tych Amerykanów pozbyłam się, Bogu dzięki, na jutro. Umarłabym z nudów, gdybym miała spędzić z nimi jeszcze jeden długi wieczór. Bratowa jest jeszcze najprzyjemniejsza. Ale ciągle gada i ciekawa!.. pojęcie przechodzi. Szwagier... o nim niewiele da się powiedzieć. Wiesz, akurat taki jak pan. Ale ta dziewczyna, ta Bella, to sztuczka! Taka prawdziwa lalka z pensyi... rozumiesz przecież? A robi zakochane oczy, jak wytrawna kokietka! Była trzy lata w instytucie, żeby się wykształcić,—dodała ironicznie.—Ta to jeszcze oberwie co kiedy odemnie,—ciągnęła dalej po chwili.—Ładna jest... co prawda to prawda. Ale wie też o tem.

— Ma duże nogi,—odezwała się Gucia.

— Czyż ma duże nogi?.. — spytała Kathi urado-

wana. — Nie zauważyłam tego wcale. Jakżeś ty to zobaczyła, Guciu?

— Przecież wkładałam pannie Belli kalosze. Ma duże nogi.

— I szerokie i płaskie, co? Tak, tak, ona na to wygląda. Dlatego też nosi takie długie suknie. Wiesz co, Guciu, duża, niezgrabna noga wystarcza, by mi najpiękniejszą twarz obrzydzić.

Kathi założyła prawą nogę na lewą, uniosła zlekka szlafrok i przypatrywała się z upodobaniem własnej drobnej stopie, która w zgrabnym pantofelku mniejszą jeszcze się wydawała. Obracała stopą na wszystkie strony i sprawiało jej to prawdziwą radość. Nie zmieniła pozycyi, gdy lokaj wniósł herbatę i powtórzył zlecenie pana.

Zdziwiła się, że Klaudyusz, całkiem wbrew swemu zwyczajowi, wyszedł sam i jeszcze do tego późnym, zimnym wieczorem. Może to była pułapka na nią? Na tę myśl roześmiała się głośno.

— Nas nie złapią tak prędko, co, Guciu?—Z niezamąconą wesołością przypatrywała się w dalszym ciągu drobnej stopie i kazała sobie podać filiżankę.

— Tekę do pisania, — mówiła, umoczywszy usta w herbacie, — ze skóry krokodylowej z ciężkiem srebrnem okuciem... kosztuje majątek i właściwie przeznaczyłam ją dla Klaudyusza, ale teraz dostanie przybory do palenia, które miał dostać Wilhelm, a Wilhelm obejdzie się niczem... Możeby tę tekę dać Leonowi Schneider, co?

Gucia uznała, że zamiana taka byłaby bardzo praktyczną.

— A Bella także nic nie dostanie!—dodała Kathi wesoło.— Musiałabym jej chyba darować parę trzewików według miary... parę bardzo wygodnych trzewików!

Roześmiała się serdecznie z tego pomysłu, a Gucia zawtórowała tej wesołości, w miarę swego stanowiska.

— Wiesz co, od tylu miesięcy już nie paliłam. Pana niema, przynieśno mi z dołu papierosa... albo dwa.

Klaudyusz szedł przez Hildebrandtstrasse. Gdy był już na końcu usłyszał z prawej strony głosy i kroki. Spotkanie z ludźmi było mu w tej chwili nie na rękę. Przeszedł przez ulicę i skręcił w boczną ścieżkę Thiergartenu. Twardy śnieg skrzypiał pod jego krokami. Drzewa skostniały pod lodową powłoką, a gałęzie, poplątane fantastycznie, iskrzyły się w blasku księżyca. Pomimo bardzo dotkliwego zimna, Klaudyusz szedł wolno.

Była to ta sama ścieżka, którą kroczył w ową upalną noc sierpniową i którą od tej pory nie przechodził. I wówczas ciężar duszę mu przytłaczał. Ale wówczas był jeszcze szczęśliwy w porównaniu z dniem dzisiejszym. Ach, owo niejasne przeczucie, które go owej nocy tak przygnębiało, nie zawiodło go! Po co się jeszcze pocieszać pozornemi argumentami? Prawda to, nieubłagana prawda, że jest bardzo nieszczęśliwy i to z własnej winy. Związał swój los z losem kobiety, która nigdy wspólną z nim drogą nie pójdzie. Była nietylko niewykształcona, ale do wykształcenia się niezdolna. Nie rozumiała go i raniła boleśnie całkiem

bezwiednie. Należała do innego gatunku ludzi, który miał inne pojęcia o tem co uczciwe i słuszne, co moralne i co wypada. Że też dopiero teraz przyszedł do tego przekonania,—teraz kiedy już zapóźno!

Byłże szaleńcem? nierozważnem dzieckiem? Czy nie zastanowił się wcale nad ważnym krokiem, jaki wówczas uczynić zamierzał?

O, przeciwnie! Rozważył wszystko dobrze, obmyślił wszystko. Ale, szczególna rzecz, różnica pochodzenia, zasad moralnych i wykształcenia umysłowego najmniej go wtedy obchodziła. „To się wszystko wyrówna," powiedział sobie. „Decydującą w wyborze mężczyzny jest wartość kobiety." Najwięcej troski przyczyniała mu wówczas obawa przed nieznaną przeszłością, o której nawet dotąd nie chciał zasięgnąć dokładnych wiadomości. Dręczyły go jedynie rzucone bezmyślnie słowa Leona: Nie czekała przecież dopóki ty nie przyjedziesz z Sumatry.

Jakże wszystko inaczej się stało, niż myślał! Niepokoiło go już nie to, co się mogło stać przedtem; przygnębiała go nie przeszłość, lecz teraźniejszość, a gdy spoglądał w przyszłość ogarniała go zgroza.

Myślał o Kathi bez gniewu, raczej z politowaniem i bólem... Biedne stworzenie było doprawdy niewinne jego niedoli. A jakkolwiek miała bogate tualety, dom, powóz i konie, i jej los nie był godnym zazdrości. Wyrwał ją ze sfery, w której wzrosła i żyła, śmiała się i bawiła; podnieść jej zaś do swojej sfery nie zdołał. Nigdy nie odczuł tak głęboko i boleśnie przepaści, dzielącej oba te światy. Co to pomogło, że

chciał przemocą stłumić nurtujące go wyznanie, — wyrwało mu się z głębi duszy i zaznaczyło krwawemi śladami największej obelgi na obliczu: On się własnej żony wstydził!

Jak ona nie mogła dostroić się do jego krewnych! Jak jej brakło zupełnie zrozumienia dla rzeczy prostych, zwyczajnych, dla tego co właściwe! Wszak miała oczy i uszy tak samo jak on! Czyż szczera dobroć Ellen i jej gotowość do serdecznego stosunku nie powinna była wzruszyć Kathi? Czyż dziewicza piękność i szlachetna wesołość Belli nie powinna była jej ująć? Czyż nie powinna była zaznać przyjemności w towarzystwie takich zacnych i miłych istot? Tej samej przyjemności, jaką jemu obecność obu sióstr sprawiała? Kathi nie odczuwała nic z tego wszystkiego, zrodziło się w niej tylko niskie spostrzeżenie, które wypowiedziała w naiwno-brutalny sposób.

Klaudyusz westchnął głęboko.

„Wrzuciłem własne szczęście w przepaść. Byłem ślepy, ale ja ją tak kochałem!“

Mróz wycisnął mu z oczu łzy, które spłynęły po policzkach i zlodowaciały w osypanej szronem brodzie.

„Jesteśmy już cztery miesiące po ślubie... dopiero cztery miesiące!..“ Myśli jego przybrały zwrot niespodziany. „Tak, gdyby ona mnie kochała, wówczas wszystko byłoby inaczej! Miłość umoralnia i uczy pojętności. Ale ta biedaczka mnie nie kocha! Wszak wiem o tem oddawna!...“

Skręcił w jedną z głównych alei i śpieszniejszym krokiem dążył do bramy Brandenburskiej. Na placu Pa-

ryskim zaczepiła go dziewczyna, żebrząc płaczliwym głosem, by kupił od niej zapałki. Mogła mieć lat piętnaście; drżała z zimna pod cienką chustką w czarne i czerwone kraty, którą zarzuciła na głowę, a która sięgała jej zaledwie bioder. Żal mu się zrobiło biednego stworzenia. Stanął pod latarnią gazową a ponieważ nie miał w portmonetce srebrnej drobnej monety, rzucił w wyciągniętą zsiniałą dłoń złotą pięciomarkówkę.

Dziewczyna dziękowała tak natrętnie i patrzyła na niego tak wyzywająco, że Klaudyusz odwrócił się z niechęcią. Widział jej twarz tylko w przelocie, ale, idąc dalej, myślał mimowoli o jej wstrętnym wyrazie. Naraz drgnął przerażony,—zdało mu się, że dostrzega pewne podobieństwo tej dziewczyny do Kathi. Siostra Kathi mogłaby tak wyglądać. Ujrzał twarz żony zeszpeconą tym wstrętnym grymasem, który miał jeszcze ciągle przed oczyma. Potarł gwałtownie dłonią czoło, by się pozbyć tej dręczącej halucynacyi. Na szczęście hotel oddalony już był tylko o parę kroków.

Wchodząc, słyszał za sobą wlokący się chód dziewczyny i niezrozumiałe dźwięki, które brzmiały jak błaganie. Nie miał odwagi się obejrzeć.

Odźwierny powiedział mu, że państwo w domu.

Klaudyusz zapukał do drzwi, Wilhelm zawołał: „Proszę!“

Oczom wchodzącego przedstawił się obraz spokoju i najzupełniejszej harmonii. Ellen miała dar nadawania wszędzie swemu otoczeniu piętna swojskości. Nic nie przypominało sztywności hotelowej. W przyjemnie ogrzanym, dwiema dużemi lampami dostatecz-

nie oświetlonym pokoju, przy okrągłym stole, na którym syczał samowar, siedział Wilhelm w domowej kurtce i w pantoflach, oraz obie panie, które również przebrały się i obcisłe tualety obiadowe zamieniły na luźne szlafroki. Wszystko troje siedzieli blisko siebie, Ellen w środku, a Bella z głową opartą na jej ramieniu.

— Hola!—zawołał Wilhelm, zdumiony widokiem Klaudyusza.

— Dziadek z choinką!—żartowała Bella, wyprostowawszy się śpiesznie.

Porównanie było trafne. Wielki mężczyzna na progu, w długiem szarem futrze i czapce futrzanej, z brodą, szronem osypaną, z małemi soplami lodu na wąsach, które pod wpływem ciepłej pokojowej temperatury już się zaczęły okrywać iskrzącemi kroplami rosy, wyglądał istotnie, jak legendowa postać dziadka kolendowego.

Wilhelm wstał i podszedł do brata.

— Witam cię, witam! Cóż cię tu sprowadza? Przecież nic nieprzyjemnego?

— Nic szczególnie nieprzyjemnego. Zaraz ci to opowiem. Pozwól tylko, niech najpierw odtaję.

— Jak chcesz, drogi chłopcze.

Klaudyusz zdjął czapkę i futro. Panie tymczasem zbliżyły się do niego.

Uścisnął je za ręce.

— Napij się pan z nami herbaty dla rozgrzania, —rzekła Ellen.—A może pan...

— Proszę tylko o filiżankę herbaty, nic więcej.

Bella przysunęła krzesło i podała mu filiżankę, którą Ellen już napełniła.

— A więc,—zaczął Klaudyusz z wahaniem,—jużem do was napisał... Miałem sam wrzucić list do skrzynki, ale, zamyślony, szedłem coraz dalej, aż byłem już niedaleko hotelu i powiedziałem sobie, że lepiej będzie zawiadomić was o tem ustnie... A więc.. moja żona jest niezupełnie zdrowa...

Na szczęście twarz jego poczerwieniała od mrozu, tak że nie było widać jakim przy tem kłamstwie oblał się rumieńcem.

— Ale to nic poważnego? — spytała Ellen z istotnem współczuciem.

— Nic poważnego. Będzie jednak musiała może leżeć jutro w łóżku. Zdawało mi się więc, że najlepiej będzie...

Zająknął się i umilkł. Ten wielki zakłopotany mężczyzna litość wzbudzał.

— W takim razie,—odezwała się Ellen,—musisz, kochany szwagrze, przedewszystkiem pomyśleć o tem, żeby żona wyzdrowiała. Przy obecnej pogodzie niema co żartować, a Kathi już dzisiaj przy stole była trochę mizerna. Pewnie się zabardzo umęczyła. Niepodobna od niej wymagać, żeby jutro znów miała taki, a nawet jeszcze większy, zamęt w domu. Będziemy zatem musieli wyrzec się przyjemności spędzenia Wigilii razem. To jeszcze nie nieszczęście, nie jesteśmy sentymentalni, a główna rzecz, żeby śliczna pani Kathi jaknajprędzej wyzdrowiała.

— Naturalnie,—rzekł Wilhelm,—to główna rzecz.

— Właściwie,— ciągnęła dalej Ellen, powodowana więcej chęcią ułatwienia sytuacyi Klaudyuszowi niż potrzebą wynurzenia się, — jeśli mam być szczerą, nie przyszło mi to wcale nie na rękę... z powodu malca; nie chciałabym rozłączyć się z nim jutro, a nie chciałabym też, by na taki mróz wyszedł.

Klaudyusz pił wolno herbatę i, niepodnosząc oczu od filiżanki, rzekł:

— Ha, to w takim razie już razem wieczoru nie spędzimy. Bardzo mi przykro.

Mówił z trudnością i kołysał się ociężale w krześle.

— Przyjdziemy jutro dowiedzieć się, jak się żona pańska miewa,—rzekła Bella.

— Ach, pani łaskawa,—odparł Klaudyusz niepewnym głosem,—proszę, niech się pani nie trudzi! To zbyteczne, doprawdy. Dam znać przez posłańca, albo sam przyjdę powiedzieć.

— Przyjdź sam, mój chłopcze! Rozerwiesz się. Pobawisz się z naszym malcem. To uspokaja i odświeża.

— Dziękuję ci, Wilhelmie. Zdaje mi się, że będę mógł przyjść sam.

Dotąd nie podniósł jeszcze oczu. Wilhelm zamienił z żoną i Bellą przelotne spojrzenie porozumienia i żalu.

— Mógłbyś mi wyświadczyć jeszcze małą przysługę,—dodał Klaudyusz tym samym tonem, kołysząc się ciągle na krześle i oddychając głęboko.—Proszę cię, wyślij ten list przez komisyonera hotelowego dziś wieczór albo jutro wczesnym rankiem.

— Natychmiast,—rzekł Wilhelm.

Chciał wstać, ale Bella go uprzedziła i przycisnęła guzik dzwonka elektrycznego.

— Czy ci co jest, Klaudyuszu?—spytał Wilhelm, kładąc dłoń na kolanie brata.

— Mam lekki ból głowy. Ale to nic.

W tej chwili wszedł kelner, któremu Bella wręczyła z odpowiedniem poleceniem list do Leona.

Klaudyusz stęknął zcicha i wstał.

— Co to, już pan chce odejść? — zawołała Ellen.

— Tak jest. Niech mnie pani nie zatrzymuje. Wolę pójść.

W tonie jego dźwięczał taki smutek, że nikt nie miał odwagi odpowiedzieć słowa. Klaudyusz ciężkim krokiem podszedł do krzesła, na którem położył futro. Wilhelm dopomógł mu je włożyć.

— Doprawdy, lepiej będzie jak pójdę, — powtórzył Klaudyusz.—Tak, lepiej.

Pożegnał wszystkich i wyszedł.

Przez chwilę panowała w pokoju cisza.

— Biedny człowiek!—odezwała się Bella.

— I mnie go żal z całej duszy, — rzekła Ellen.— Cierpi istotnie.

— Dzieci, tylko nie przesadzajcie, — zauważył Wilhelm dobrodusznie.—Być może, iż ten nieborak jest w tej chwili bardzo nieszczęśliwy, ale to minie. Cóż się mogło stać? Scena domowa, a to zawsze gorzej wygląda, niż jest w rzeczywistości. Pani Kathi rozgniewała się pewnie o coś, może o twoją suknię, Ellen, albo o twoją grę, Bello, albo o moje rzadkie włosy, albo wreszcie o zepsuty pasztet, któregośmy nie widzieli

i którego braku nie odczuliśmy. Może też Klaudyusz dał swojej Kathi burę za to, że nie chciała śpiewać... czy ja wiem! Od słowa do słowa przyszło pewnie do sprzeczki, a może Kathi płakała i dostała ataku nerwowego. I to jest to wielkie nieszczęście, pod którem dąb się ugina.

— Nie, Wilhelmie, ja tej sprawy tak lekko nie biorę.

— Mimo to mam nadzieję, że nie jest poważną. A jeśli dobrze oceniam moją małą i milutką bratowę, to cała ta burza prędko minie. Namiętność nie wydaje mi się najwybitniejszą właściwością jej charakteru. Jest na swój wiek niezwykle rozważna i chłodna.

— Powiedziałam ci już poprzednio,—rzekła Ellen,—że Klaudyusz podoba mi się niezmiernie. Kocham go już prawie. To twoja krew. Zdaje mi się, że się już od wielu lat znamy. Ale Kathi zrozumieć nie mogę, a przecież nie należę do najgłupszych. Nie wiem co o niej myśleć. Nie mówi nic niedorzecznego, ani nieprzyzwoitego, nie powtarza niczyjego zdania, ale też nie wydaje o niczem własnego mniemania, któreby ją w dobrem lub złem przedstawiło świetle. Wydaje mi się, jak cudzoziemka, niedobrze rozumiejąca język, w jakim rozmowa jest prowadzona. Nie widać po niej, żeby obcowała z wykształconymi i inteligientnymi ludźmi, żeby czytała rozsądne książki. Nie chciałam badać tego bliżej, bo nie mam prawa brać jej na egzamin. Ale podejrzewam ją, — dodała ciszej i z pewnem wahaniem, — że nie ma żadnego wykształcenia. W takim razie podziwiałabym jej wrodzony takt i rozum, i stałaby się dla mnie przez to może jeszcze sympatyczniej-

szą, bo wyznaję, że śliczną twarzyczką chwyciła mnie za serce, lubię ją... ale Klaudyusza... biednego Klaudyusza byłoby mi bardzo żal.

— Także mi wielkie nieszczęście! Gdyby rzeczy tak się miały w istocie, — rzekł Wilhelm, rozpierając się wygodnie na krześle, — byłoby to nieprzyjemnie, bardzo nieprzyjemnie, przyznaję. Ale nie byłoby jeszcze nieszczęścia. Jakgdyby wykształcenie stanowiło wszystko. Najpierw chodzi przecież o charakter, o naturę.

— Ty tego nie rozumiesz,—mówisz jak teoretyk. —Ale bo też masz wykształconą żonę, odparła Ellen.

— Bello,—rzekł Wilhelm żartobliwie,—złóż twojej siostrze najpiękniejszy ukłon, jakiegoś się nauczyła w Dreznie.

— Mówię zupełnie seryo. Mamy między naszymi najbliższymi krewnymi taki przykład przed oczyma: brat ojca, stryj John. Ożenił się z kobietą, która stała o wiele niżej od niego. Chciał ją podnieść do siebie, a spadł do niej, pociągnięty ciężarem nieuctwa, niczem więcej, bo była kobietą uczciwą, godną szacunku; chciał ją wprowadzić do towarzystwa, a ona go z niego wypędziła. Stryj John zmarnował się, skutkiem tego małżeństwa. Wykształcenie, to z pewnością nie wszystko, ale to bardzo wiele. Gdybyśmy naszego malca nie byli nauczyli chodzić, zdrowe jego nóżęta na nicby mu się nie przydały, byłyby mu tylko ciężarem, który musiałby dźwigać; a natura niewykształcona potrafi jedynie czołgać się po ziemi. Wiem, że to obraz niebardzo dokładny, ale ty mnie już zrozumiesz. Nie wymagam uczonych kobiet. Nie potrzeba także, żeby, jak Bel-

la, przechodziły kurs trzyletni, chociaż to nie zawadzi; ale równość pewna być musi. Żona wykształconego człowieka, jeśli chce się z nim zespolić, być mu podnietą i zachętą, musi pochodzić z tej samej, albo chociaż podobnej sfery wykształcenia, trzeba żeby już jako dziecko nieświadomie wchłaniała w siebie zarodki, z których rozwija się wszystko: wiara, moralność, miłość, przyjaźń, wierność... słowem wszystko co wzniosłe i godziwe. Zewnętrzne stanowisko jest oczywiście wobec tego rzeczą podrzędną; czy ono wysokie czy niskie, według pojęć w społeczeństwie urobionych, to całkiem obojętne. Znam milionerów, pozostających po za linią graniczną, której przekroczyć nie są w stanie, i dzieci nędzarzy, zgłodniałych wyrobników, przekraczających ją z łatwością. Para, z której jedno pochodzi z tej strony owej linii, a drugie z tamtej, to jedyny prawdziwy mezalians! A gdy ów milioner poślubia córkę tego wyrobnika, ona to zawiera niestosowne małżeństwo.

— Mówisz, jak z książki!—rzekł Wilhelm uśmiechając się. Poklepał ją po twarzy i dodał: — Nie potrzebuję ci dopiero mówić, żeś mnie wcale a wcale nie przekonała. Ale, dzieci, teraz pójdziemy spać. Jechaliśmy pięć godzin, jedliśmy obiad przez dwie godziny, koncertowaliśmy przez godzinę, Ellen wygłosiła nam na dodatek budujące kazanie... zaczynam być zmęczony.

Bella, od odejścia Klaudyusza, oprócz owych kilku słów wyrażających współczucie, nic już nie powiedziała i słuchała, pogrążona w zadumie. Podniosła się w milczeniu, ucałowała siostrę, podała szwagrowi czoło do pocałunku, i, powiedziawszy dobranoc, wyszła.

Odprawiła służącą, która czekała w jej pokoju, i zaczęła się wolno rozbierać. Rozpuściła przepyszne jasne włosy i czesała je długo, o wiele dłużej niż zwykle, o wiele dłużej niż było potrzeba. Robiła to, jak automat, jakby bezwiednie. Myśli jej zaprzątało coś innego. Miała nieustannie przed oczyma obraz wielkiego, jasnowłosego mężczyzny, który, ciężko strapiony, kołysał się w krześle. Zamknęła oczy, jakgdyby nie chciała go już widzieć, albo też pragnęła widzieć lepiej; i słodki uśmiech rozchylił jej usta, ukazując śliczne białe zęby. Pierś jej falowała gwałtownie. Otworzyła piwne oczy, otrząsnęła się, i głęboka bruzda zachmurzyła czyste dziewicze czoło.

— Głupstwo! — szepnęła. Dokończyła się rozbierać z pośpiechem, a gdy zgasiła świecę dodała również szeptem:—Nie, to byłby nawet grzech!

Odmówiła zwykłą wieczorną modlitwę, przerzuciła się parę razy z boku na bok, poczem leżała już cicho. Oddech jej stał się spokojny i regularny,—z głową spoczywającą na prawej dłoni, z lewą ręką wyciągniętą na kołdrze, leżała pogrążona w błogim śnie.

Dziewczyna, sprzedająca zapałki, oczekiwała, na chybił trafił, na placu Paryskim, pana, który jej dał złotą monetę. Spostrzegłszy wysoką postać na rogu Wilhelmstrasse, pobiegła ku Klaudyuszowi, szła parę kroków obok niego i mówiła znów coś niezrozumiałego, tym samym płaczliwie proszącym, a mimo to chytrym, tonem co poprzednio.

— Idź precz!—zawołał Klaudyusz tak szorstko, że dziewczyna stanęła, jak wryta.

Przez chwilę patrzyła jeszcze za odchodzącym, poczem machnęła ręką, rzekła ochrypłym głosem: „No, to nie!“ zawróciła się i wlokącym krokiem poszła w kierunku kawiarni Bauera.

Klaudyusz wziął dorożkę i pojechał do domu.

Nadszedł dzień wigilijny. Klaudyusz siedział sam w gabinecie, z głową opartą na rękach, i wpatrywał się osłupiałym wzrokiem w zielony safian biurka. Siedział tak już długo, pogrążony w posępnej zadumie. Od wczoraj zaszła w nim stanowcza zmiana. Do dnia wczorajszego był ślepy. Teraz zdawało mu się, że mu bielmo spadło z oczu.

Ujrzał naraz głęboką różnicę między duszą własną a duszą swojej żony i zrozumiał, że ta różnica wyrównać się nie da, bo ona go nie kocha.

Nie kocha go,—wczoraj dopiero wyznał przed sobą okrutną prawdę. Dotąd nie miał tej odwagi. A wyznanie to zaskoczyło go znienacka, podeszło go niejako. Dotychczas przypuszczał, jak rzecz całkiem naturalną, że Kathi go kocha, że go kochać musi,—wszak on ją kochał całem sercem i mówił jej to i okazywał, iż życie jego zapełnione jest tylko pragnieniem uszczęśliwienia jej. Teraz przebiegł myślą drogę, którą przeszedł wespół z Kathi,—jak orzeł pustynię, zgłodniały, żądny zdobyczy. Nic, nic nie znalazł, coby przemówiło, jako dowód miłości Kathi. Cieszyła się szczerze

pięknemi podarunkami, odczuwała pewną powierzchowną wdzięczność,— nic więcej. Zgodziła się na wspólne z nim pożycie, przez wzgląd na wygodę, kierowana młodzieńczą próżnością, — o potrzebie serca mowy nie było.

Ten trzeźwy rozbiór stanu rzeczy, jakby oddalił od niego Kathi, którą dotychczas czuł nieustannie przy sobie. Między niego a nią wsunęły się inne postacie: widział otwartą twarz brata, łagodny uśmiech bratowej, widział świeżą, jak jutrzenka, twarzyczkę pięknej Belli z oczami sarny i płowemi włosami. I pociechę mu przynosiła, ulgę sprawiała świadomość, że nie jest już sam z pełną wdzięku, śliczną Kathi, która go nie rozumiała i niewiele o niego dbała. Niekiedy budziła się już w jego mózgu myśl: tak dalej być nie może! Ale nie chciał i nie mógł dotknąć tego, co ztąd wyniknąć musiało.

Dręczące rozmyślania przerwał lokaj, który przyniósł list i oznajmił, że posłaniec czeka na odpowiedź. Klaudyusz otworzył kopertę i przeczytał:

„B. 24 grudnia 78.

Bardzo to uprzejmie z Twojej strony i ze strony mojej najpiękniejszej protektorki, że pamiętacie o samotnym kawalerze i chcecie mu przy Waszym stole zapalić choinkę. Ale z żalem w sercu muszę odmówić. Mój dobry przyjaciel i stary kolega, Arnold Specht, którego znasz zapewnie z nazwiska, jako jednego z najwybitniejszych naszych kochanków, a który chwilowo występuje gościnnie w tutejszym teatrze „Residenz,“— umówił się ze mną, i postąpiłbym nieuczciwie, gdybym

dla własnej przyjemności poświęcił obowiązek przyjaźni! Specht jest zresztą bardzo miłym człowiekiem, i w tych dniach Ci go przyprowadzę. Jeszcze raz serdeczne dzięki, Wy mili, szlachetni! Odmawiam z żalem i rozpaczą! Zobaczymy się u Philippiego albo na Hilderbrandtstrasse.

Twój
głęboko zgnębiony sierota
Leon S.

Posłaniec zapłacony.“

— Czy tam kto czeka na odpowiedź? — spyta Klaudyusz.

— Tak jest, proszę pana.

Klaudyusz wzruszył ramionami.

— Ach, tak! — rzekł po chwili. Teraz dopiero zrozumiał, że Leon żądał zaprosin dla swego przyjaciela.

— Czy pani w swoim pokoju?

— W salonie, proszę pana.

Kathi i Gucia zajęte były ubieraniem choiny.

— Leon odmawia, — odezwał się Klaudyusz do żony.

— O, jej!

— Masz jego list.

Kathi przeczytała śpiesznie i zrozumiała odrazu ukryte znaczenie pisma.

— Jak ty zaraz straszysz! Nie odmawia wcale. Trzeba zaprosić i Arnolda Spechta. Wszak nie masz nic przeciw temu? Specht to jeden z naszych najlepszych. Kochałam się już w nim jakem była taka duża!

Cieszę się bardzo, że go poznam. Nie patrz tak posępnie, mój drogi, i odpisz Leonowi parę słów.

— Jak chcesz, — odparł Klaudyusz, a po chwili dodał:—Byłbym bardzo rad, żebyś mnie wyręczyła, nie potrafię może napisać dosyć uprzejmie.

— Dobrze, już ja to załatwię.

Poskoczyła do sąsiedniego pokoju i z wielkim pośpiechem, podkreślając co drugie słowo raz lub dwa razy, a wyraz „serdecznie“ nawet cztery razy, napisała do zbytku uprzejme zaproszenie dla Spechta. Chciała pokazać bilecik Klaudyuszowi, ale on wyszedł już z salonu i powrócił do swego gabinetu, gdzie wyciągnął się na szezlongu.

Posłaniec zaniósł Leonowi odpowiedź, która go ucieszyła, jakkolwiek nie była mu niespodzianką.

Kathi i Gucia ubierały w dalszym ciągu choinę.

— Nie wiem co panu weszło dziś w drogę,—rzekła Kathi, zawieszając na gałęzi kurę z czekolady, wysiadującą marcepanowe jajka, — od wczoraj jest, jak odmieniony.

— Mężczyźni są tacy kapryśni,—odparła Gucia sentencyonalnie.

— Myślałam już... ale to byłoby zanadto niedorzeczne... że ta droga kuzynka w wielkich kaloszach...

— Ale gdzietam, proszę pani!

— Nie odpowiadaj: gdzietam! jak ja co mówię! Pozwalasz sobie względem mnie na poufałość, której nie ścierpię,—rzekła Kathi z godnością.

— Ale pani mnie nie zrozumiała, chciałam tylko powiedzieć...

— Dobrze już, dajmy temu pokój! Powiedzno,

Guciu,—dodała bezpośrednio przyjacielskim tonem,—co my damy Arnoldowi Spechtowi? Przecież to nasz gość, a pan o niczem nie myśli. Chciałabym mu dać tekę ze skóry krokodylowej, Leon dostanie przybory do palenia a, panu dam figurki meisseńskie, które przeznaczyłam dla Ellen, a które właściwie chciałam sobie zatrzymać.

— Pan z pewnością bardzo się niemi ucieszy.

— Są też bardzo drogie... zwłaszcza ta dama w koronkach z mufką. Mufka także oszyta jest koronkami. Nie masz pojęcia jak to trudno zrobić!.. Dam mu także futerał do klucza od bramy...

Gdy choina była gotowa przeniesiono ją na duży stół, wysunięty na środek salonu. Na białym obrusie stały talerze z jabłkami, orzechami i słodyczami a przy nich leżały podarunki dla Klaudyusza i obu gości. Wszystko to razem niemiłe robiło wrażenie. Nie było tam nic a wyglądało jakgdyby coś być miało. Tego stołu gwiazdkowego nie urządzała ręka kochająca...

Klaudyusz w ciągu ostatnich tygodni skupował wszystko, co mu się tylko wydało dla Kathi odpowiedniem. Szafa w ścianie w jego gabinecie pełna była paczek wszelakiego kształtu. Cieszył się myślą ułożenia tego własnoręcznie i już przed kilku dniami zamówił przepyszną dekoracyę kwiatową na stół Kathi, który miał być uroczyście wniesiony do salonu, gdy ona już rozda swoje podarunki. Dziś ten projekt przypomniał mu się dopiero, gdy wszedł lokaj i oznajmił mu tajemniczo, że ogrodnik czeka z koszami. Klaudyusz stracił ochotę zajęcia się osobiście tą sprawą, któ-

ra mu się w jego obecnem usposobieniu dziecinną wydała. Niepodnosząc się z szezlongu, dał lokajowi odpowiednie rozkazy: Na przyozdobionym kwiatami stole ma ogrodnik sam ułożyć paczki, znajdujące się w szafie; rozpakowywać ich nie trzeba. Artystycznemu smakowi ogrodnika postawiono trudne do rozstrzygnięcia zadanie. Potrząsając głową przyglądał się poczciwiec wykwintnym pudełkom, paczkom niekształtnym, wstążkami owiązanym, owiniętym w jaskrawy papier. Jak mógł ukrył nieestetyczne pakiety pod liśćmi i kwiatami i usiłował kwitnącemi różami i kameliami nadać całości wesoły, świąteczny pozór.

Goście zaproszeni byli na obiad na godzinę szóstą. Rozdanie podarunków miało się odbyć o ósmej.

Leon i Arnold Specht przybyli z aktorską akuratnością punktualnie o szóstej. Leon dziękował gospodarstwu za niesłychaną uprzejmość, która go równie zdziwiła jak zawstydziła. Specht był zgnębiony taką niezasłużoną dobrocią. Uśmiechał się słodko, poruszał wolno interesującą głowę i był taki do głębi wstrząśnięty, że nie mógł powiedzieć nic innego, tylko: „Ach!“

Arnold Specht był w całem znaczeniu tego wyrazu pięknym mężczyzną. Miał lat koło czterdziestu, wzrost słuszny, a gdyby nie olbrzymia postać Klaudyusza, możnaby go nazwać wysokim, — był przytem smukły, kształtnie zbudowany, miał małe nogi i starannie utrzymane ręce. Paznokieć przy małym palcu lewej ręki, długi i zakrzywiony, jak szpon, przycięty był odpowiednio. Trzymał się, jak człowiek, przyzwyczajo-

ny, żeby mu się przez lornetkę przyglądano: prosto, z podaną naprzód piersią, ramionami zaokrąglonemi, głową zadartą. Cerę miał bardzo ciemną, oczy piwne, nader wyraziste, włosy ufryzowane. Kosmyk hamletowski spadał mu melancholijnie na czoło. Głos umodulował na wzór Emila Devrient miękko, łagodnie. Mówił wolno, wyraźnie, rechocząc przy wymawianiu litery „r“.

Arnold, pokonawszy wzruszenie, które objawiał przyciskaniem prawej ręki do serca, nie mógł znaleźć słów na wyrażenie swej wdzięczności.

— I to dzisiejszy dzień właśnie przynosi mi tyle szczęścia... ach! Ktoby jeszcze wobec tego mógł się śmiać z pięknej wiary dziecięcej w Dzieciątko Boże? Czyż Ono nie otworzyło mi wrót do zaczarowanego pałacu wieszczki wigilijnej?

Był głęboko przejęty, głos jego drżał, mógłby zapłakać; ale na to było jeszcze za wcześnie.

Klaudyusz przyjął gości grzecznie i z prostotą. Usiłował zapanować nad zgnębieniem, ale bystre oko Leona dostrzegło silną zmianę w całem jego obejściu. Wziął tedy przyjaciela na bok.

— Czy ci co jest? Tak źle wyglądasz.

— Cierpię od wczoraj na migrenę,—odparł Klaudyusz i, zbliżając się z Leonem do Kathi i Spechta, dodał głośniej:—Proszę z góry moich gości o przebaczenie i pobłażliwość, będę dzisiaj niebardzo uprzejmym gospodarzem. Jestem trochę niezdrów.

Specht został tem oznajmieniem wstrząśnięty do głębi, i przybrał tak szczerze smutny wyraz twarzy, jakgdyby stracił kogoś drogiego.

— Żona postara się naprawić moje winy. Proszę państwa zatem usilnie nie krępować się w wesołości mojem milczeniem, a ja dołożę wszelkich usiłowań, by wam nie psuć zabawy. A teraz, do stołu. Panie Specht, może pan zechce poprowadzić moją żonę?

Specht złożył głęboki ukłon i z najsłodszym uśmiechem, na jaki mógł się zdobyć, z powłóczystem spojrzeniem, podał Kathi ramię.

Kathi, — byłaż to ta sama kobieta, która wczoraj siedziała, jak martwa? — wpadła w różowy humor, żywe rumieńce zabarwiły jej lica, nigdy może nie była taka czarująca. Przy trzeciem podaniu zrzucił i Specht sentymentalną maskę, przywdziewając natomiast ognistą, namiętną. Nozdrza mu drgały, oczy rzucały błyskawice, nie mówił już: Ach!—mówił teraz: Oho!

— Oho! co za boski nektar!—zawołał, odejmując od ust kieliszek.—A teraz przyjaciele,—dodał wstając i twarz jego ułożyła się do owego złowrogiego uśmiechu, poprzedzającego zazwyczaj wybuch toastu,—ponieważ wino rozwesela serce człowieka, dlaczego nie mielibyśmy być wesołymi? Moje serce przepełnione jest wdzięcznością dla naszych miłych gospodarzy, dla których przed godziną jeszcze byłem całkiem obcy, a czem serce jest przepełnione... Jak ci się zdaje, Leonie? — przerwał mowę.

Leon nie ruszył się.

— A czem serce jest przepełnione o tem milczą usta.

Miał bardzo mądry wyraz twarzy i zamilkł na chwilę.

— Nie powiem, więc, że będę zawsze z serdeczną wdzięcznością myślał o tem gościnnem przyjęciu; nie powiem, że najlepszym podarunkiem gwiazdkowym, jaki ubogi człowiek, na wzór Hamleta, może złożyć przy tem ognisku, są słowa błogosławiące pomyślność tego domu; nie będę mówił o zacności gospodarza, która jest silną i niewzruszoną, jak straż nad Renem; nie będę mówił o dziewiczym wdzięku młodej mężatki, która siedzi teraz uśmiechnięta przy moim boku i na której głowie chciałbym położyć dłoń, modląc się, żeby ją Bóg uchował taką pełną prostoty, czystą i urodziwą. Nie powiem nic, poproszę was tylko, żebyście podnieśli kieliszki i wychylili je na cześć miłych gospodarstwa i (tu znów umilkł na chwilę)—tego o czem zamilczamy!

Kieliszki zetknęły się z brzękiem. Leon zauważył, niemile zdziwiony, że wyciągnięte nieco małe palce Kathi i Arnolda szukały się i dotknęły wzajemnie, gdy aktor rozmarzonym wzrokiem spoglądał na „czystą,“ urodziwą gospodynię.

Z tym samym uśmiechem, z jakim mówił, umilkł Arnold. Usiadł, zadowolony wielce z toastu. Uważał, że był oryginalny i dowcipny. Był to także toast całkiem nowy, — niby premiera. Kathi była nim bardzo zbudowana. Leon uznał w duchu, że jest niezły. Klaudyusz, po drugiem zdaniu czczej paplaniny miał jej dosyć i nie słuchał więcej.

Przy pieczeni usposobienie wszystkich trojga, niekrępujących się ani trochę obojętnością gospodarza, było takie ożywione, że Arnold, na usilne namowy Leona i prośby Kathi, zapomniał łaskawie o godności swej sztuki i o znaczeniu swego stanowiska i zaprodukował

wszystkie figle towarzyskie, jakie umiał. Naśladował hałas warsztatu, heblował i piłował palcem wskazującym; gdakał, jak kura, piał, jak kogut, rechtał jak świnia, ryczał, jak krowa, beczał, jak koza, i naszczekiwał śród tego, jak pies, który w końcu, kopnięty, ucieka, wyjąc i skowycząc żałośnie.

Kathi śmiała się do łez. Tak znakomicie dawno się nie bawiła. A przecież Arnold nie zaprodukował jeszcze swojej głównej sztuki: brzęczącej muchy, która siada na nosie chrapiącego pijaka, a odpędzana ciągle przez niego we śnie, ciągle wraca. Ten figiel był poprostu wspaniały! Kathi nie posiadała się z uciechy i najchętniej byłaby uściskała zachwycającego człowieka.

Leon trzymał swoje strzały jeszcze w kołczanie. Gdy podano czarną kawę zaczęła się jego produkcya. Udawał walkę z kimś niewidzialnym, który usiłował mu wyrwać pełną filiżankę, stojącą na brzegu spodka, i balansował nią szybko a tak zręcznie, że nietylko nie spadła, ale nie wylała się z niej ani jedna kropla, — istna sztuczka żonglerska. Arnold, jako niezawistny kolega śmiał się za trzech, Kathi była także wielce zadowolona; ale mucha, — muchy nic przewyższyć nie zdoła!

Oprócz tego opowiedziano jeszcze podczas kawy kilka anegdot, których bohaterem był zawsze żyd. Wszystko troje bawili się świetnie.

Klaudyusz siedział z boku, na tem samem krześle, na którem siedziała wczoraj Kathi, gdy Bella grała na fortepianie.

— I to jest moja Wigilia!—mówił sobie w duchu. Dwaj komedyanci...—zawahał się,—i moja żona! A ci, którzy mi odpowiadają, którychbym u siebie mieć chciał i powinien, którychbym mieć mógł, gdyby było inaczej... ci są tutaj, pod moim dachem, niemożliwi; i dziękuję Bogu, że ich tu niema, że nie odczują tej straszliwej pustki!

— Ale ty nieznośny dziś jesteś, mężusiu,—rzekła Kathi z nadąsaną minką, zbliżywszy się do niego.— Takim nie byłeś jeszcze nigdy! I to właśnie dzisiaj! Czy cię nasza wesołość gniewa?

— Przeciwnie Kathi. Wszak ci już mówiłem: jestem niezdrów.

— Chciałbyś pójść do swoich? Przyznaj się. Nie biorę ci tego wcale za złe. Chciałbyś być razem z bratem, co? Rozumiem to doskonale. Wiesz co? Chciałam właśnie posłać te rzeczy dla malca do hotelu. Szczerze mówiąc, całkiem o tem zapomniałam. Każ założyć konie i zawieź je sam. Tam się rozerwiesz, zabawisz a tu się nudzisz. Poco te ceremonie między małżeństwem? Wysuń się niepostrzeżenie, nie mów słowa, ja cię przed nimi wytłómaczę. Choinka zapalona. W pięć minut rozdam prezenta, a potem możesz wymknąć się pocichu. To będzie podarunek na gwiazdkę odemnie; zresztą, mój jedyny, mam niewiele dla ciebie. Drobnostkę tylko, żebyś wiedział, że to dziś kolenda. A więc, rzecz skończona!

Powróciła do gości. Klaudyusz był jednocześnie oburzony i uradowany. Pragnął wprawdzie z całej duszy wyjść i cieszył się, że mu to umożliwiono i ułatwiono, ale jednak poruszyło go do głębi, iż żona zgo-

dziła się tego wieczora na rozłączenie nietylko bez przykrości, ale nawet z nieukrytem zadowoleniem. Sam chciał oddalić się od niej, a był jednocześnie taki niesprawiedliwy, iż gniewał się, że ona pragnęła zostać bez niego.

Leon i Arnold byli pięknemi prezentami wzruszeni. Arnold zapewniał nieustannie, że to zadużo, że nigdy nie widział piękniejszej i gustowniejszej teki, powtórzył znów kilka razy: „Ach!“ Klaudyusz podziękował za figurki meisseńskie i podziwiał z całą dobrodusznością delikatne koronki-damy z mufką, na które Kathi zwróciła mu uwagę. Wniesiono wreszcie stół udekorowany kwiatami; Kathi, jak dziecko, skakała dokoło niego, poczem, burząc kunsztowne dzieło ogrodnika, wyjmowała z pod kwiecistej zasłony jeden ikosztowny podarunek po drugim śród głośnej radośc i żywego współudziału przyjaciół, a gdy w końcu, raz jeszcze obejrzawszy wszystko, prawdziwie uszczęśliwiona z cennych niespodzianek, chciała mężowi podziękować,—spostrzegła, że wymknął się pocichu.

— Ach, prawda! — rzekła i, zwracając się do przyjaciół, dodała wesoło:—Dzieci, teraz będzie zabawa na dobre! Mój mąż naprawdę niezdrów. Kazałam mu, żeby sobie poszedł. To lepiej dla niego. A teraz, mój drogi panie Specht, zróbno pan jeszcze raz muchę! Proszę!

Małoznaczący epizod, zniknięcie pana domu, w istocie nie wpłynęło na usposobienie pozostałych Leon tylko został narazie niemile tem dotknięty. Arnold na powszechne żądanie jeszcze raz naśladowa

muchę, a Leon, z artystycznem stopniowaniem, opowiedział anegdotę, o trzech żydach.

Arnold zalecał się, według wszelkich prawideł, do pięknej gospodyni. Obsypywał ją przesadnemi komplementami, wpatrywał się w nią rozmarzonym wzrokiem i przysuwał się do niej jak mógł najbliżej. Kathi sprawiało to wielką przyjemność, była zatem niezwykle uprzejmą. Leon uważał te zaloty za niewinną zabawkę,—czem też rzeczywiście jeszcze były,—a ponieważ go nudziły, przeto otworzył fortepian i odegrał swego ulubionego gawota.

Następnie Arnold zaśpiewał z głębokiem przejęciem: „Chciałbym być blaskiem księżyca.“ Kathi akompaniowała mu i chwaliła jego głos, a zwłaszcza uczucie w śpiewie. Poczem sama zaprodukowała najweselsze piosenki swego dawniejszego repertuaru. Niezaniedbywano też szampana i tak mijał czas śród świetnego humoru.

— Leon zagra walca, a my zatańczymy!—zawołała Kathi.

Odsunęli na bok wielki stół w jadalni, zdjęli dywan, przystawili fortepian do drzwi i Leon zaczął bębnić z całych sił.

Arnold i Kathi wirowali po salonie, jak szaleni, tak że szklanki brzęczały na kredensie. Aktor przyciskał młodą kobietę mocno do piersi; ona przechyliła głowę w tył; taniec rozniecał w niej namiętny ogień, szampan już poprzednio obieg krwi przyśpieszył, przymknęła oczy, przytomność zaczynała ją opuszczać, gdy nagle uczuła gorący pocałunek na swej rozpłomienionej twarzy.

— Cóż wy sobie myślicie?—rzekła nieprzerywając tańca.

— Kathi, kocham cię, — szepnął jej Arnold w ucho.

— Dobrze, dobrze! Ale bądźcież rozsądni! Co sobie ludzie pomyślą? Spójrzcie tylko na drzwi! tam ktoś stoi.

Leon również spostrzegł pocałunek. Uczuł się dotkniętym w imieniu przyjaciela, ale nie chciał wywoływać przykrej sceny i dokończył zaczętą część walca. Poczem wstał.

— Dalej, dalej!—wołali tancerze.

— Ani mi się śni! Specht robi głupstwa a ja mam do tego przygrywać? Ani mi się śni!

Kathi wysunęła się z objać Arnolda i podeszła ku nawpół otwartym drzwiom, prowadzącym do tylnych pokojów. Widziała, że ktoś przez szparę we drzwiach przyglądał się zabawie, i w istocie teraz postać jakaś oddalała się szybko. Jak błyskawicą przeleciało przez głowę Kathi podejrzenie, ale nie cofnęła się przed niebezpieczeństwem, przeciwnie, wybiegła z salonu i schwytała Gucię w chwili, gdy dziewczyna chciała się ukryć w kuchni.

— To ty! Bogu dzięki! Ładnego mi napędziłaś strachu! Wiesz co, Guciu, stań w oknie narożnego pokoju i wyglądaj. Jak pan będzie wracał... przecież wziął karetkę... to mi powiedz. Dam ci ładny prezent.

Gucia rada była, że jej tak uszło; uśmiechnęła się chytrze i stanęła na warcie.

Leon tymczasem prawił morały ognistemu kochankowi.

— Po pierwsze niełądnie to samo przez się w przyzwoitym domu, do którego wprowadza cię przyjaciel, całować podczas pierwszej wizyty gospodynię. A po drugie, jest to nieostrożnie. Mój przyjaciel Bewer, o ile go znam, nie należy do ludzi, którzyby na tym punkcie rozumieli żarty. Widziałeś go. Wzrost ma pokaźny. Był przez dziesięć lat na dalekiem Południu, gdzie niema mowy o kulturze europejskiej. Rozumiesz! Gdyby się o tem dowiedział, zabiłby cię poprostu.

Ukazanie tej perspektywy wywarło pożądane wrażenie. Arnold nie miał już ani sentymentalnej, ani namiętnej maski, lecz twarz szczerze zakłopotaną, której wyraz bynajmniej mądrością nie imponował.

— Tak?—rzekł wolno. — Więc sądzisz, że onby tak bez ceremonii?..

— Bez ceremonii! Bądź pewien.

— Tak?!—powtórzył Specht.

Kathi z rozpłomienionemi licami wróciła do towarzystwa.

— Jeszcze galopadę, Leonie!

— Bardzo żałuję.

— A jak was ładnie o to poproszę?

— Bardzo żałuję.

— Jesteście niegrzeczni! To sobie i tak poradzimy! Pójdźcie Specht! Będę śpiewała.

Oparła się o ramię Spechta, tak że temu, jakkolwiek odeszła mu ochota od tańca, nie pozostało nic innego tylko objąć ją i sunąć z nią w oszałamiającem tempie galopadę, której melodyę śpiewała.

A chociaż jej już tchu zabrakło wyrzucała jeszcze skrzeczące tony; teraz ona porywała za sobą tancerza, który chciał odpocząć, i przyciskała go do gwałtownie bijącego serca. Była, jak nieprzytomna, jakgdyby rozszalało się w niej zwierzę, a głos jej wyczerpany do ostatka dźwięczał jak bolesne kwilenie.

— Pan! — wrzasnęła Gucia, stając w progu sali i zniknęła.

Wyraz ten oddziałał, jak dotknięcie prądu elektrycznego na Arnolda, któremu pot ściekał z czoła i którego ciemna twarz okryła się gorącym rumieńcem. Zzieleniał, nogi pod nim drżały.

Kathi rzuciła się na krzesło i rzekła ochrypłym głosem:

— Mnie już teraz wszystko jedno! Tak czy tak!

Leon jeden tylko był spokojny. Odczuł, że należy powracającemu do domu przyjacielowi oszczędzić, o ile możności, przykrego widoku. Zawołał Arnolda, posunął z nim, choć ten niewiele mógł pomagać, fortepian na dawne miejsce, wciągnął niemal Kathi do salonu i zamknął drzwi do jadalni. Kathi wzięła kawałek lodu z szampana, potarła sobie nim czoło i twarz, i wachlowała się.

Klaudyusz spędził kilka orzeźwiających istotnie godzin z Wilhelmem i jego rodziną. W ciągu tego krótkiego czasu zapomniał prawie o tem, co go tak głęboko smuciło. Gawędzili z całą swobodą, przypominali sobie dawne czasy, mówili z pełną żalu przyjemnością o Wigilii w pięknym domu patrycyuszowskim i o ukochanym ojcu, czcigodnym senatorze, kupcu i właścicielu warsztatów okrętowych, Jakóbie Bewerze

w Lubece, o tym szlachetnym człowieku, którego obraz z biegiem czasu coraz promienniejszy jaśniał w pamięci wdzięcznych synów; Bella grała, — i minęły wesoło i szczęśliwie umiarkowanym biegiem godziny, przynosząc Klaudyuszowi spokój i orzeźwienie.

— Boże mój, co tobie jest, jak ty wyglądasz? — spytał Klaudyusz, który na widok Kathi stanął zdumiony w progu.

— Cóż mi ma być? — odparła Kathi ochrypłym głosem, jeszcze zadyszana.—Nic mi nie jest. Tańczyliśmy trochę, nic więcej.

Klaudyusz zmierzył obu panów zimnymw zrokiem. Gdy spojrzał na obcego aktora, którego zostawił w majestatycznej pozie, a który teraz wyglądał, jak zgnębiony strachem tchórz, ogarnęło go takie uczucie wstrętu, że z trudnością zdołał je ukryć.

— Tańczyliście?—powtórzył Klaudyusz, zapanowawszy szybko nad sobą.—Jakkolwiek sam tańca nie lubię, przyznaję, iż dowodzi to, że nie odczuwaliście mojej nieobecności i że spełniłaś moje życzenie, podwajając swą uprzejmość. Czy panowie nie zechcą usiąść? Mam nadzieję, że panów przecież nie wystraszam.

— Zabieraliśmy się już do odejścia,—rzekł Leon, który doznawał równie niemiłego uczucia jak Arnold, jakkolwiek było o wiele mniej winny.

— Tak jest, chcieliśmy właśnie odejść, — przywtórzył tenże z wysiłkiem.

— Wszak nie weźmiesz za złe? Doprawdy już późno... Klaudyuszu,—dodał Leon przyciszonym, drżącym od prawdziwego wzruszenia głosem,—nie gniewaj

się na mnie! Nie zrobiłem nic takiego, cobyś mi mógł wziąć za złe, nic, jak Bóg w niebie...

— Ależ, wierzę, Leonie!

— Wierzysz naprawdę? Widzisz, byłbym niepocieszony, gdybyś mógł myśleć...

— Ja nic nie myślę, Leonie!

— Jam wierna dusza, a tyś mój przyjaciel! Niech mnie Bóg...

— Ależ, wierzę ci, wierzę! Daj już pokój! Jeśl masz mi co do powiedzenia, to mi powiesz innym razem. Już późno, doprawdy. Dobranoc!

Klaudyusz podał mu rękę, którą Leon uścisnął z całej siły.

— Wierzaj mi!—powtórzył.—Jestem twoim przyjacielem! Dobranoc!

Arnold złożył etykietalny ukłon przed Kathii która ciągle jeszcze szybko oddychała, i następnie pożegnał się z Klaudyuszem. Gdy zaczął ponownie wyrażać w przesadnych słowach swoje podziękowanie, Klaudyusz mu przerwał i udawał, że nie widzi jak mu Specht podaje rękę.

Obaj aktorzy odeszli z teką do pisania i przyborami do palenia o wiele mniej zadowoleni, niż przyszli.

Klaudyusz przez chwilę przypatrywał się żonie. Twarz jej pałała, włosy miała w nieładzie, oczy zamglone, pierś falowała gwałtownie, przyśpieszonemu oddechowi zaś towarzyszyły brzydkie, sapiące tony. A on, tylko co spoglądał w łagodne, głębokie oczy bratowej i napawał się estetyczną miarą dziewiczej

piękności Belli. Odwrócił się od Kathi, jak od istoty obcej, i nie odezwał się wcale.

— Klaudyuszu!—zawołała.

Opuścił salon, nieobejrzawszy się, i zamknął się w swoim pokoju. Nawpół rozebrany siedział długą chwilę przy łóżku, niemyśląc o niczem nadzwyczajnem i bez głębszego wzruszenia. Dziwił się jak mało scena w salonie na niego oddziałała. Drobiazgi większe na nim uczyniły wrażenie, niż fakt główny. Uśmiechał się, przypominając sobie zapewnienia przyjaźni Leona figurki meisseńskie,—piękną damę z mufką w koronkach porcelanowych, wykwintnego pasterza z różową twarzą i Chińczyka, wyciągającego język. Przy Kathi myśl jego nie zatrzymała się. Ponad wszystkiem co myślał i odczuwał, górowała melodya, która mu nieustannie dźwięczała w uszach. Co to być mogło? Czy grała ją Bella? Byłaż to pieśń z lat dziecinnych? Zgasił świecę a melodya dźwięczała w dalszym ciągu i prosta pieśń, której nuta była mu tak dobrze znajoma, a do której słów mu brakło, do snu go ukołysała.

Spał niespokojnie, sny miał dziwaczne, chaotyczne. Mocował się z jakiemiś mężczyznami, którzy go zaczepili i zastąpili mu drogę. Jednego z nich znał dokładnie. Miał on kosmyk hamletowski na czole i długi paznokieć u małego palca lewej ręki. Ale nie byłto Specht, tylko książe Strusa. Ten książe, wyglądający zupełnie, jak aktor, pozwolił sobie zachować się nieprzyzwoicie względem Belli, którą Klaudyusz prowadził pod rękę i która miała mufkę oszytą delikatnemi koronkami. Naraz stanął obok niego wykwintny pasterz, Leon Schneider, i przysięgał mu, że go nie

opuści. Gromada napastników powiększyła się nagle, a gdy Klaudyusz obejrzał się za swoim sprzymierzeńcem, już go nie było. Zniknęła mu też Bella w niepojęty sposób. Pozostał sam, opuszczony. Wtem schylił się, podniósł kamień z ulicy i całą siłą rzucił go na Strusę. Książe upadł z głośnym brzękiem, jak tłucząca się figura porcelanowa, a odgłos ten zbudził Klaudyusza. Piosnka ciągle jeszcze dźwięczała mu w uszach.

Minęły pierwsze dni lutego. Wir stołecznego życia towarzyskiego był u zenitu. Wilhelm wraz ze swemi paniami wprowadzony został przez posła Stanów-Zjednoczonych do różnych kół, a piękne i miłe Amerykanki były wszędzie chętnie widziane.

Kilkodniowa podróż do Gryfii i Lubeki nie przyniosła im spodziewanej przyjemności. Gotlieb zatopiony był w poważnej pracy naukowej, która go absorbowała całkowicie i jeszcze większym czyniła odludkiem. Był wprawdzie uszczęśliwiony z widoku brata z San Francisco i z poznania jego rodziny, ale czuł się zakłopotanym w obec pań i nie wiedział co począć w Gryfii z temi trzema zwracającemi uwagę osobami. Rad był, gdy nareszcie podał im rękę na pożegnanie i powrócił do swego biurka.

Pobyt w Lubece i spotkanie ze starszymi braćmi było niemal przykre. Widzieli oni zawsze jeszcze w Wilhelmie lekkomyślnego młodego chłopca, którego ojciec odprowadził na okręt. Nadto mieli wobec niego poczucie wyrządzonej mu krzywdy i przyjęli jego i pa-

nie tak zimno, że Wilhelm nie ponowił wizyty u nich i zmienił plan podróży; zredukował pobyt w Lubece do jednego dnia, porzucił zamiar pojechania do Husum, niechcąc sobie i swoim zgotować jeszcze jednego rozczarowania, — i powrócił do Berlina, gdzie odnalazł swego prawdziwego brata. Tam też i paniom było najprzyjemniej.

Gdy Wilhelm oznajmił im pewnego dnia, że interesa jego w Europie zostały załatwione i że trzeba pomyśleć o powrocie,—zasmuciły się szczerze. Przykro im było opuszczać Berlin, nietylko dla miłych towarzystw Przywiązały się serdecznie do Klaudyusza, który codziennie prawie spędzał z niemi po kilka godzin. I martwiło je, że muszą tego ukochanego krewnego, którego przyzwyczaiły się uważać za należącego do rodziny, porzucić i pozostawić samego. O Kathi oddawna nie wspominały już wcale. Skoro spostrzegły, że Klaudyusz nie życzy sobie powtórzenia ich odwiedzin w swoim domu i uważa za niepotrzebne, by Kathi im oddała wizytę,—ładna bratowa zniknęła bez śladu z ich otoczenia. W ciągu świąt Bożego Narodzenia dowiadywały się jeszcze dla formy o zdrowie Kathi, a potem zaniechały i tego pytania; a śród wspólnej rozmowy, której ton był zawsze serdeczny i miły, nic już nie przypominało, że Klaudyusz jest żonaty.

Czy był nim jeszcze? O tyle z pewnością, że skarga o rozwód nie została jeszcze wniesiona i ztąd wyrok rozwiązujący małżeństwo nie zapadł; o tyle, że dbał o materyalny dobrobyt Kathi, że z nią mieszkał pod jednym dachem, spędzał z nią codziennie po kilka godzin i zawsze jadał z nią razem obiady.

Czy on wogóle był kiedy żonaty? Według litery prawa — niewątpliwie.

Przykre, rozdrażniające sceny już się nie zdarzały. Klaudyusz był dla Kathi łagodny i pełen atencyi już jej nie strofował, powstrzymywał się od uwag, do których nieraz jeszcze mową swoją i postępowaniem dawała powody, dostarczał jej wszelkich dozwolonych rozrywek, prowadził ją do teatrów i cyrku, kupował ej czego tylko zapragnęła i baczył jedynie, by nie stało się nic takiego, czegoby nie mógł pogodzić ze swoim honorem.

Kathi była z tej zmiany wielce zadowolona. Miała teraz o wiele więcej wolnego czasu, niż dawniej, i korzystała z niego, by jeździć potajemnie do pani Milcke, gdzie spotykała się regularnie z Levini, która regularnie powtarzała jej, że ma niezasłużone szczęście i że zrobiła najlepszą partyę w świecie. Kathi była też o tem najmocniej przekonana; a gdy mogła wsunąć kilka złotych monet do ręki Levini, która bardzo często miała pilny sprawunek i na nieszczęście w pośpiechu zapomniała portmonetki na stole, — gdy w eleganckim powozie jechała do swego wytwornego domu, zdawało jej się, że jest naprawdę wielką damą i była zupełnie szczęśliwa.

Niekłamaną przyjemność sprawiało jej, gdy lornetki zwracały się na nią, skoro tylko ukazała się na przedzie loży, i gdy widziała jak największe damy przyglądały się skromnej elegancyi i dyskretnemu bogactwu jej tualety. Wielkie zadowolenie sprawiała jej świadomość, że należała teraz do rzędu osób, na które zwracają uwagę; a gdy pewnego ranka Gucia przynio-

sła jej dziennik, w którym opisana był dokładnie, jako jedna z piękności na ostatniej premierze, wydała okrzyk radości; żałowała tylko, że nazwisko jej zaznaczono ledwie inicyałami.

Największą rozrywką były dla niej wszakże potajemne, zakazane wizyty u pani Milcke. Nie poprzestała też na *tête-à-tête* z Levini, — spotykała się tam i z innemi dawniejszemi przyjaciółkami. Odbywały się już formalne zebrania, których uczestniczki mówiły dużo i głośno, dużo śmiały się i plotkowały, dużo jadły i piły. Kathi ponosiła koszta; wszak jej środki pozwalały na to. Ponieważ w tej, niewinnej zresztą, przyjemności nikt jej nigdy nie przeszkodził, a Fryderyk okazał się zupełnie bezpiecznym stangretem,— przeto Kathi zczasem stawała się coraz pewniejszą siebie i nie mogła się oprzeć chęci przyjęcia Levini we własnym domu. Musiała przecież raz pokazać przyjaciółce jak mieszka, jak jest urządzona, jak jej szkatułka napełniła się klejnotami. Levini była olśniona całym tym przepychem i nie mogła wcale znaleźć dość dosadnych słów na wyrażenie swego szczerego zachwytu. Kathi była powściągliwa i zadowolona.

O tem wszystkiem Klaudyusz nie miał pojęcia. Ale, gdyby nawet wiedział, nie wziąłby tego prawdopodobnie zbytnio do serca. Był wyczerpany, znieczulony. Niekiedy tylko świadomość rzeczywistości ogarniała go z przerażającą mocą i wówczas, ku rozpaczy swojej, przekonywał się, że uczucie jego dla Kathi nie zamarło, że jest tylko stłumione przemocą ale zawsze jeszcze wypełnia jego serce z żywotną siłą.

Biedna Kathi! przecież ona nie była zła, ani okrutna, — była tylko inna, niż sądził. Wszak ona nigdy martwić go nie chciała, nic nie zawiniła. On sam tylko był winien temu, że ją do siebie przykuł, że się z nią połączył, zanim poznał jej wewnętrzną istotę. Czyż do tej starej winy nie doda jeszcze nowej, jeśli teraz pośpieszy się zbytnio z zerwaniem, jak poprzednio nazbyt z połączeniem się pośpieszył? Czy słusznie postąpił, że po pierwszych nieudanych usiłowaniach podniesienia jej do wyższego poziomu swoich obyczajowych zapatrywań i swego wykształcenia, zaniechał wszelkich dalszych prób i pozostawiał ją w tej umysłowej nicości? Czyż nie powinien o każdej godzinie podejmować na nowo tego podniosłego dzieła, niedbając o dotychczasowe niepowodzenie? Ale nie, niepodobna! Ona go nie kochała, i ztąd nie rozumiała go i czuła się najlepiej w tej sferze, w jakiej była. A podnieść ją bez pomocy uszlachetniającej miłości, wbrew jej własnej woli,—temu nie podoła siła żadnego śmiertelnika.

Klaudyusz stał się jeszcze łagodniejszy dla żony, głaskał ją po twarzy, jak słaby ojciec rozpieszczone dziecko, które popełni jakiego niedorzecznego figla, a na które jednak gniewać się nie może,—i chodził do hotelu w alei pod Lipami.

Wilhelm z rodziną zabierali się do wyjazdu na seryo. Powietrze w ostatnich dniach zmieniło się nagle. Nastąpiła gwałtowna odwilż, a słońce, jakby się pomyliło w porze roku, wchłaniało wilgoć. Temperatura była łagodna, pogoda śliczna,—zapanowała wstępna wiosna śród zimy. Skutkiem tego znikł też i ostatni powód, jaki podawały panie, chcąc podróż odwlec, —

a mianowicie, że dziecku, któremu pobyt w Niemczech doskonale posłużył, podróż podczas mrozów może zaszkodzić. Zapakowano wielkie kufry,—parowiec miał 15-go wypłynąć z hamburskiego portu.

Klaudyusz był bardzo smutnie usposobiony. Przyjaciele, którzy zamierzali go opuścić, nie wiedzieli wcale co mu z sobą zabierali. Byli mu oni w ostatnich tygodniach rodziną, domowem ogniskiem, pociechą, podporą, istotą jego życia. Z Wilhelmem zżył się znów podawnemu. Ellen i Bellę pokochał, jak siostry, pokochał też, jak rodzony ojciec, jasnowłosego malca, który mu bezwiednie tyle dobrego wyświadczał. I to wszystko los mu teraz znów odbierał.. Zdawało mu się, iż życie jego zostanie nagle opróżnione z treści.

Bella i Ellen miały łzy w oczach. Przesłały Kathi kilka uprzejmych wyrazów z pożegnaniem, i czekały na Klaudyusza, który miał przybyć o trzeciej. Siedziały w milczeniu przy oknie i spoglądały na ulicę. Wilhelm, również milczący, chodził po pokoju. Malec bawił się z Sittą. Kufry były już na kolei. Salon wyglądał bardzo niegościnnie, — szafy były otwarte, szuflady powysuwane, na krzesłach leżały płaszcze i pledy, na stole—ręczne torebki, po które malec sięgał ciągle, choć mu Sitta ciągle broniła.

Wtem wszedł Klaudyusz. W ręku miał torbę podróżną.

— Przełożyłem sobie, — rzekł po powitaniu, — wsadzę was na okręt. Odprowadzę was do Hamburga.

Wiadomość ta przyjęta została z wielką radością.

— Jutro wieczór mogę wrócić, a sądzę przecież, że przez ten czas nic nie zajdzie.

O godzinie czwartej opuścili w sześcioro stolicę. Wyjazd ich obserwowała młoda dziewczyna, stojąca w poczekalni klasy trzeciej.

Klaudyusz, zawiadamiając Kathi, że towarzyszyć będzie bratu do Hamburga, zgotował jej radosną niespodziankę. Od tygodnia medytowała nad tem, jakimby sposobem uwolnić się 14-go wieczorem. Na 14-go bowiem zapowiedziany był benefis Levini, a Kathi miała niepohamowaną chęć spędzenia tego honorowego wieczoru przyjaciółki w Walhalli, której od siedmiu miesięcy nie widziała. Miała już zamiar powiedzieć mężowi prawdę i poprosić go, żeby razem z nią poszedł. Ale, zastanowiwszy się, przyszła do przekonania, że nie spełniłby tego jej życzenia i że może mieć nieprzyjemności, już za to samo, iż się z niem w ogóle odezwała. A potem,—z mężem to już nie to! Nie będzie głównej ponęty, jaką mają rzeczy zakazane i potajemne. Naraz mąż sam usuwał z drogi wszelkie przeszkody. Podskoczyła w górę z radości, gdy Klaudyusz drzwi za sobą zamknął. Była stanowczo dzieckiem szczęścia.

Skoro zobaczyła przez okno, że Klaudyusz wsiadł do karetki, zawołała Guci.

— Prędko, *Fremdenblatt!*

Chciała zobaczyć czy Specht, który „jako gość“ zaangażowany był na sezon do teatru „*Residenz*,“ gra tego wieczora i czy Leon jest zajęty. Szczęście jej sprzyjało. Arnold był wolny, Leon miał dużą rolę.

— Dowiedz się kiedy odchodzi najbliższy pociąg do Hamburga; no, ruszajże się! Zdaje mi się, że na biurku pana leży książka z rozkładem jazdy.

Napisała do Spechta, żeby punktualnie o godzinie ósmej czekał na nią na rogu Charlotten- i Besselstrasse i nie zamawiał się nigdzie na wieczór; zapewniła go, że może być spokojny, że nieprzyjemność żadna go nie spotka. Skończyła właśnie, gdy wróciła Gucia z oznajmieniem, iż najbliższy pociąg odchodzi o czwartej.

— Teraz trzecia. Mamy więc jeszcze dużo czasu. Guciu, ja temu szczęśliwemu wyjazdowi niebardzo dowierzam. Słuchaj więc uważnie! Włóż kapelusz z woalką... jeśli nie masz, to weź jednę z moich. Wsiądź do zamkniętej dorożki pierwszej klasy i pojedź na Hamburską kolej. Nie pokazuj się tam, ale uważaj dobrze. Jeśli oni wyjadą tym pociągiem, nie możesz ich nie dojrzeć. Ale uważaj tylko na pana, czy on też naprawdę pojedzie. Jeśli wszystko będzie w porządku, pojedziesz potem do Dressla i dowiesz się od Ediego, czy Specht przychodzi tam jeszcze codziennie. Gdyby nie, to postaraj się dowiedzieć, gdzie go można znaleźć. Masz tu list, który musi go dojść jaknajprędzej. Rozumiesz? Potem pojedziesz do Schmidt'a, kupisz bukiet za 20 marek, któryby wyglądał na droższy, a potem do Walhalli i weźmiesz mi małą lożę w orkiestrze z prawej albo z lewej strony; wolałabym z lewej. Obie nie będą jeszcze sprzedane. A potem wrócisz niezwłocznie do domu. Masz 60 marek na lożę, kwiaty i dorożkę. Resztę możesz zatrzymać dla siebie. Jeśli się

pośpieszysz i nie przejeździsz zadużo, pozostanie ci 20 marek.

O godzinie wpół do szóstej była Gucia z powrotem. Pan istotnie wyjechał, na Specht a czekała u Dressla dziesięć minut, oddała list jemu samemu i otrzymała od niego ustną odpowiedź, że: życzenia pani są dla niego rozkazem. Przyniosła też kwiaty i małą lożę z lewej strony.

Na rogu Besseltrasse zatrzymała się o godzinie ósmej dorożka pierwszej klasy. Od kilku minut stał tam wysoki mężczyzna, otulony w długi płaszcz, w nasuniętym głęboko na czoło miękkim kapeluszu o szerokich skrzydłach; z całego zachowania się owego mężczyzny widać było, że pragnął jednocześnie wyglądać jakgdyby nie chciał, żeby go dostrzeżono a jednak być dostrzeżonym. Arnold spojrzał w zamkniętą dorożkę i wsiadł. Niezwłocznie objął Kathi i chciał ją uścisnąć. Ale ona usunęła się energicznie.

— Specht, tylko nie robić głupstw! — rzekła zupełnie seryo.—Bardzo proszę! Inaczej można co oberwać!

— Głupstw? — powtórzył Arnold najczulszym tonem swego podatnego do modulacyi głosu. — Wszak pani wiesz, że cię kocham, wzywasz mnie; przybywam... czyż to głupstwo? Pocóż mnie wzywasz, urocza syreno?

— Muszę przecież mieć towarzysza! Jedziemy do Walhalli. Dorożka już staje. Oto loża, a teraz weź pan bukiet. Ale ostrożnie!

Arnold doznał srogiego zawodu. Zaprowadził Kathi, która osłoniła twarz całkiem nieprzezroczystą

woalką, do loży i usiedli w głębi, gdzie nie mogli być widziani, ale też sami niewiele widzieli. Arnold próbował jeszcze kilka razy być czułym, Kathi rozgniewała się w końcu.

— Dajże mi pan nareszcie pokój, albo dalibóg powiem mężowi.

Pogróżka oddziałała, Arnold zdecydował się bez wahania na pierwszą alternatywę. Udawał głęboko dotkniętego,—Kathi było to całkiem obojętne. Nudzili się oboje.

— Ależ, łaskawa pani, siedzenie w tej gorącej, ciemnej dziurze, gdzie się nic nie widzi a słyszy tylko trąbę, przy boku okrutnej czarodziejki, to istny czyściec!.. Czy długo tu jeszcze zostaniemy?

— I ja sobie wyobrażałam, że będzie daleko weselej. Masz pan zupełną słuszność!.. Czego to człowiek w siebie nie wmawia jak nie ma nic do roboty! Tu naprawdę niepodobna wytrzymać. Ale muszę przecież poczekać na Levini, wszak dla niej tu przyszłam. Rzucisz jej pan bukiet.

— Ja?—spytał Specht, dobywając metalicznego średniego tonu swego głosu. — Ja mam rzucić bukiet? Niech pani zażąda odemnie wszystkiego, tylko... nie tego!

Wspaniały giest przeczenia towarzyszył ostatnim wyrazom.

— Możemy jej go zanieść za kulisy. To nawet najmądrzej! Nie będziemy potrzebowali dłużej się tu pocić. Chodzi tylko o to, żeby jej zrobić atencyę, a potem możemy zaraz odjechać

Arnold zgodził się skwapliwie na tę modyfikacyę programu. Opuścili lożę. Korytarze były puste, albowiem produkował się w tej chwili na scenie jakiś żongler. Kathi podążyła naprzód dobrze znaną drogą, Arnold szedł za nią, trzymając bukiet. Służba za kulisami poznała po pewności, z jaką Kathi prowadziła towarzysza, że ma przed sobą osobę z lokalem obznajmioną i ustępowała obojgu z drogi. Weszli na wąskie schody,—Kathi zapukała silnie do drzwi garderoby.

— Proszę!—zawołał głos Vittorii.

— Czy jeden pan może wejść?

— Może, jesteśmy gotowe, — odpowiedział głos inny.

— Ach, Kathi! Czy ja dobrze widzę?!—zawołała Levini z uniesieniem.—Nie, jak to ładnie z twojej strony! Zrobiłaś mi niewypowiedzianą przyjemność!

— Masz tu trochę kwiatów... Ach, prawda, nie znacie się jeszcze? Pan Arnold Specht, moja przyjaciółka, Tori Levini.

— Z nazwiska i ze sceny naturalnie dawno znany,—rzekła Vittoria, kłaniając się z uśmiechem.

— Ach!—odparł Arnold zawstydzony.

— Jakeś ty to zrobiła, żeby...

— Awantura mówię ci; umierać ze śmiechu! opowiem ci to wszystko.

O kilka kroków od rozmawiających przyjaciółek siedziała blada, piegowata dziewczyna, podrażniona czemś widocznie, albowiem tupała niecierpliwie nogą i bębniła po stole długiemi, chudemi palcami.

— Czy nie raczysz powiedzieć mi przynajmniej

„dzień dobry,“ jeśli wchodzisz tu, do mojej garderoby, z mężczyzną, który mi nie był przedstawiony? — spytała w końcu blada dziewczyna tonem najwyższego rozdrażnienia.

— A ta czego chce? — spytała Kathi z obojętnością, która pozbawiła bladą dziewczynę resztki zimnej krwi.

— Ta nie pozwoli się lekceważyć przez dziewczynę, która jest tem samem co ona! Ta nie pozwoil się obrażać przez żonę, która za plecami męża lata z kochankiem do Walhalli! Rozumiesz mnie, Kathi? Spróbuj traktować mnie z góry, już ja cię pokory nauczę. Znam cię przecież nie od dziś! Nie zaimponujesz mi temi brylantami w uszach! Widywałam cię jeszcze jakeś w podartych trzewikach latała po Klausenburgu. Mogłabym jeszcze inne rzeczy opowiedzieć. A więc nie zadzierajno nosa do góry, moje serce!

Kathi uśmiechała się przez cały czas.

— Ach, prawda,—odparła drwiącym tonem.—To blada Toni! Teraz dopiero cię poznaję. Cieszę się niesłychanie, że cię widzę; cieszę się, że się tak interesujesz mojem obuwiem Klausenburskiem i... tutejszem! Bo te niebieskie atłasowe buciki z czerwonemi obcasami, które masz na nogach, wydają mi się bardzo znajome. Przypominam sobie, żem je tu zostawiła. Ale to nie szkodzi! Cieszę się, że paradujesz w porzuconych przezemnie bucikach; mogłabym ci jeszcze kilka par podarować. A może mam się wstawić za tobą do Strusy, którego porzuciłam razem z trzewikami, żeby ci kupił parę nowych?

Blada dziewczyna drżała ze złości jak w febrze.

— Ja ci się odpłacę! Poczekaj!—jęknęła.

— Ależ, moje panie!—uspokajał Arnold melodyjnym barytonem.—Błagam was... przez wzgląd na was... na waszą własną godność?..

— Masz pan słuszność,—odpowiedziała Kathi ze śmiechem.—Dajmy tej gęsi pokój!.. Bywaj mi zdrowa, najdroższa Tori! najlepszego powodzenia, największego dochodu! Zobaczymy się w tych dniach. Pójdźmy, panie Specht.

Zwróciła się do drzwi. Blada Toni wstała i podeszła ku niej.

— Popamiętasz ty tę gęś! Zacięży ci ona w żołądku!

— Jak będziesz miała żołądek pusty, możesz mnie odwiedzić. Wspomogę cię chętnie... Do widzenia, droga Tori!

Kathi niebardzo się wzburzyła. Doznawała nawet pewnego rodzaju zadowolenia, że zachowała swoją zakulisową swadę, którą wszystkie dawniejsze koleżanki podziwiały, i że, dzięki jej, odniosła zwycięztwo nad bladą Toni. Trochę jednak żałowała, że wywołała tę scenę, której całą brutalność Arnold dobrze odczuł.

— Nie powinnam była wcale się wdawać z Toni. Z taką ordynarną dziewczyną nie ma co zaczynać,— rzekła do Arnolda.

— W istocie,—odparł aktor z wielką powagą.— Ale dajmy temu pokój! Po burzy następuje sielanka! Cóż teraz zrobimy?—spytał, gdy wyszli na ulicę.

Kathi, stojąc już jedną nogą na stopniu dorożki, odparła:

— Teraz odwieziesz mnie pan do domu.

Na rogu Thiergarten- i Hildebrandtstrasse kazała zatrzymać.

— Dobranoc, Specht! Przyjemnych snów i najpiękniejsze dzięki!

I poszła do domu, od którego oddzielało ją już tylko kilka kroków. Specht popatrzył za nią rozmarzonym wzrokiem, poczem pojechał do Dressla.

Inaczej minął wieczór w hotelu „*Kronprinz*“ w Hamburgu. Ciche, pełne żalu usposobienie ogarnęło tych czworo ludzi, którzy się czuli tak ściśle spojeni silnym łańcuchem głębokiej i serdecznej sympatyi; a teraz z łańcucha tego jedno ogniwo miało być oderwane. Rozstanie było faktem niezaprzeczonym, połączenie zaś takie niepewne, że nawet o niem mówić nieśmiano. Już niewiele czekało ich godzin wspólnego pobytu. Radowali się wszakże i tą krótką zwłoką. Do późnej nocy siedzieli we czworo, a gdy rozeszli się na spoczynek, nikt nie odczuwał jego potrzeby.

O wpół do dwunastej przed południem stali nazajutrz w porcie, ściskając się za ręce, patrząc się ze smutkiem wzajemnie na siebie i mówiąc niewiele.

Kocioł syczał jednostajnie, a czarny dym kłębami buchał z komina. Ożywiony ruch dokoła nie odrywał ich od tej jednej myśli, która ich wyłącznie zajmowała. Klaudyusz, popatrzywszy przez chwilę na majestatyczny okręt, na którego pokładzie uwijali się liczni pasażerowie a służba zajęta była ważeniem i umieszczaniem pakunków oraz ostatniemi przygoto-

waniami do podróży, — rzekł do brata tonem, pełnym bólu:

— Ach, Wilhelmie, takbym pragnął z wami popłynąć... gdybym mógł... daleko ztąd, daleko, na wolność! Zdaje mi się, że wracam do więzienia!

— Mój drogi stary i jabym także chciał! A teraz powiem ci coś na pożegnanie. Jeśli cię coś dręczy, czemu będzie można zaradzić, to, mój chłopcze, nie opuszczaj rąk i wytężaj wszystkie siły dopóki nie naprawisz złego! Jeśli jednak zmienić się nie da, to nie męcz się dłużej, niż będziesz musiał. Wówczas szybkie postanowienie będzie dobrem postanowieniem. Ty mnie już rozumiesz! Zostań z Bogiem!

Rozległ się sygnał do odjazdu. Minęli most; usunięto schodki, okręt odbił od brzegu. Wilhelm, Ellen i Bella stali przy balustradzie i powiewali chustkami. Potężny parowiec płynął majestatycznie. Klaudyusz przez dobrą chwilę mógł ich jeszcze rozpoznać, dostrzegał jeszcze trzy powiewające chustki, poczem oczy jego widziały już tylko niewyraźne zarysy; odwrócił się i poszedł do hotelu.

Troje odpływających stało na pokładzie w milczeniu. Nagle Bella z głośnem łkaniem rzuciła się siostrze na szyję i zapłakała rzewnie.

— Moja biedna Bello, uspokój się! — rzekła Ellen.—Moje ty biedne, biedne dziecko!

Bella płakała długo. —

O wpół do dziesiątej wysiadł Klaudyusz przed domem. Zawiadomił żonę depeszą o przybyciu, wyszła też na jego spotkanie aż na schody i powitała go z niezwykłą serdecznością.

— Nic nie zaszło? — dopytywał się Klaudyusz bezmyślnie.

— Nic nadzwyczajnego,—odparła Kathi.—I cóż, twoi wyjechali? Przykro mi naprawdę ze względu na ciebie. Ich pobyt tutaj był dla ciebie wielką rozrywką. A ta twoja bratowa, to taka mała kobieta! A jakie grzeczne listy napisali do mnie!

Klaudyusz dobrodusznym uśmiechem podziękował za te wyrazy współczucia.

Po kolacyi udał się niezwłocznie do swego gabinetu, by załatwić kilka pilnych listów, które od paru dni na odpowiedź czekały. Nie miał nawet jeszcze czasu podziękować radcy prawnemu, Feliksowi Quintusowi, który mu już przed czterema dniami doniósł o szczęśliwym wyniku zawikłanego a bardzo ważnego procesu. Napisał do niego kilka wierszy z usprawiedliwieniem, dodając, iż wkrótce zrobi sobie zaszczyt podziękowania osobiście swemu dzielnemu i roztropnemu obrońcy. Potem napisał długi list do firmy swojej na Sumatrze, polecając prokurentowi, aby z niczem nie naglił, albowiem powody, które poprzednio przemawiały za niezwłoczną likwidacyą, już nie istnieją. Minęła druga po północy, gdy nareszcie zagasił świecę i zasnął snem głębokim, bez marzeń,

Z ciężką głową obudził się nazajutrz, ruszał się z trudnością, ręce i nogi miał, jak z ołowiu.

Ranna poczta przyniosła mu różne listy,—handlowe i prywatne. Jeden z tych ostatnich, bardzo źle napisany, odczytał kilkakrotnie. Zachmurzył się, złożył

arkusik starannie, wsunął w kopertę i włożył do kieszeni.

Przy śniadaniu, siedząc naprzeciwko Kathi, zapytał:

— Czy byłaś onegdaj wieczór w Walhalli?

Blada jej twarz oblała się płomiennym rumieńcem.

— Nie!—odparła.

Klaudyusz położył nóż i widelec i, uderzając zlekka a wolno w stół dłońmi, wpatrzył się w żonę.

— A więc tak, byłam, nie chcę kłamać. Ale powiedz mi za to także prawdę: kto mnie obmówił?

Klaudyusz podał jest list.

— Blada Toni! nędznica!

Zdrada koleżanki oburzyła ją do tego stopnia, że nie odczuwała już prawie wcale drażliwości swego położenia względem męża. Klaudyusz uderzał w stół trochę głośniej i prędzej.

— Pojmiesz, sądzę, że ja na to pozwolić nie mogę i że muszę dowiedzieć się całej prawdy. Będę spokojny, ale nie drażnij mnie oporem i wykrętami!

Ton jego był taki rozkazujący, że Kathi, w poczuciu swojej winy podniosła na niego wylęknione oczy.

— A więc cóż się stało?

— Mój Boże, nic, nic złego, przysięgam ci! Levini miała benefis, zaniosłam jej bukiet do garderoby i pokłóciłam się z tą nikczemną dziewczyną co ten list napisała. To wszystko!

— Ale tu jest także mowa o jakimś towarzyszu...

— To niegodziwa potwarz, przysięgam ci! Jeszcze czego... i to z nim! zaraz! Nie mam sobie nic do wyrzucenia prócz tajemnicy. Jeśli mi nie wierzysz, tem gorzej dla ciebie. Gdybyś mnie tu na miejscu zabił, gdybyś mi zabrał wszystko, coś mi dał, mogłabym tylko powtórzyć: nie wyrządziłam ci żadnej krzywdy!

— Czy podobne potajemne wycieczki odbywały się już kilkakrotnie?

— Tak!.. Ale nie zrobiłam nigdy nic złego. Odwiedziłam parę razy Levini, niepytając cię o pozwolenie. Człowiek chce przecież także raz szczerze pogadać! A ty bronisz mi wszystkiego, co mi sprawia przyjemność. Ale nic się nie stało, nie zrobiłam nic złego, wierz mi albo nie wierz, jak chcesz!

Klaudyusz był bardzo spokojny. Wierzył zapewnieniom Kathi, wierzył, że w istocie jego honor mężowski nie został jeszcze splamiony. Ale jakim to rękom powierzył ten honor? Nie zasadom własnej żony, ale przypadkowi jedynie miał do zawdzięczenia, że nie doznał jeszcze najwyższej obelgi. Kaczka wraca zawsze do swego bagna, — żona jego utrzymywała po za jego plecami stosunki ze śpiewakami wędrownymi...

Wstał i opuścił pokój.

Kathi siedziała jeszcze przez chwilę. Wzięła list, odczytała go powtórnie i zmięła w dłoni.

— Taka nędznica!—zawołała.—Ale ona nawinie mi się jeszcze pod rękę! A wtedy... ząb za ząb!

Zamyślona, poszła do swego pokoju.

— Ciekawa tylko jestem co on teraz pocznie. Co on mi może zrobić? Przecież ja przestępstwa żadnego nie popełniłam! On mnie już nie kocha. Jeśli się ro-

zejdziemy, to na bruku nie zostanę! Przyjmę znów *engagement* i wypchnę Toni! Bo zawsze jeszcze potrafię lepiej niż ona!.. Nie byłoby jeszcze w tem nieszczęścia! Tam nie nudziłam się przynajmniej tak jak tu, na tej nieznośnej Hildebrandtstrasse. Już mi wszystko jedno. Tak czy tak!..

O godzinie pierwszej w południe posłał Klaudyusz przez pisarza kartę wizytową do gabinetu radcy prawnego Feliksa Quintusa. Został niezwłocznie wpuszczony i zdumiał się, ujrzawszy przed sobą młodego mężczyznę, gdy tymczasem wyobrażał sobie zawsze swego prawnego doradcę jako człowieka w starszym już wieku.

Na pierwszy rzut oka możnaby pana, stojącego przy wysokiem biurku, wziąć za dwudziestokilkoletniego młodzieńca. Całkiem wygolona twarz miała w sobie coś z jowialnej, studenckiej wesołości, a postawa była uderzająco elastyczna. Zdawało się zrazu, że to student albo *attaché*; kto wszakże przyjrzał mu się nieco lepiej, mógłby go wziąć za artystę dramatycznego albo za świeckiego księdza. Dopiero po dokładnem wpatrzeniu się w jego twarz dostrzedz można było, iż, według metryki, wyszedł już z lat młodzieńczych wybryków. Wesołe, wygodne życie zaznaczyło ślady na ciemnych włosach, zarysowało kilka zmarszczek na wysokiem czole i dokoła wielkich, inteligientnych niebieskich oczu, spoglądających przez binokle. Wąskie, kształtnie zarysowane, usta świadczyły o stanowczości charakteru. Cerę miał świeżą, zdrową. Ubrany był bardzo elegancko, może trochę za młodo.

Radca prawny cieszył się wielką sympatyą wszyst-

kich kół towarzyskich Berlina. Był pełen galanteryi dla dam, chętnie widziany w gronie męskiem, humor jego i dowcip wnosiły ożywienie do każdego salonu. Miał subtelny język i wytrawne podniebienie, palił najlepsze cygara i grał we wszystkie gry jak mistrz i jak gentleman: w kręgle, bilard, bezika, pikietę czy w skata. Nigdy nadto i w niczem nie psuł zabawy. A przytem, z powodu niezwykłej wiedzy, którejby się profan po nim nie domyślił, z powodu bystrości umysłu i inteligiencyi, cieszył się też poważaniem śród kolegów, dla których niewyjaśnioną było zagadką w jaki sposób ten człowiek, niewyrzekając się żadnej rozrywki towarzyskiej, nieodmawiając ani jednemu zaproszeniu na przyjemny obiad, nieopuszczając ani jednego zajmującego wieczoru w salonie czy w klubie, mógł podołać wymaganiom swojego zawodu i swojej wielkiej praktyki.

— Właśnie dostałem list pański, panie Bewer,— odezwał się radca prawny do wchodzącego, podając mu rękę. —Nie spodziewałem się pana tak prędko.

— Dość długo zwlekałem z podziękowaniem, panie radco,—odparł Klaudyusz mocno ściskając podaną rękę .—Wyświadczyłeś mi pan wielką przysługę.

— Ależ, proszę pana!.. Czy pan pali? I jesteś pan znawcą? Mam tu jeszcze kilka sztuk... Dziś już ich się nie dostanie. Takich już poprostu wcale niema!

Wziął ze stołu pudełko i podał je Klaudyuszowi. Zapalili obaj cygara.

— Inna kwestya jeszcze, nietylko obowiązek podziękowania, sprowadza mnie do pana, — zaczął Klaudyusz.—Chciałem znów zasięgnąć rady pańskiej, od-

wołać się do doświedczenia i wiedzy pana w sprawie bardzo ważnej, a może najważniejszej.

— Jestem na pańskie usługi.

— Czy ma pan teraz czas wolny i czy nikt nam nie przeszkodzi?

— Załatwimy to zaraz.

Zadzwonił i powiedział przybyłemu pisarzowi, że niema go w domu dla nikogo. Ktokolwiek przyjdzie, niech się uda do naczelnika biura.

— A teraz słucham, — rzekł, zwracając się do Klaudyusza, gdy znów pozostali sami.

— Przychodzę w interesie mojej żony.

— Panie, to śliczne stworzenie! Miałem zaszczyt widzieć was niedawno razem w cyrku, a pełna wdzięku wytworna młoda kobieta odrazu wpadło mi w oko. Gdy dowiedziałem się jej nazwiska postanowiłem sobie poprosić pana przy okazyi, żebyś mnie pan żonie przedstawił. Przepraszam za to odbiegnięcie od przedmiotu! Czemże zatem mogę małżonce pańskiej służyć?

— Zamierzam rozłączyć się z żoną.

Radca prawny spoważniał nagle i odpowiedział spokojnie, z pewną serdecznością:

— Tak? A to mi przykro.

— Niełatwo mi przyszło to postanowienie. Ja tylko powinienem robić sobie wyrzuty. Moja żona nie zawiniła w niczem. Istnieje między nami krańcowa sprzeczność, zupełna różnica charakterów i pojęć. Rozłączenie duchowe nastąpiło dawno, i niema na nie środka. Nasze wspólne pożycie jest już tylko męką dla obu stron. Uważam więc, że należy związek ten zachwia-

ny w wewnętrznych podstawach, zerwać i zewnętrznie. Ponieważ jednak, jakem panu powiedział, żona moja nie popełniła nic takiego, coby mi mogło dać powód do słusznej skargi, przeto chcę, ażeby nie straciła materyalnie na tem rozłączeniu. Powinno ono raczej nastąpić w takich warunkach, żeby dobra jej sława nic na tem nie ucierpiała, i żeby miała środki odpowiednie do pędzenia w dalszym ciągu tego życia, w jakie ją wprowadziłem. Posiadam dosyć znaczny majątek i jestem gotów na wszystko. Moja żona nie zna się zupełnie na interesach. Proszę pana zatem, abyś zajął się jej sprawą i stał się jej rzecznikiem wobec mnie.

— A więc to postanowienie nieodwołalne? Mój szanowny panie Bewer, nie mojem to zadaniem panu perswadować; ja powinienem poprostu stanąć na gruncie, jaki mi pan wskazuje. Czy małżeństwo jest bezdzietne?

— Tak. Pobraliśmy się wogóle dopiero pierwszego września zeszłego roku.

— Ach, tak! Ile lat ma pańska żona?

— Skończy w czerwcu dwadzieścia jeden.

— Mówił pan o rozłączeniu, Czy pan rozumie przez to rozwód prawny?

— Decyzyę w tym względzie pozostawiam żonie. Mnie wystarczy separacya.

— Czy żona pańska przystanie na to bez oporu?

— Zdaje mi się. Jestem wszakże zdecydowany opuścić ją nawet wbrew jej woli.

— I chcesz pan nam tę sprawę o ile możności ułatwić?

— Gotów jestem do wszelkich ustępstw.

— Pięknie! A więc pod względem prawnym nie mamy jeszcze chwilowo nic do roboty. Trzeba najpierw przeczekać różne terminy. Najprostszym będzie wypadek *desertio malitiosa*, czyli umyślnego opuszczenia. Wyjedziesz pan ztąd i oświadczysz żonie, że nie powrócisz do niej i nie chcesz jej wziąć do siebie. Radzę panu pojechać do Nizzy, tam teraz jeszcze bardzo ładnie.

— Pojadę znacznie dalej.

— I to można. Dla uproszczenia wezwę pana wówczas jeszcze raz kategorycznie, byś powrócił do żony i zagrożę, w razie odmowy, skargą o rozwód, na co mi pan, celem skrócenia sprawy, oświadczy jaknajprędzej w suchych wyrazach, że pan o tem ani myśli. Wtedy będziemy mieli słuszną zasadę i w razie jeśli małżonka pańska zechce się z panem rozwieść, wyrok odpowiedni zostanie w swoim czasie wydany, a pan uznany za stronę winną. Nic nad to prostszego! Sprawa ta wszakże, nawet śród tak pomyślnych warunków, będzie zawsze trwała nieco dłużej, niż małżonka pańska prawdopodobnie przypuszcza; radziłbym jej więc, ażeby wcześnie ją rozpoczęła, by nie potrzebowała zbyt długo czekać, jeśli przywiązuje wartość do odzyskania wolności osobistej. Oprócz tego, mamy zatem jeszcze postawić nasze pretensye materyalne. Ponieważ nie znam pańskich stosunków majątkowych, przeto zechciej pan łaskawie wskazać mi kilku słowami, jak daleko możemy się posunąć.

— Mam dom z czystą hypoteką na Hildebrandtstrasse, który zostawię żonie z całem urządzeniem, ze wszystkiemi przynależnościami, z powozami i końmi. Na prowadzenie domu, na tualety i t. d. potrzebny bę-

dzie, według mego oszacowania, dochód roczny w sumie 70 do 75,000 marek. Złożę w banku państwa na imię żony kapitał w pruskich papierach państwowych, który będzie przynosił minimalną rentę 75,000 marek. Ponieważ jednak uważam żonę za osobę niegospodarną, przeto pragnę postawić warunki, które jej uniemożliwią naruszenie kapitału.

— Niech się pan w takie rzeczy nie wdaje! To tylko przewlecze sprawę. Stawiasz pan propozycye gentleman'a, przyjmujemy je zatem. Tylko bez żadnych sentymentalnych rozporządzeń na daleką przyszłość. Robisz pan z żony bogatą kobietę, to wszystko, co pan możesz uczynić. Skoro pan będziesz raz z nią rozwiedziony, nie masz obowiązku, nie masz już mocy ani prawa poskramiania jej kosztownych kaprysów. Niechaj się o to sama troszczy... albo niech się troszczą inni, którzy może później w bliższych z nią będą stosunkach. Bo taka piękna, bogata, młoda kobieta nie zmarnuje życia w samotności. Na to chyba jesteś pan przygotowany. A więc zechciej pan łaskawie uporządkować tę sprawę z bankiem i z domem. Zaakredytuj pan tymczasem żonę, dopóki jest jeszcze pańską żoną, na jakąś oznaczoną sumę, wypłacalną miesięcznie u jednego z tutejszych bankierów... bo przecież kapitał w banku będzie do rozporządzenia pani Bewerowej dopiero po przeprowadzeniu rozwodu?.. daj mi pan potrzebne dokumenta, powiedz małżonce swojej, że jestem całkowicie na jej usługi, a potem już nic nie będzie stało na przeszkodzie pańskiemu wyjazdowi... Sprawa tedy układa się jaknajlepiej. Przykro mi,

że nasza znajomość będzie tak krótkotrwałą. Może pan zje razem ze mną obiad o szóstej u Poppenberga?

— Dziękuję bardzo, panie radco. Jutro, jeśli to panu na rękę, przyjdę o tej samej porze, by złożyć w pańskie ręce jedne dokumenta, i prosić pana o wygotowanie innych.

— Doskonale! Mogę panu służyć jeszcze cygarem?

— Dziękuję, panie radco. Do widzenia!

— Do widzenia.

Klaudyusz powrócił prosto do domu. Zastał Kathi w gotowalni, w towarzystwie krawcowej, która jej przymierzała nową suknię.

— Jak się załatwisz, proszę cię, przejdź do salonu. Będę tam na ciebie czekał.

— Już się załatwiłam.

Kathi rzuciła jeszcze jedno spojrzenie w zwierciadło, odprawiła krawcową i poszła za mężem.

W salonie stanęła za niskim fotelem, na którego poręczy oparła dłonie, i z pochyloną nieco głową, jak oskarżona na śledztwie, czekała na to, co jej powie Klaudyusz. Przeczuwała, że będą to rzeczy ważne.

— Kathi,—rzekł, stając naprzeciwko niej,—musimy się rozstać.

Twarz jej pobladła śmiertelnie. Usta w kącikach zadrżały. Ale wszak umiała tak doskonale milczeć,—milczała zatem.

— Przynajmniej na jakiś czas... — dodał niepewnym głosem.—Mówiłem ci już dawniej, że nieobecność moja źle wpływa na interesa na Sumatrze, musiałem zatem, chcąc niechcąc, zdecydować się na długą podróż.

Nie wyjadę naturalnie, niedoprowadziwszy wszystkiego do porządku, a zwłaszcza, niezabezpieczywszy ciebie. Przed taką długą podróżą trzeba myśleć o wszystkiem, nawet o tem, że się można więcej nie zobaczyć. Postaram się więc o to, żebyś była niezależną, żeby ci na niczem nie zbywało i żebyś mogła w dalszym ciągu prowadzić taki tryb życia, jaki prowadzisz teraz. Nie zauważysz mojej nieobecności i będziesz zabezpieczona nawet na wypadek ostateczny. Interesa twoje powierzyłem pewnemu i miłemu człowiekowi, radcy prawnemu Quintusowi. Wspomoże cię w każdym wypadku radą i czynem. Dom, ze wszystkiem co zawiera i co do niego należy, jest twoją własnością. Będziesz go mogła utrzymać dalej na tej samej stopie. Pozostanę jeszcze w Europie trzy do czterech tygodni, by załatwić rozmaite sprawy. Przez jaki tydzień będę jeszcze tutaj; możesz z całem zaufaniem zwracać się do mnie z każdą prośbą. Potem zastąpi mnie radca Quintus, któremu jeszcze specyalnie polecę, żeby się tobą zaopiekował. Nie żądam od ciebie niczego więcej, tylko, żebyś pamiętała o obowiązkach, jakie ma żona względem męża, dopóki jeszcze jesteśmy razem; proszę cię o to, i wiem, że tę prośbę wypełnisz, bo złą nie jesteś. Wybieram się w podróż długą.. bardzo długą. Jeśli będziesz uważała, że trwa ci zadługo, to i w tym razie twój doradca prawny wskaże ci co masz zrobić. A teraz, bywaj zdrowa, Kathi! Niewiele będziemy się widywali w ciągu tych dni kilku, albowiem przygotowania do podróży zaabsorbują mnie całkowicie... żegnam cię, Kathi!

Kathi stała bez ruchu za fotelem. Przy ostatnich słowach męża dwie wielkie łzy spłynęły po jej bladych policzkach. Zaszlochała.

— Już ja wszystko rozumiem!.. Ale ja jednak nic złego nie zrobiłam!..—Łzy przerwały jej mowę.

— Nie zrobiłaś nic złego. Ja ci też wyrzutów nie robię. Ale wierzaj mi, tak lepiej! Nie utrudniaj nam pożegnania!.. Mógłbym ci niejedno powiedzieć, ale tybyś tego należycie nie zrozumiała... I tobie nie było wesoło. Tak lepiej!..

— Najwięcej martwi mnie, że ty takiej dziewczynie więcej wierzysz, niż mnie,—rzekła Kathi, szlochając gwałtownie.

— Ty mnie doprawdy nie rozumiesz, — odparł Klaudyusz łagodnie.—Ja ci wierzę najzupełniej! Ale, jednak tak lepiej!

Wyszedł wolno i udał się do swego pokoju, który opuścił dopiero o zmroku.

Kathi, płacząc ciągle, usiadła wygodnie w fotelu. Nareszcie otarła zaczerwienione oczy i rzekła:

— Teraz mi już wszystko jedno!

Przed pięciu godzinami opuścił piękny parowiec francuskiego towarzystwa „*Messageries*“ przystań Marsylii. Byłto przypadkiem ten sam okręt, który latem roku ubiegłego przywiózł do ojczyzny „króla Sumatry.“ Teraz sternik, niedbający o żadnego pasażera, kierował go znów na wschód. Słońce stało wysoko na przecudnem szafirowem niebie majowem, na którem szybowały lśniące, białe obłoki, przybierając awanturnicze kształty. Morze było spokojne i majestatyczne.

Klaudyusz stał w pobliżu skrzyni nad kołem i wpatrywał się w ciemno-zieloną wodę, którą szerokie szprychy kołowe znaczyły białawemi bruzdami. Oko jego nie mogło się nasycić widokiem parskającej w górę piany, która, spadała, rozbrzyzgana w krople i bańki. Ucho jego wsłuchiwało się nieustannie w plusk kół i jednostajny łoskot syczącej maszyny.

Ciężko mu przyszło pożegnać się z Kathi,—o wiele ciężej niż przypuszczał.

— Tak lepiej! — pocieszał się ciągle. — Tak być musi.

Unosił wszakże z sobą przeświadczenie, że opuścił kobietę, którą ukochał nadewszystko, — co do tej prawdy niczem łudzić się nie był w stanie.

Maszyna dyszała i sapała w dalszym ciągu a szprychy wtórowały jej miarowemi uderzeniami. Klaudyusz bez przerwy wpatrywał się w toń morską. Stopniowo z szumu kotła wytworzyła się cicha melodya, którą samotny mężczyzna zaczął nucić przez zaciśnięte zęby.

Była to piosnka prosta, wzruszająca, — ta sama, która mu w ów smutny wieczór Wigilijny dźwięczała w uszach, która go do snu ukołysała i do marzeń mu wtórowała, — melodya ludowa, do której mu wówczas słów zabrakło. Uśmiechnął się smutnie. Teraz wiedział. Była to ta sama piosnka, którą śpiewała Kathi pierwszego wieczora. I zanucił zcicha:

„Sam jestem jak na polu
Kamień ten...“

Koniec.

Biblioteka Śląska

KSIĘGARNIA

TEODORA PAPROCKIEGO I S-KI

w Warszawie, Nowy-Świat Nr. 41,

poleca następujące nowe dzieła, własnym nakładem wydane:

	Rs.	k.
Amicis Edmund de. Ze szkoły i z domu. Nowelle dla rodziców i nauczycieli. Przekład z włoskiego. . . .	1	50
Bert Paweł. Początkowa nauka przyrody dla młodzieży. Przełożyli J. J. Boguski i Adolf Dygasiński. Dzieło ozdobione 520 drzew. w tekście. Wydanie II . . .	1	80
Ceysinger H. Ze znalezionych kartek.—Maniak	—	75
Chassang A. i Marcou A. L. Epos. Arcydzieła poezyi epicznej wszystkich czasów i narodów. Przełożył i uzupełnił A. Lange.	2	—
Cordelia. Mali bohaterowie. Książka dla dzieci. Przekład z włoskiego. Z illustracyami. W oprawie. . . .	1	50
Dąbrowski Ignacy. Felka. Nowella.	1	50
Dąbrowski Ignacy. Śmierć. Studyum.	1	20
Dornblüth Otto d-r. Hygiena pracy umysłowej. Przełożył z niemiec. d-r A. Fabian.	—	60
Dygasiński Adolf. Wint. Wyjątek z pamiętników winciarza	—	50
Gliński Kazimierz. Splątane nici. Szkice i obrazki. . . .	1	50
Gutenberg Bertold d-r. Nerwowość i małżeństwo. Z 2-go wyd. niem. przełożył d-r. med. Ludwik Wolberg. . .	—	30
Hardy Thomas. W pogoni za ukochaną. Powieść. Przekład z angielskiego M. Dz.	—	75
Heilpern M. Tajemnice przyrody. Część II. Jak żyją rośliny, jak się odżywiają, rosną, rozmnażają i poruszają. (Kurs popularny morfologii i fizyologii roślin). Z 282 rysunkami w tekście.	2	—
Historya naturalna w obrazach. Część II. Botanika i mineralogia w 269 kolorowanych obrazkach, z tekstem Feliksa Wermińskiego. Wydanie wspaniałe, złożone z 25 chromolitografowanych tablic. W oprawie. . . .	4	—
Jawornicki Aleksander M. Synowie Kaina. Powieść z niedawnej przeszłości	1	50
Kipling Rudyard. Zwodne światło. Powieść. Przełożył z angielskiego Anatol Krzyżanowski.	1	—
Kornig Th. G. d-r. med. Hygiena skromności. Podług drugiego wydania niemieckiego opracował d-r. Aleksander Fabian.	—	60
Krzyżanowski Anatol. Mimoza. Powieść współczesna. . .	1	20

787053 I
1894

KSIĘGARNIA

TEODORA PAPROCKIEGO I S-KI

w Warszawie, Nowy-Świat Nr. 41,

poleca następujące nowe dzieła, własnym nakładem wydane:

	Rs.	k.
Kwaśniewski J. R. Przewodnik praktyczny, obejmujący przepisy, wskazówki i rady, dotyczące gospodarstwa wiejskiego, domowego, rękodzieł, przemysłu i handlu dla wszystkich stanów na wsi i w mieście, zebrane z dzieł i podręczników swojskich i obcych, różnych autorów.	1	50
Laboulaye Edward. Bajki i opowiadania dla dzieci, z licznymi drzeworytami w tekście. Tłomaczyła z oryginału francuskiego T. Prażmowska.	1	20
Loti Piotr. Marynarz (Matelot).	—	50
Maspero G. Opowiadania historyczne. Egipt i Assyrya. Przełożył J. Popławski.	1	80
Morosz Julian. Na scenie i za kulisami. Historya parafialna.	—	75
Nałkowski Wacław. Zarys geografii powszechnej (rozumowej). Wydanie II.	2	50
Or-ot. (Artur Oppman). Pieśni. Rs. 1. w oprawie . .	1	50
Pałko Stanisław. Wykład pisowni polskiej w dyktandach. Według uchwał Akademii Umiejętności w Krakowie.	—	60
Parczewska Melania. Obrazki.	—	60
Perez Bernard. Charakter od lat dziecięcych do wieku dojrzałego. Przełożył R. D.	1	50
Prażmowska Teresa. Podarek Babci. Z illustracyami Henryka Piątkowskiego. W oprawie	1	—
Prażmowska Teresa. W dziewiczych lasach Ameryki. Powieść dla młodzieży. Z rysunkami. W oprawie. . . .	1	—
Rodziewiczówna Marya. Na fali. Powieść współczesna. .	1	50
Rogosz Józef. Zerwane struny. Powieść współczesna. . .	1	50
Rothe Adolf d-r med. Rys dziejów psychiatryi w Polsce .	1	—
Szaniawski Bronisław. Dzisiejsze małżeństwa. Szkice obyczajowo-społeczne.	—	60
Tchórznicki J. d-r. Przewodnik dla służby zdrowia (t. z. „sanitarzy"), pracującej podczas epidemii cholery. Na podstawie praktyki sanitarnej i instrukcyi rządowych ułożył...	—	30
Teresa Jadwiga. Ognisko rodzinne. Powieść dla młodzieży. Z rysunkami. W oprawie.	1	50
Załęska Anna. Dobre dzieci. Zbiór powiastek, z licznymi oryginalnymi rysunkami J. Pankiewicza w tekście. .	2	—
Zeisel S. d-r. Chemia (nieorganiczna i organiczna). Ogólny wykład zjawisk chemicznych oraz ich zastosowania w życiu praktycznem. Z 261 drzeworytami w tekście. Z oryginału niemieckiego przełożył d-r M. Flaum. .	6	—